

Prawdziwa historia futrzaka, samotnego faceta
i ich niezwykłej podróży

MÓJ PRZYJACIEL KOT

BRITT COLLINS

Ze wstępem Jeffreyja Moussaieffa Massona



BRITT COLLINS

Ze wstępem Jeffrey Moussaieffa Massona

**MÓJ PRZYJACIEL
KOT**



PRZEŁOŻYŁA
Sylwia Chojnacka



WYDAWNICTWO
KOBIECE

*Pamięci Bobby Seale,
rudowłosej piękności,
która na zawsze pozostanie w moim
sercu. I dla wszystkich,
którzy kochali i stracili kota.*

Urodziłem się zagubiony i nie czerpię przyjemności z odnajdywania się.

– JOHN STEINBECK

Przedmowa

Gdy wracam pamięcią do najszcześniejszych chwil mojego życia, przypominają mi się spacerzy o północy wzdłuż naszej plaży w Auckland w Nowej Zelandii. Nasz dom, otoczony morzem i lasem deszczowym, znajdował się jedynie piętnaście minut drogi od centrum miasta, ale równie dobrze mogłyby to być setki mil. Do złożonego z dziesięciu domów osiedla nie prowadziła żadna szosa, więc w okolicy nie było ani jednego samochodu, a żeby się tu dostać, należało przejść przez las. Gdy znaleźliśmy ten skrawek ziemi, moją pierwszą myślą było: „To idealne miejsce dla kotów”. Mieszkaliśmy wówczas z pięcioma kotami oraz psem, Benjym (bohaterem mojej książki *The Dog Who Couldn't Stop Loving*), i te pierwsze największą frajdę miały wtedy, gdy okolica świeciła pustkami, a ja zabierałem Benjy'ego na jego ostatni spacer po plaży. Najpiękniejsze były wieczory o pełni księżyca, który oświetlał fale łagodnie rozbijające się o brzeg, a morze połyskiwało od bioluminescencyjnych ryb. Pięć kotów – Yossie, Minna, Miki, Moko i Megala – uwielbiało wyprzedzać nas, chować się za wydmy i znieacka wyskakiwać na Benjy'ego, by wciągnąć go w pułapkę, a on zawsze przyłączał się do zabawy, udając całkowicie zaskoczonego i przerażonego zasadzką: uciekał w stronę ciepłego oceanu, a w pogoń za nim ruszało całe kocie towarzystwo. One to uwielbiały. On to uwielbiał. Ja to uwielbiałem. Potem podchodziliśmy do kępy pohutukaw, ogromnych, stuletnich drzew o ogniście czerwonych koronach, które świetnie radzą sobie w warunkach brzegowych. Koty wspinały się wysoko na ich gałęzie, po czym zaczynały żałośnie miauczeć, zupełnie jakby w żaden sposób nie umiały same zejść na ziemię. Wtedy wkraczałem do akcji, udając, że zaczynam wchodzić na drzewo, a one szybko zbiegały po pniu i jednym susem zeskakiwały na piasek. Były w siódmym niebie. Następnie wszyscy stawaliśmy w milczeniu nad brzegiem oceanu i spoglądaliśmy w dal na pewną wysepkę, a ja wiedziałem, że spokój, który odczuwam, jest również udziałem sześciu zwierzątek u mojego boku. Zdawało się, że wszystko na świecie jest w porządku, nawet jeśli wtedy, tak jak i dziś, nic nie było w porządku. W takich przeblaskach upojnego szczęścia rozumiałem często powtarzany truizm, że zwierzęta żyją tu i teraz, nie martwiąc się tym, co było, ani tym, co będzie, lecz zwyczajnie rozkoszując się chwilą doskonałego spokoju.

Jednakże wiedziałem przy tym, że coś jeszcze daje mi niewymowne szczęście, a była to świadomość, że koty, pies i ja cieszymy się czymś wspólnie i w podobny sposób. To było jak porozumienie międzygatunkowe: wszyscy rozkoszowaliśmy się chwilą bardziej, ponieważ rozkoszowaliśmy się nią razem. Zrozumiałem wtedy w związku z kotami coś, co – jak wiedziałem – zadaje kłam ich złej reputacji zdystansowanych powściągliwców, rozpowszechnianej w niektórych kręgach. Poczulem to tak mocno, że wiedziałem, iż muszę napisać o ich złożonym i bogatym życiu emocjonalnym, co w końcu mi się udało. Swoją książkę zatytułowałem nieco kliwie (większość moich tytułów jest kliwa!): *The Nine Emotional Lives of Cats*. Rzecz w tym, że trzeba wejść w świat kotów, zamiast zmuszać je, by to one weszły w nasz. Uświadomiłem to sobie po przeczytaniu książki Elizabeth Marshall Thomas *The Hidden Life of Dogs*. Każde zwierzę wie swoje sekretne życie, a żeby je odkryć, trzeba chcieć żyć na ich warunkach, a nie zmuszać je do czegoś odwrotnego.

Czytając piękną, prawdziwą historię Micheala Kinga i Tabor, rannej kotki, którą Michael przygarnął z ulic Portland, zrozumiałem, że było dokładnie tak, jak opisała to Britt Collins: zarówno kot, jak i człowiek postanowili żyć życiem tego drugiego. Dzięki temu pojawia się osobliwa więź, której być może nie da się zadzierzgnąć w inny sposób. Poznając kocie zwyczaje, Michael odnajduje sens życia w opiekowaniu się innym stworzeniem i otwiera swoje serce bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Co więcej, zażyłość i głęboka relacja, jakie życie rodzi w drodze, również pozwalają poznać zwierzę w sposób, w jaki nie poznamy go, tylko mieszkając z nim pod jednym dachem. (Uważam, być może niesprawiedliwie, że zamykanie kotów w czterech ścianach pozbawia je możliwości życia w zgodzie z ich prawdziwą naturą, choć znam statystyki, które pokazują, że te zamknięte cieszą się znacznie dłuższym życiem). Michael i Tabor prawie się nie rozstawali i spali razem każdej nocy podczas swojej niemalże rocznej wędrówki przez zachodnie Stany Zjednoczone. Sama radość, tak dla kota, jak i dla

człowieka. Przy okazji polecam każdemu, kto mieszka z kotem, by podzielił się z nim łóżkiem – spanie z kotami bez wątplenia należy do największych radości życia. Choć nie może się obyć bez trudności: wiele lat spałem w jednym łóżku z moim kotem, Megalą (oraz naturalnie z żoną, Leilą, która była tak dobra, że zaryzykowała i dzięki ciągłym kontaktom z kocią sierścią pozbyła się alergii na nią), a on w zimne noce wślizgiwał się pod kołdrę, wyciągał swoje małe ciało tuż przy mnie i głośno mruczał, dopóki nie zasnął (zgłaszam prawa do następującego odkrycia: koty mruczą tylko wtedy, gdy obok nich przebywa żywe stworzenie, nigdy na własną łapę, ale mogę się mylić, gdyż wielu czytelników pisało do mnie, że widziało, jak koty mruczały, gdy nikogo nie było w pobliżu). To samo powiedziała mi genialna pisarka Doris Lessing, która bez wątplenia zna się na kotach lepiej ode mnie, a mimo to była tak uprzejma, że napisała do „Guardiana” recenzję mojej książki, pomijając wzmiankę o tym i innych możliwych błędach, bo tak podziwiała moją miłość do tych zwierzków. Ale wracając do tematu: spanie z kotami bywało w moim przypadku o tyle trudne, że zdarzało mi się zrobić coś, co drażniło Megalę (choć nie mam najmniejszego pojęcia co – być może poruszałem się nie tak, jak trzeba), a wtedy on karał mnie szybkim ugryzieniem w nogę. To bolało. I raniło moje uczucia, więc wyganiałem go z łóżka, a on porzucał je, fukając na odchodne. Jednak po godzinie wracał, a ja, wiedząc, jaka przyjemność mnie czeka, jakże mogłem mu odmówić wstępu! Takie atrakcje zdarzały się przynajmniej dwa lub trzy razy w nocy i Leila zachodziła w głowę, dlaczego raz na zawsze nie przegoniłem go jeszcze z łóżka. Ale któż mógłby oprzeć się miękkiemu futerku (Megala był rasy bengalskiej, a wyglądem i zachowaniem przypominał małego geparda), wyciągniętemu kociemu ciało i mruczeniu z czystego zadowolenia?

Czy można kochać kota i się dzięki temu nie zmienić? Nie sądzę. Psy też uwielbiam i sporo o nich pisałem (w tym książkę *Dogs Never Lie About Love* – kolejny kliwy, acz prawdziwy tytuł), ale między nimi a kotami istnieje pewna zasadnicza różnica: nie potrzebujemy pozwolenia psów, by wejść do ich wymiaru, ponieważ już żyjemy z nimi w jednym świecie. Z kotami jest inaczej. Uważam, że nigdy nie zostały one prawdziwie udomowione. Z sobie tylko znanych powodów po prostu raczyły z nami zamieszkać. Ale gdy już pozwolą nam poznać swój świat, przenosimy się nagle do innej krainy. Postrzegamy koty jako tajemnicze, ponieważ właśnie takie są, a kiedy uchylą przed nami rąbka swojego sekretnego królestwa, na zawsze się zmieniamy. Być może nie umiemy wyjaśnić, w jaki sposób, być może nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale tak właśnie jest. Michael poczuł to z całą mocą, oddając całego siebie osobie (tak, koty z całą pewnością są osobami – stworzeniami z wykształconym w pełni charakterem i podmiotowością, jak w swoich licznych książkach przypomina nam pisarz i wielki obrońca praw zwierząt Tom Regan), którą obdarzył być może największą i bezwarunkową miłością, i odnajdując przy tym głębszy sens życia. Jak stary marynarz z poematu Coleridge’a Michael nauczył się troszczyć o słabszych, bezbronnych i tych, którzy mieli w życiu mniej szczęścia, mimo że sam był bezdomny. Nauczył się pomagać im na tyle, na ile tylko mógł, tak jak jemu pomogła ta mała, zagubiona kotka, której nadał imię Tabor. Wkraczając w jej świat, dostrzegł to, czego wcześniej nie był w stanie pojąć.

Rzeczą, która najbardziej urzekła mnie w *Moim przyjacielu kocie*, a raczej w opisie perypetii Michaela i Tabor podczas ich wędrówki, była niezwykła chęć przygody, tak u człowieka, jak i u kota, a ponadto sposób, w jaki ożywali oni w obliczu zagrożeń, z którymi większość z nas nigdy nie będzie musiała się zmierzyć. Czytając o ich podróży autostopem, rozciągniętej na tysiące mil, chwilami zastanawiałem się, jak mogli być tak ufni w stosunku do ludzi oferujących im podwózkę, jak mogli wsiąść do samochodu prowadzonego przez uzbrojonego i wytatuowanego mężczyznę, który ostatecznie uratował ich od nieznosnego upału, w jakim utknęli na cały tydzień w jednym z konserwatywnych stanów. Jeszcze bardziej zaskakujące były niespodziewane akty dobroci, które – mogłoby się zdawać – spotykały tę dwójkę na każdym kroku, ratując przed szalejącymi śnieżycami, fanatycznymi kaznodziejami, wygłodzonymi niedźwiedziami i kojotami czy pędzącymi stadami bydła.

Być może ta opanowana, urocza kotka o duszy wędrowca była dokładnie tym, czego Michael potrzebował, tak jak ona potrzebowała jego ochrony i opieki. Ale zanim ich wspólna podróż dobiega końca, Michael przechodzi transformację. Bez tego jakże mógłby postąpić słusznie i odwiedzić Tabor do jej prawdziwego domu? Opowieść o Ronie Bussie, pierwszym opiekunie kotki, który przez niemal rok

z dnia na dzień popadał w coraz większą rozpacz po jej stracie, i o bracie Tabor, Crecie, który co wieczór czekał na nią na werandzie, sprawia, że ta prawdziwa historia staje się jeszcze bardziej wciągająca. *À propos*: sama książka napisana jest w taki sposób, z taką dbałością o szczegóły, że można poczuć się naocznym świadkiem zdarzeń. Wszystko jest barwne: trawa, drzewa, zapach morza, odcienie światła, zmieniające się uczucia i nastroje Michaela i Tabor w obliczu ciężkich warunków i życia w drodze. A tu jeszcze autorka, Britt Collins, skromnie usuwa się w cień, co samo w sobie jest dużym pisarskim osiągnięciem. Odwiezienie Tabor do jej domu w Portland było zapewne najtrudniejszą rzeczą w życiu Michaela, ale też zdolność wyrzeczenia się tego, co najbardziej kochał, to najcenniejsza nauka uzyskana od Tabor, i w ten sposób wprowadził ją w życie. Mimo że ból i cierpienie Michaela nie rozwiały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w chwili, gdy przygarnął bezdomną kotkę, to jestem pewien, że Tabor stała się jego zbawieniem, i to w pełnym tego słowa znaczeniu: był już na najlepszej drodze do zatracenia, pijąc na umór, dopóki ona nie wniosła do jego codziennego życia spokoju i nie nadała temu życiu sensu.

Jestem pod wielkim wrażeniem ogromu pracy, jaki Britt włożyła, by nakreślić tę ciepłą, dowcipną i wciągającą opowieść w całej jej złożoności i barwności, ukazując przed czytelnikami trudy życia na ulicy, których doświadczają zarówno bezdomni ludzie, jak i bezpańskie koty. Podziwiam to, jak wiele serca i umiłowania dla prawdy poświęciła temu zadaniu, ile widać w nim troski o los Tabor i innych kotów. Z każdej strony emanują jej zrozumienie i miłość do tych zwierząt, która przejawia się w sposób najlepszy z możliwych: Britt pozwala im być sobą. Niemal każdy, kto mieszka z kotem, kocha koty. Jakże moglibyśmy nie czuć się dziwnie wyróżnieni, że te dzikie stworzenia wybrały życie u naszego boku, jakkolwiek krótkie (a zawsze jest zbyt krótkie) by ono nie było? A jednak wydaje się, że dopiero teraz jesteśmy bardziej skłonni pozwalać im na życie w pełnej zgodzie z własną naturą.

Wydaje się też, że świat ledwie zaczyna naprawdę okazywać swoją wielką miłość do tych czworonogów – bo jak inaczej wyjaśnić nagły wybuch zainteresowania wszystkim, co ich dotyczy? Książki podobne do tej, filmy, programy telewizyjne, memy internetowe, obsesja mediów społecznościowych na ich punkcie, kocie gwiazdy (Grumpy Cat, Bob i inne osobowości), niezliczone nagrania szaleństw kotów i kociaków wszelkich maści, gabarytów i stylów życia. Moja żona uparcie twierdzi, że gdybym tylko mógł, to spędzałbym całe dnie na ich oglądaniu. (Istnieją gorsze sposoby na życie). Jestem pewien, że to nie przelotna moda; to świat, który wreszcie uświadamia sobie kocią rzeczywistość: one nas akceptują. Kochają nas. Jesteśmy szczęściarzami. Dla tych z nas, którzy również je kochają, to ogromne wyróżnienie. Bo z żadnym innym zwierzęciem porozumienie międzygatunkowe nie jest łatwiejsze i urokliwsze niż z kotem.

Jeffrey Moussaieff Masson

Berlin, Niemcy

28 grudnia 2016 r.

Rozdział pierwszy

Portland, Oregon: około północy

Było tuż po północy, ulice już opustoszały, a Michael King znowu był pijany. Padał rzęśisty deszcz, dość zimny jak na połowę września. Z długich, siwiejących włosów i przerzedzonej brody Michaela kapłała woda, a jego obdarte ubrania przemokły do suchej nitki. Chodnik był tak zalany, że on i jego towarzysz czuli, jakby przedzierali się przez moczary. Michaelowi to zbytnio nie przeszkadzało. Nie padało już od pięćdziesięciu jeden dni, co stanowiło nowy rekord długości suszy, więc zimny deszcz przyniósł miłą ochłodę. A żyjąc na ulicy, Michael był przyzwyczajony do tego, że czuje się brudny.

Niemal dekadę wcześniej pracował jako szef kuchni w St. Louis, dobrze zarabiał i mieszkał w ładnym domu. Potem stracił kogoś ukochanego i został włóczęgą. Teraz, mając czterdzieści siedem lat, wyglądał na starszego, zmęczonego życiem człowieka, z brakującym przednim zębem i pokaźnym zbiorem blizn. Jego żywe niebieskie oczy były zacienione przez worki pod nimi, a po latach ostrego picia i sypiania na poboczu bądź w kartonowych pudłach pod wiaduktami wyraźnie zarysowane policzki Michaela zapadły się i pokryły zmarszczkami. Cały jego majątek nie przekraczał sumy trzech dolarów w monetach, brzęczących mu w kieszeniach.

Zatrzymując się pod jedną ze sklepowych markiz, otworzył puszkę four loko, a jej zawartość przelał do na wpół opróżnionej butelki taniego piwa słodowego, którą już zdążył napocząć. Dolał coś jeszcze z butelki cydru, którą wygrzebał wcześniej ze śmietnika, i tak przyrządzoną miksturę nazwał Chodnikowym Łomotem. Po kilku haustach poczuł odrętwienie.

Podał butelkę swojemu przyjacielowi Joshowi Stinsonowi, szczupłemu, nieogolonemu dwudziestosiedmiolatkowi ubranemu w postrzępioną czerwono-czarną flanelową koszulę i brudne, podarte czarne dzinsy spięte w pasie agrafką.

Stinson pociągnął głęboki łyk mikstury Michaela.

– Dobrze, co? – zapytał Michael.

Stinson przełknął z trudem i skrzywił się.

– Można się przekręcić – odparł, oddając butelkę. – Wypompowałeś to z baku czyjegoś samochodu?

Szli dalej Hawthorne Boulevard, a Michael dopijał swój alkohol. Nocą na bulwarze co kilka przecznic pojawiały się obozowiska bezdomnych.

Nagle Michael potknął się o przemoczony materac wystający z bramy.

– A niech to – mruknął. Zamiast na chodniku, wolał sypiać w zaroślach i w odosobnionych miejscach, gdzie nikt mu nie przeszkadzał.

Przedzierając się przez ulewę, Michael i Stinson zmierzali w stronę swojej zwyczajowej noclegowni obok rampy załadunkowej UPS przy opuszczonym skrzyżowaniu Hawthorne i SE 41st Avenue. Zwolnili, gdy mijali Tabor Hill Cafe, zapuszczoną, staroświecką restaurację, o tej porze już zamkniętą. Michael poczuł ukłucie głodu, które jakoś zdołało przedrzeć się przez mgłę upojenia alkoholowego. Na widok rysunków jajecznic, gofrów, burgerów i frytek w witrynie ślina napłynęła mu do ust.

Nagle pod jednym ze stojących na zewnątrz stolików zauważył coś białego. Pochylił się i zaczął wpatrywać w ciemność, myśląc, że to może reszki jakiegoś jedzenia w koszu. Fantazjował o makaronie z serem i purée ziemniaczanym z sosem grzybowym. Miał zmysł do znajdowania niezwykłych skarbów: monety, zepsuta biżuteria, nadjedzone kanapki i tym podobne na ulicy miały wartość nie do przecenienia. Był w tym tak dobry, że inni bezdomni nadali mu przydomek Węszyciel.

– Na co tak patrzysz? – zapytał Stinson, przyklękając obok Michaela.

Spojrzenie bezdomnych odwzajemniła para jarzących się w ciemności oczu. Ich właścicielką była przemoknięta, drżąca z zimna kotka, która siedziała skulona, chowając się przed deszczem. Michael był rozczarowany – jedzenie byłoby lepszym znaleziskiem – ale coś w spojrzeniu zwierzęcia zaniepokoiło go. Jej białe, ozdobione prążkami futerko całe było powalane brudem i olejem silnikowym. Jedno z oczu miała opuchnięte, a na jej pyszczku zobaczył otwartą ranę. Kotka była przerażona i wyglądała jeszcze nędzniej od Michaela.

– Łap tego kota – powiedział do Stinsona, który był bliżej zwierzęcia. – I postaraj się go nie wystraszyć.

Nawet o tak późnej porze ulicą przejeżdżały jeszcze samochody, więc jeśli kotka wyskoczy na drogę, najpewniej dostanie się pod czyjeś koła.

Stinson sięgnął po nią, ale odskoczyła do tyłu, nie spuszczając z niego wzroku. Gdy towarzysz Michaela ponownie wyciągnął rękę, tym razem zrobiła unik w bok, przygotowując się, by ominąć ich jednym susem.

Michael odwrócił się i zobaczył nadjeżdżający samochód; we mgle zamigotały jego reflektory.

– A niech to – powiedział.

Stinson rzucił się szybko i pochwycił kotkę, zanim ta zdążyła umknąć na chodnik. Zwierzątko sapało, gdy przytulił je do piersi, ale nie próbowało się wyswobodzić. Spojrzał na kotkę, na zabłocone futerko, które przylepiało się jej do pyszczka, i delikatnie przesunął brudną dłoń po jej główce. Kotka natychmiast schowała w nią pyszczek.

Stinson podniósł wzrok i spojrzał na Michaela zza swoich zaparowanych okularów w drucianych oprawkach.

– Myślę, że powinniśmy ją ze sobą zabrać.

– Niech zerknę – odparł Michael, biorąc kotkę na ręce. Była tak wychudzona, że prawie nic nie ważyła. Michael mieszkał na ulicy dłużej od Stinsona i uważał, że jeśli nie miało się nic do zaoferowania, lepiej było nikomu nie pomagać. Ale kochał koty i chciał zabrać tę biedną, wynędzniałą koteczkę z deszczu i z dala od ruchliwej ulicy.

– Może weźmy ją na noc – podsunął Stinson. Ten bezdomny, młody weteran z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie zawsze instynktownie wiedział, jak należy postąpić, zwłaszcza jeśli chodziło o bezbronne zwierzęta.

Kotka spojrzała na Michaela dużymi, błyszczącymi oczami, żałośnie drząc z zimna w jego ramionach.

– Hej, kiciu – odezwał się łagodnym, uspokajającym tonem. – Co ci się stało?

Schował ją sobie za pazuchę i razem ze Stinsonem zabrali kotkę do małej wnęki za punktem UPS, którą nazywali domem. To było dobre miejsce, by spędzić noc bez strachu przed rabunkiem, pobiciem czy przepędzeniem przez policję. W ciągu dnia wrzała tu praca, a samochody dostawcze wciąż wjeżdżały i wyjeżdżały. Michael i Stinson musieli wstawać przed otwarciem i chować śpiwory w pobliskich zaroślach, mogąc wrócić dopiero po zamknięciu. Ale wtedy, w cieniu wielkiego klonu czerwonego, panowały tu cisza i spokój. Po drugiej stronie ulicy znajdował się supermarket New Seasons, pod którym Michael i jego znajomi niekiedy zebrali.

– Jesteśmy na miejscu, kiciu – oznajmił Michael, sadzając kotkę na suchym skrawku ziemi w bramie, po czym wyciągnął z zarośli swój plecak i śpiwór. Myślał, że kotka ucieknie, ale trzymała się go blisko, obwąchując okolice, podczas gdy on rozstawiał obóz.

Stinson też wyjął plecak i rozłożył śpiwór na spłaszczonym kartonowym pudle, które schował pod rozłożystymi gałęziami klonu. Usiadł po turecku, poszperał w swoich rzeczach i znalazłszy w nich bluzę z kapturem, wsunął ją na siebie przez głowę. Deszcz przemoczył jego skołtunione rudoblond dredy wystające spod grubej ciemnoniebieskiej czapki. Pachniały wilgocią.

Kotka przywędrowała do jego śpiwora. Wyglądała, jakby tułała się już od jakiegoś czasu, zupełnie jak oni. Nie miała obróżki i od czasu do czasu drapała się po brzuchu, polując na pchły. Stinson wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po wilgotnym, zmatowiałym futrze na grzbiecie. Na widok otwartej, sączącej się rany na pyszczku kotki posmutniał.

– Masz za sobą trudne przejścia, co? – zapytał z litością.

Mała pręguska spojrzała na niego zdrowym okiem i zamiauczała, raz jeszcze wciskając mu tył głowy w dłoń, po czym wdrapała mu się na kolana i zasnęła.

Stinson pogłaskał ją.

– Skóra i kości – powiedział, odwróciwszy się do Michaela.

Ten nic nie odpowiedział, ale po chwili wstał.

– Co robisz?

– Idę kupić kocią karmę.

Stinson patrzył, jak Michael się oddala. Po raz pierwszy od bardzo dawna chciał wydać ostatnie pieniądze na coś innego niż alkohol.

Michael i Stinson poznali się, kiedy wpadli na siebie w pewnej bramie w Santa Barbara wiosną owego roku, a tym, co ich połączyło, był niespokojny duch, który w nich obu drzemał, sarkastyczne poczucie humoru i miłość do zwierząt. Stinson służył w marynarce, ale po czterech latach został z niej wyrzucony za palenie marihuany. Tuż przed przeprowadzką do Portland pracował w Japonii jako listonosz – wciąż miał swoje japońskie prawo jazdy.

Michael wrócił kwadrans później z półlitrowym kartonem mleka i puszką Meow Mix. Kotka obudziła się, a kiedy zobaczyła jedzenie, aż otworzyła z wrażenia pyszczek, wydając z siebie ciche kwilenie głodnego kota. Michael podniósł ją z kolan Stinsona i postawił na chodniku. Otworzył puszkę, wylał papkę do pudełka po burgerze i postawił je przed kotką. Zamiauczała słabo i zaczęła skubać jedzenie, ale już po kilku sekundach łąpczywie je pochłaniała. Michael wlał mleko do plastikowej pokrywki, którą znalazł na ziemi, a ona równie szybko je wychłęptała.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu, przyglądając się kotce. Po skończonym posiłku trąciła nosem ich obu i pougniatała łapkami ich klatki piersiowe, by okazać swoją wdzięczność, a następnie znów ułożyła się na kolanach Stinsona, głośno mrucząc. Potem przeszła na kolana Michaela, jeszcze chwilę pomruczała i ponownie zasnęła.

– To skaleczenie na jej policzku wygląda dość paskudnie – powiedział Michael, przyglądając się ranie bitewnej kotki.

Nie budząc jej, sięgnął do plecaka, z którego wyjął garść serwetek z Taco Bell i miniapteczkę. Jeden z jego przyjaciół kupił mu ją, bo Michael ciągle miał jakieś obtarcia po pijackich upadkach. Delikatnie oczyścił czerwoną ranę na pyszczku kotki, a następnie odrobiną jodiny przemył też jej uszy. Podczas tych zabiegów zaspana kotka nawet się nie wzdrygnęła. Wydawała się dobrze wiedzieć, co robi jej nowy przyjaciel.

Jeszcze raz sięgnął do plecaka, gdzie znalazł olejek z wiesiołka – prezent od kolejnego znajomego – który dostał na wypryski na przedramionach. Nigdy go nie używał, ale teraz stwierdził, że może pomóc zaleczyć ranę kotki.

– Nie jest zbyt głęboka – powiedział, muskając odrobiną olejku rozcięcie na jej pyszczku. – Pewnie zaatakował ją inny kot. A przynajmniej mam nadzieję, że to był kot.

Michael przekazał kotkę Stinsonowi, a sam rozłożył na kartonie swój zniszczony śpiwór i zmęczony, wślizgnął się do środka. Od lat spał na twardej ziemi – było na niej wygodnie tylko po pijanemu, ale opróżnił już całą butelkę Chodnikowego Łomotu, a za pieniądze przeznaczone na napitek „na dobranoc” kupił jedzenie dla kotki.

Gdy obaj przygotowywali się do snu, mała się obudziła, a kiedy Michael był już zdecydowany się położyć, podkradła się do brzegu jego śpiwora i zaczęła go dookoła obwąchiwać.

Potem podeszła jeszcze bliżej i usiadła przy twarzy Michaela z lekko drgającym ogonem.

– Czego pani sobie życzy? Nie mam więcej kocięj karmy.

– Chyba chce, żebyś ją wpuścił do śpiwora – odezwał się Stinson.

„Musi być niezłe zdesperowana, skoro chce mi wskoczyć do łóżka”, pomyślał Michael. Alkohol przestawał działać, a on chciał tylko odpłynąć. Zamknął na chwilę oczy, ale sen nie przychodził. Gdy znowu je otworzył, zobaczył, że kotka wciąż siedzi przy jego głowie, wpatrując się w niego zawzięcie.

– No dobra, kiciu – powiedział, unosząc połę. – Dziś możesz ze mną spać.

Kotka wpełzła do śpiwora i wtulając się w pierś Michaela, zaczęła cicho, hipnotyzująco mruczeć, zupełnie jakby była jego osobistą farelką.

Michael spojrział na Stinsona, który wzruszył ramionami.

– Lubi cię – powiedział.

„Nieważne”, pomyślał Michael, „i tak zniknie przed wschodem słońca”.

Jednakże o poranku poczuł na policzku coś szorstkiego, a gdy otworzył oczy, zobaczył, że to kotka stoi na chodniku i liże go po twarzy. Na wpół przebudzony, wysunął rękę ze śpiwora i potarł małą za uchem. Spojrzała na niego, jednym okiem zdrowym, a drugim wciąż opuchniętym, i zamiauczała, najwyraźniej dając mu do zrozumienia, że jest głodna.

– Powinnaś znaleźć sobie innego opiekuna – powiedział, wstając. Już nie miał jej co dać. Uprzątnął swoje rzeczy, wziął ją na ręce i przez chwilę głaskał. Potem postawił kotkę na ziemi przy krzakach i poszedł na żebry. Myślał, że nigdy jej już nie zobaczy.

Ale gdy po południu wrócił do swojej miejscówki, kotka wciąż na niego czekała. Miał mglistą nadzieję, że tak będzie, więc przyniósł ze sobą kilka puszek kocięj karmy z supermarketu, środek na pchły i kompres na jej opuchnięte oko.

Po wspólnym obiedzie oboje położyli się w śpiworze, by spędzić razem kolejną noc, czując się ze sobą jak w domu.



Rozdział drugi

Smutek po kotce

– Maaata! – zawołał Ron Buss, zaglądając w ciemność pod werandą sąsiadki. Jego kotka lubiła się tam chować i przepędzać myszy z gniazda. Klęczał i opierał się dłońmi o ziemię, by móc zaświecić latarką w każdy ciemny kąt, ale nie dostrzegł niczego oprócz pajęczyn, suchych liści i świerszczy.

Podniósł się i zaszeleścił paczką chrupek, żeby wywabić ją z kryjówki. Zazwyczaj na kilometr słyszała swoje hałasujące przysmaki. Ron szukał kotki już od wielu godzin, ale wszelki ślad po niej zaginął. Zaczął podejrzewać najgorsze.

Potarł się po ogolonej głowie i wyprostował podkoszulek z zespołem rockowym Ministry. Mimo że był przysadzistym pięćdziesięciolatkiem, Ron zachował żywiołowy, chłopięcy wygląd, a przerwa między zębami, którą mógł się poszczycić, dodatkowo go podkreślała. Jako dziecko marzył, że zostanie słynnym muzykiem i będzie podróżował po świecie, a ta szczenięca wiara w nieskończone możliwości nigdy go nie opuściła, nawet po tym, jak dołączył do rodzinnej firmy produkującej schowki magazynowe.

Po dwudziestu pięciu latach sprzedał swoje udziały siostrze i szwagrowi, a za zarobione pieniądze zaczął kolekcjonować gitary i wkrótce otworzył sklep pod nazwą Boojumusic Guitar & Crazy Crap Inc., z siedzibą w nieużytkowanym biurze rodzinnej firmy, którego ściany wytapetował wystrzępionymi plakatami Davida Bowiego i Marca Bolana, a wnętrza zappełnił pamiątkami z koncertów z lat siedemdziesiątych. Jako wielbiciel Beatlesów specjalizował się w sprzedaży kolekcjonerskich egzemplarzy ich płyt, a także mikrofonów w stylu vintage, wzmacniaczy oraz unikatowych gitar elektrycznych Fender Stratocaster z lat sześćdziesiątych, których ceny sięgały nawet dziesięciu tysięcy dolarów. Był to skromny biznes, ale na nowo rozpałił jego dawną pasję. Współpracował z przyjaciółmi muzykami, publikując niewielkie nakłady albumów z niezależną muzyką R&B, dzięki czemu utrzymywał swoje marzenia przy życiu.

Bardziej od rock'n'rolla Ron kochał tylko swoje dwa koty, Matę Hairi i Creta. Zajmował się nimi niemalże tak, jakby wychowywał dzieci, zapewniając im wzbogacające doświadczenia. Zabierał je na plażę (bały się fal, ale Ron twierdził, że takie doznania „kształtują charakter”), wyprawiał im przyjęcia urodzinowe z pompą („koty też lubią dobrą zabawę”) i pisał dla nich piosenki na swoją gitarę akustyczną („koty to w głębi duszy rockmeni”). Oprócz tego gotował dla nich – w Whole Foods kupował ekologiczne kurczaki i łososia poławianego w naturalnym środowisku.

Jego ojciec, emerytowany prawnik, był zmieszany obsesją syna. Uważał ją za żalostną i często powtarzał Ronowi: „Możesz pojechać wszędzie, robić wszystko, a ty chcesz tylko być ze swoimi kotami”.

Będąc dzieckiem, Ron nigdy nie miał zwierzątka, mimo że bezustannie błagał rodziców o kota lub psa. Kiedyś znalazł bezdomnego psa, ale matka powiedziała, że zwierzak musi zostać w garażu. Gdy następnego popołudnia Ron wrócił ze szkoły, psa już nie było. Matka odwiozła go do schroniska. To złamało mu serce. Kota przygarnął dopiero, gdy skończył studia. Ta urocza czarnulka sprawiła, że zakochał się w tych zwierzętach na zabój. Teraz koty były dla niego całym światem.

Poranek upłynął Ronowi na odbieraniu swojego chevroleta chevelle '67 z warsztatu i załatwianiu kilku spraw dla ojca, Donalda, który mieszkał niecałe pół godziny drogi od jego domu. Niewiele wcześniej on i jego siostra, Teresa, obiecali umierającej matce, że zaopiekują się tatą, choć od rozwodu rodziców upłynęło już kilkadziesiąt lat. Po rozwodzie Donald ożenił się z kobietą o imieniu Judy, swoją dawną sekretarką, która była od niego młodsza o piętnaście lat z okładem. Ron bardzo długo uważał ją za osobę, która rozbiła jego rodzinę, i nienawidził jej za to, że jego matka tyle przez nią wycierpiała, choć ona sama przed śmiercią przestała żywić urazę do Judy. Koniec końców Ron również jej wybaczył.

Ronowi spieszo było do domu, bo cieszył się na myśl o długim weekendzie, który właśnie się zaczynał. Było pogodnie, ciepłe popołudnie babiego lata, sobota w przeddzień Święta Pracy. W planach miał spotkanie z przyjaciółmi na dorocznych tańcach Last Chance Summer Dance nad brzegami rzeki Willamette i chciał tam również zabrać swoje koty. Większość turystów zdążyła już wyjechać, więc Portland wyglądało na wymarłe. Jedynymi dźwiękami, jakie dało się słyszeć w jego okolicy, były krakanie wron, szelest spadających szyszek i gwizd pociągów w oddali.

Ale gdy zatrzymał się przed swoim biało-złotym, parterowym domem w stylu Craftsman położonym na rogu SE 37th Avenue, w zielonej dzielnicy Richmond nieopodal Berkeley Park, wiedział, że coś jest nie tak. Stół piknikowy na trawniku przed domem, na którym Mata zazwyczaj na niego czekała, był pusty.

Myśląc, że przegonił ją jakiś pies albo schowała się przed upałem gdzieś w pobliżu, w szopie albo pod jednym z krzewów, Ron zaczął przeszukiwać podwórka sąsiadów, wykrzykując jej imię. Brat Maty Hairi, czarno-biały Creto, szedł za nim krok w krok, niuchając i płaczkliwie wołając siostrę.

Usłyszawszy Rona, na werandę wyszła jego najbliższa sąsiadka, Ann, i powiedziała, że tego ranka Mata chodziła za nią, gdy ona przycinała swoje róże, ale od tamtej pory jej nie widziała. Ann miała wielkiego czarnego, jednookiego kocura o imieniu Gordon, którego Ron znalazł i przygarnął. Ciągle znajdował i ratował bezdomne zwierzęta.

– Maaata! – zawołał ponownie, ostrożnie przeczesując kłujący żywopłot z ostrokrzewu okalający podwórko Ann, w którym Mata niekiedy lubiła ucinać sobie drzemkę.

– Mata, daj spokój – powiedział. – Nie rób mi tego.

Mata zawsze lubiła małe wędrówki i spędzała dni na patrolowaniu trzech najbliższych przecznic w spokojnej okolicy porośniętej starannie przyciętymi różami i cienistymi platanami, ale nigdy zbyt daleko się nie oddalała. I zawsze przychodziła na wołanie Rona. Ona i Creto trzymali się blisko domu, a jeśli zdarzyło im się nie wrócić przed zmrokiem, dostawały jedno- bądź dwudniowy szlaban. Tak więc były raczej posłuszne.

Mata i Creto należały do piątki kociąt porzuconych przy werandzie domu sąsiadki Rona, Stephanie. Gdy zajrzał do pudła w jej kuchni i ujrzał pięć drżących kociaków – maleńkich, cicho pomiaukujących kulek z puchu i kosteczek, o sklejonych oczach – wiedział, że musi im pomóc. Stephanie była w trakcie pakowania przed przeprowadzką, a ostatnie dwa koty Rona niedawno odeszły za tęczyowy most, więc przejął opiekę nad znajdkami. Kilkanaście razy dziennie karmił te dwutygodniowe, niedożywione sieroty za pomocą zakraplacza i w ten sposób uratował im życie. Dwa miesiące później dwojgu znalazł domy, a jedno przygarnęła Stephanie. Pozostałą dwójkę zatrzymał i nadał jej imiona bohaterów swojego ulubionego programu dla dzieci z lat siedemdziesiątych *Lancelot Link, Secret Chimp*, w którym występowały szympansy w ubraniach prowadzące agencję detektywistyczną; Mata Hairi była asystentką głównego bohatera, Lancelota, a Creto, ich wąsaty kierowca, podwójnym agentem i arcyłotrem.

Teraz Ron wyjął z kieszeni szortów komórkę i zdenerwowany zadzwonił do Evana, trzydziestopięcioletniego fotografa, a zarazem irlandzkiego przesiedleńca, z którym bardzo się zaprzyjaźnił. Poznali się rok wcześniej wiosną na wieczornym pikniku na plaży Rooster Rock w kanionie Columbia River Gorge. Od razu przypadli sobie do gustu i zostali swoimi skrzydłowymi.

– Mata chyba znowu zniknęła – powiedział rozedrgany i bliski płaczu Ron. – Martwię się, że ten psychol z naprzeciwka coś jej zrobił.

Evan starał się go uspokoić najlepiej jak mógł, ale Ron miał powody, by obawiać się o bezpieczeństwo Maty. Wiódł tu w miarę szczęśliwe życie przez ponad dwadzieścia lat, nawet kiedy okolica była zapuszczona i mniej elegancka, na długo przed tym, jak Portland nabrało bardziej stylowego, hipsterskiego oblicza. Przedtem dzielnicą rządził przywódca meksykańskiego gangu i był tu ośrodek przejściowy dla chorych psychicznie, choć teraz pozostało po nich jedynie mgliste wspomnienie. Ron znał większość swoich sąsiadów i z nikim nie miał żadnych kłopotów – do czasu. Kilka lat wcześniej zamieszkał tu pewien osiłek o imieniu Jack, który szybko zyskał w okolicy reputację szemranego typu o wybuchowym temperamencie.

Ten dwudziestoparoletni, ciężki, umięśniony były zapaśnik okazał się bezrobotnym spawaczem i robotnikiem budowlanym na utrzymaniu swojej dziewczyny. Czerpał chorą przyjemność z dręczenia Rona, którego nienawidził za to, że był gejem, miał nadwagę, kochał koty i zasadniczo uosabiał wszystkie najnowsze przywary Ameryki. Wysoki, wytatuowany, z ulizanymi do tyłu włosami, jak na faszystę przystało, z długą, hipsterską brodą i kolczykami na twarzy, Jack dominował nad Ronem i dał mu jasno do zrozumienia, że nie lubi zwierząt. Wcześniej Ron nie sądził, że Jack mógłby spróbować skrzywdzić jego koty, ale za każdym razem, gdy sąsiad przechodził przed jego domem, Mata syczała, a Creto natychmiast się chował. A kiedy przychodzili do niego przyjaciele z psami, te warczały na widok Jacka.

Mata zaginęła także niemal rok wcześniej, dwudziestego pierwszego grudnia 2011 roku, w jeden z najzimniejszych i najbardziej śnieżnych dni, a Ron podejrzewał, że Jack maczał w tym palce. Tamtego ranka przed wyjściem do pracy zamknął na klucz oba koty, ale gdy przed wieczorem wrócił do domu, tylne drzwi były uchylone. Wtedy ostrożnie wszedł do środka i zauważył, że drzwi jego sypialni, które również zamknął, są otwarte. W samym pomieszczeniu panował bałagan, wszystko było przewracane do góry nogami, a na stoliku nocnym Ron znalazł butelkę wody, która nie należała do niego. Najbardziej niepokojące było jednak to, że we wnęce pod komodą leżał wetknięty koc – to mógł zrobić ktoś, kto chciał uwięzić pod meblem małe zwierzę. Przerażony Creto schował się w szafie, a Mata zniknęła.

Ktoś ewidentnie włamał się do jego domu i ją uprowadził. Nic więcej nie zginęło. Jednak Ron nie zadzwonił na policję, ponieważ uważał, że nikt nie uwierzy, by ktoś mógł włamać się do czyjegoś domu tylko po to, by ukraść kota albo wypuścić go na zewnątrz.

Przez trzy następne dni od świtu do zmierzchu Ron gorączkowo przeczesał okolicę w poszukiwaniu Maty. Trzeciego dnia Jack zajechał na ulicę i wysiadł z samochodu. Widząc nawołującego i szukającego kotki Rona, powiedział, że jeśli Mata jeszcze żyje, to pewnie jest w lesie w sąsiednim stanie Waszyngton. Twierdził, że schowała się w bagażniku jego samochodu i pojechała z nim do Vancouver, do jego dziewczyny, Suzy. Uparcie twierdził, że wywiózł ją tam przypadkowo i nie miał pojęcia, że Mata jest w jego bagażniku, dopóki go nie otworzył, aby wyjąć swoje rzeczy, a ona wtedy wyskoczyła z niego jak błyskawica i pobiegła do lasu za domem jego dziewczyny.

Ron natychmiast zadzwonił do Suzy, którą poznał, gdy przyjeżdżała w odwiedziny do Jacka, i którą zdążył polubić. Zawsze przeproszała go za humory i zjadliwe komentarze swojego chłopaka. Zdradziła Ronowi swoje podejrzenia, że Jack mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Maty, bo ostatnio dziwnie się zachowywał, zupełnie jakby miał coś do ukrycia. Gdy tylko Ron się rozłączył, wsiadł do samochodu i pojechał do oddalonego o czterdzieści pięć minut drogi Vancouver, gdzie on, Suzy i jej sąsiad, były policjant, a obecnie detektyw, do zmierzchu przeczesał las w poszukiwaniu Maty.

Gdy zawrócili do domu Suzy, były policjant stwierdził, że wersja Jacka jest wybitnie niewiarygodna.

– Z doświadczenia wiem, że takie rzeczy po prostu się nie zdarzają – powiedział. – To się kupy nie trzyma. Koty nie wskakują do bagażników zaparkowanych samochodów, zwłaszcza jeśli te auta należą do ludzi, na których syczą.

Przez wiele następnych tygodni Ron wracał do tych ośnieżonych lasów, szukając Maty i zostawiając jej jedzenie. Po kilku miesiącach daremnych starań nabrał przekonania, że Jack zabił kotkę.

Jednak pół roku później, dwudziestego pierwszego czerwca 2012 roku, odebrał telefon od firmy chipującej zwierzęta z informacją, że Mata została znaleziona i przekazana Humane Society for Southwest Washington w Vancouver, towarzystwu opieki nad zwierzętami, które Ron już kilkakrotnie odwiedził podczas tych pierwszych tygodni, pełnych stresu i rozpacz. Natychmiast wsiadł za kierownicę i ją odebrał. Przez pewien czas zachowywała się niemalże jak dzika kotka, była płochliwa i znerwicowana, ale powoli na nowo przyzwyczajała się do domowego życia z Ronem i Cretem.

A teraz znowu zniknęła.

Ron spędził całą noc na poszukiwaniach. Następnego dnia zauważył samochód Jacka na podjeździe przed jego domem, więc przeszedł na drugą stronę ulicy i zapukał do sąsiada. Od powrotu Maty panował między nimi napięty pokój, zawarty, gdy Ron przeprosił Jacka za oskarżenie go

o uprowadzenie kotki i podarował mu zgrzewkę piwa. Ale wciąż się go bał. Czując, że nawet pytanie o to, czy nie widział jego kota, może wywołać kolejną wojnę, chciał jedynie wy badać reakcję Jacka. Kiedy więc sąsiad otworzył drzwi, Ron powiedział mu tylko, że Mata znowu się gdzie zabłąkała, i poprosił go, by miał otwarte oczy.

Neutralna prośba Rona rozżłościła Jacka.

– Nie jestem kocim hyclem. A teraz jazda z mojego ganku – warknął i zatrzasnął Ronowi drzwi przed nosem.

Jego wrogość obudziła w Ronie jeszcze większe podejrzenia.

Przez wiele następnych tygodni przemierzał ulice w poszukiwaniu Maty. Nawoływał ją, dopóki nie ochrypl. Nocą przesiadywał w pobliskim parku z otwartymi puszkami kocięj karmy. Za każdym razem, gdy na czyjeś werandzie zauważał siedzącego kota, sprawdzał, czy to nie Mata, i pukał do drzwi danego domu. Ludziom, którzy mu otwierali, pokazywał zdjęcie kotki, pytając, czy jej nie widzieli. Podskakiwał na każde miauknięcie, jakie dobiegało jego uszu z podwórza, i na każdy dźwięk kocich bijatyk. Czasami budził się nagle w środku nocy, zmartwiony, że Mata jest zamknięta w jakiejś piwnicy albo uwięziona w szopie. W takich chwilach wypełzał z łóżka i chodził od podwórka do podwórka, a nawet zapuszczał się na werandy sąsiadów, by zajrzeć przez okno w nadziei, że w środku dostrzeże Matę.

Co wieczór na tylnym ganku zostawiał dla niej suchą karmę i wodę, skontaktował się ze wszystkimi miejscowymi weterynarzami i schroniskami, wydrukował plakaty z informacją o zaginionym kocie, które rozwiesił po okolicy. Pod zdjęciem Maty napisał: „Nagroda za odnalezienie zaginionej kotki. Czy widziałeś mnie w południowo-wschodnim Portland? Mata jest bardzo słodką kotką o dobrej intuicji i podejście do każdego, od kogo nie wyczuje złych zamiarów. Ma też chip, który można sprawdzić u dowolnego weterynarza bądź w stowarzyszeniu opieki nad zwierzętami. Bardzo za nią tęsknię”. Dołączył swój numer telefonu, a także link do profilu na Facebooku, bo słyszał historie ludzi, którzy odnaleźli swoje zwierzaki dzięki mediom społecznościowym.

Rozwieszając plakaty, przeglądał też inne ogłoszenia. Przeczytał o zaginionej czternastoletniej dziewczynce o rudoblond włosach. Wśród tego kolażu znalazło się również ogłoszenie o innym zbiegu, a mianowicie alpace o inteligentnym spojrzeniu, ogromnych, wodnistych czarnych oczach i burzy futra, które wyglądem przypominało afro. Obok wzmianki o nagrodzie w wysokości tysiąca dolarów widniało ostrzeżenie: „Sprawdźcie swoje podwórka na tyłach domów i szopy. Jeśli go zauważycie, nie przestraszczone go, bo na was napluje. Zwabcie go mleczami i trawą pszeniczną”.

„To możliwe tylko w Portland”, pomyślał Ron. Przez następnych parę tygodni odebrał kilkanaście telefonów od ludzi, którzy widzieli białego kota z pręgami i szarymi łatami. Jeden mężczyzna zauważył, jak myszkuje w jego śmietniku.

– Wyglądała na bardzo wychudzoną, jak te bezdomne koty w Meksyku – powiedział. – Aż jej żebra wystawały.

Jednak kolejne tygodnie nie przynosiły żadnych dalszych wieści, a Ron popadał w coraz większą rozpacz i przygnębienie. Stał się tułaczem w swoim własnym życiu.



Rozdział trzeci

Przygarnij mnie

Podczas gdy Ron szukał swojej Maty Hairi przez te pierwsze tygodnie po jej zniknięciu, kotka była kilka przecznic dalej, w gorszej części Hawthorne Boulevard, i zadomawiała się w nowej kwaterze w zatoczce UPS.

Człowiek, który ją przygarnął, Michael King, wcale nie chciał mieć kota. Ten bezdomny alkoholik z depresją, który spał na ulicy i żebrał o resztki, sam ledwie mógł się wyżywić. Teraz jednak zapragnął otoczyć opieką to małe, ranne stworzenie. Każdego ranka budził się z Matą u boku, a ona przeciągała się i słodko ziewała. I każdego dnia myślał: „Pewnie i tak ucieknie”. Jedna jego część chciała, żeby tak było, ale druga niecierpliwie czekała na kolejne spotkanie z kotką.

On i Stinson wprowadzili mały program dnia dla zwierzaka. Michael chował swój śpiwór w krzakach i udawał się ze Stinsonem na zwyczajowy obchód, zostawiając kotkę jej własnym sprawom w zaroślach. Najpierw znajdowali gniazdko w jakiejś jadłodajni albo kawiarni, żeby podładować komórki. Jak wielu ich bezdomnych znajomych używali telefonów na kartę i mediów społecznościowych ze względów praktycznych, takich jak szukanie darmowych posiłków, noclegów w złą pogodę, dorywczej pracy czy niezbędnych świadczeń socjalnych. Niektóre schroniska w Oregonie rozdawały nawet używane komórki, dzięki którym bezdomni mogli pozostać w kontakcie z rodziną i przyjaciółmi.

Michael, Stinson i wielu ich przyjaciół korzystali z Facebooka. Jak dla wszystkich, tak i dla nich stał się on wirtualnym domem. Tu nie czuli się niewidzialni; pozostawali w kontakcie ze znajomymi i tworzyli grupy wsparcia. To było darmowe i łatwe. Potrzebowali tylko telefonu i sieci Wi-Fi, a w Portland nie brakowało punktów z darmowym dostępem do internetu.

Michael i Stinson chodzili najczęściej do El Cubo de Cuba, otynkowanej na jaskrawopomarańczowy kolor stołówki-kawiarni na rogu Hawthorne i SE 31st Avenue. Rano, przed otwarciem lokalu, siadywali przy odsuniętych stołach piknikowych, by podładować telefony i zaparzyć sobie kawę. Wczesną jesienią podkradali jabłka, śliwki, truskawki i pomidory z ogródków społecznych, zbierali niedopałki papierosów i szukali wyrzuconych, niedojedzonych burritos, słodkich bułek i kanapek z przypieczonym serem na tyłach budek z jedzeniem przy Division Street.

I każdego ranka przez ten pierwszy tydzień kotka odprowadzała ich wzrokiem, a gdy wracali o zachodzie słońca, czekała na nich w tym samym miejscu.

– A niech to – gderał Michael, choć nie mógł zdusić radości na jej widok. – Ten kot wciąż tu jest.

Po kilku dniach zaczął nazywać kotkę Tabor, na cześć restauracyjki, pod którą ją znaleźli.

– Tabor – mówił co wieczór – wróciliśmy.

Wyskakiwała wtedy z podniesionym ogonem ze swojej kryjówki w zaroślach i podbiegała do nich, by się przywitać, miaucząc całą drogę. Jako wieczny głodomór podkradała się do nóg Michaela i węszyła wokół nich w poszukiwaniu przysmaków. Stinson karmił ją kawałkiem kanapki z jajkiem albo innymi smacznymi kaskami, które wygrzebał z koszy na śmieci za budkami z jedzeniem, a ona połykała je niespokojnie jak mała panikara. Po zjedzeniu wszystkiego wylizywała chodnik z okruszków, które przez nieuwagę ominęła. Potem Michael dawał jej puszkę kocięj karmy. Początkowo myślał, że trzyma ją przy nich tylko jedzenie. Choć na nią narzekał, cieszyło go, że może pomóc komuś w tym samym położeniu co on.

Ich pierwszy tydzień razem nie dobiegł jeszcze końca, a Michael ze zdziwieniem odkrył, że martwi się o Tabor i rozmyśla, co zrobić, by było jej wygodniej. Jedną ze swoich bluz wyścielał pustą skrzynkę na owoce, zamieniając ją w swoisty żłóbek, w którym kotka mogła spokojnie spać. Kocie łóżeczko schował w zaroślach i postawił przy nim miskę z wodą oraz suchą karmę na wypadek, gdyby

Tabor zgłodniała pod ich nieobecność.

Zauważyła, że kotka patrzyła teraz na niego jakoś inaczej i mruczała na jego widok, a gdy do niej przemawiał, otwierała szerzej oczy, uważnie nasłuchując.

– Tabor, spójrz, co dla ciebie mam – oznajmił pewnego razu, pokazując jej puszkę tuńczyka. Tego dnia udało im się sporo wyżebrać, więc chciał jej zrobić prezent. Kotka aż podskoczyła i miaucząc oraz popiskując z głodu, zaczęła niecierpliwie owijać się wokół jego nóg, gdy próbował otworzyć puszkę.

Zanim zdołał wyłożyć całą jej zawartość do miski, Tabor zanurzyła w niej głowę, połykając łapczywie wielkie kęsy tuńczyka. Michael pochylił się, by poklepać ją po grzbiecie, który wygięła w łuk, nie przestając pałaszować.

– Piękna jest, prawda? – powiedział, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Prawda – potwierdził Stinson.

Rzeczywiście, była małą, najwyżej trzy- albo czteroletnią piękną, o białym futerku pokrytym szarymi łatkami w tygrysie prążki i o głębokich, rozumnych oczach barwy liści eukaliptusa. Już się wymyła i wyglądała zdrowiej, jej sierść nabrała blasku, a opuchlizna na oku i rana na pyszczku ładnie się goiły. Stinson schylił się, żeby dać jej jedną ze swoich zimnych frytek.

– Fajnie jest mieć przy sobie kota. Uwielbiam patrzeć, jak chwyta jedzenie łapkami. To tak niesamowicie urocze.

Michael zatrzymał jego rękę.

– Nie możesz dawać jej śmieciowego jedzenia jak z McDonalda. Zniszczy jej wątrobę.

– A co ty wiesz o kotach? – zapytał Stinson.

– Wystarczająco dużo.

Obaj zgodnie zdecydowali, że to Michael przejmie opiekę nad Tabor, ponieważ wiedział, jak należy odpowiednio zajmować się kotem. Szczerze mówiąc, od czasu, gdy jako mały chłopiec przeczytał książki Dr. Seussa *Kot Prot* i *Kto zje zielone jajka sadzone?*, dorobił się niewielkiej obsesji na punkcie kotów. Będąc dzieckiem, nie mógł przygarnąć zwierzątka, ale wiedział, że nie ma to jak spokój ducha wypływający z przebywania w ich towarzystwie. Miał trzech braci i siostrę, lecz to on zawsze był tym cichym dzieckiem, które przemycalo do domu pisklęta z połamanymi skrzydełkami po wypadnięciu z gniazda i które chyłkiem wynosiło jedzenie ulicznym kotom. Zanim sam stał się bezdomny, rozpieszczał własne psy i koty, przynosząc do domu świeże mięso i ryby z restauracji, w których pracował.

Co wieczór po nakarmieniu Tabor Michael i Stinson siadywali obok siebie w swoim prowizorycznym azylu w zatoczce UPS, paląc skręcane papierosy i obserwując bawiącą się kotkę. Dzielili się niedojedzoną pizzą, zimnymi frytkami i innym jedzeniem, jakie udało im się znaleźć. Rozkładali je na talerze wydarte z kartonu i popijali z litrowej butelki napełnionej Chodnikowym Łomotem bądź tym, co Michael nazywał „pobudką”: mieszanką jakiegokolwiek alkoholu, który znaleźli albo kupili.

Gdy jedli, Tabor grała w piłkę, za którą służyła jej zmięta paczka po papierosach, albo dokonywała abordażu swojej pustej skrzynki i udawała, że zasada się na niewidzialną ofiarę, rzucając się do środka z wyciągniętymi łapami, jakby dawała nura do basenu. Miewała dziesięciminutowe napady kociej manii, kiedy to śmigała po działce, miaucząc i mrucząc coś pod nosem. Pewnego wieczoru Michael rzucił jej myszkę z kocimiętką, którą dla niej kupił. Tabor skoczyła na zabawkę i zaczęła boksować ją łapami, a następnie zaniósła myszkę do zrobionego przez Michaela żłóbka.

– Pociesza jest – powiedział. – Wczoraj wieczorem wykopała ze śmietnika puszkę sardynek i schowała je do swojego łóżka, tak jak teraz tę mysz. To bardziej szop niż kot.

Stinson się uśmiechnął.

– Może powinieneś ją zatrzymać – odrzekł.

Michael nie tryskał entuzjazmem.

– To zły pomysł.

– Czemu? Jest fajna, słodka i rzadko narzeka.

Michael nie odpowiedział.

Mimo że Michael był jego najbliższym przyjacielem, Stinson niewiele o nim wiedział poza tym, co udało mu się wyłowić ze strzępów rozmów. Michael nie mówił dużo o swojej przeszłości, a o uczuciach w ogóle. Jasne było, że kiedyś spotkało go coś druzgocącego. Żył na ulicy już długo, udzielał cennych rad, jak przetrwać, i opowiadał śmieszne historyjki. Jednak chwilami stawał się wycofany i popadał w depresję. Stinson chciał, żeby był szczęśliwszy, więc cieszył się, że kotka rozśmieszała Michaela i że mogli się na niej skupić.

Nocą Tabor była jak ćma – kursowała między Stinsonem a Michaeliem, dopóki nie poszli spać, a przy każdym najmniejszym świetle dostawała głupawki. Budziły ją też przejeżdżające samochody i bała się syren radiowozów oraz karettek. Ale lubiła wczesne pobudki i oczekiwała, że wszyscy będą wstawać wraz z nią – niekiedy włączała się jak zepsuty budzik, miauczając głośno o czwartej nad ranem. Przy pierwszych promieniach słońca zaczynała skakać od śpiwora do śpiwora, próbując obudzić chłopaków. Jeśli Michael nie chciał wstać, kiedy sobie tego życzyła, ciągnęła go za brodę, stukając go łapą w twarz albo lizała po powiekach.

Pewnego ranka pod koniec września poszła za nim na tyły budynku, gdzie mył twarz i zęby pod kranem znajdującym się na zewnątrz. Zamiauczała i spojrzała na niego, jakby pytała: „Znowu mnie zostawiasz?”. Tego dnia, gdy opuszczali ze Stinsonem działkę, poszła za nimi. Najwyraźniej nie chciała zostać sama.

Michael stanął przed nią i westchnął, niepewny, co ma zrobić. Jednym susem skoczyła mu na nogę i wspięła się po niej na jego ramiona, a następnie na zdezelowany beżowy plecak.

– Chyba wszystko jasne – zaśmiał się Stinson.

– W porządku, Tabor – powiedział Michael, unosząc rękę, by poczochnąć jej głowę. – Dziś możesz iść z nami.

Jednak w chwili, gdy wyszli z parkingu na ulicę, kotka zeskoczyła z pleców Michaela i pognęła z powrotem w zarośla, gdzie zazwyczaj na nich czekała. Michael stwierdził, że nie może całe dni martwić się, że Tabor spadnie na ulicę i coś jej się stanie, więc tego popołudnia wydali ze Stinsonem wszystkie pieniądze z dziennych żebrów na smycz i elegancką psią obrozę w czerwono-pomarańczową kratkę. Uznali, że te przeznaczone dla psów są pewniejsze od cienkich kocich, z których łatwo się było wyswobodzić.

Następnego ranka, przygotowując się do opuszczenia miejscówki, Michael narzucił plecak, po czym zaprzął Tabor w obrozę i smycz i posadził ją na nim. Z początku nie bardzo jej się to podobało i próbowała uciekać.

– Nie, teraz idziesz ze mną – oznajmił, podnosząc ją i sadzając sobie z powrotem na plecaku, gdzie natychmiast złapała równowagę i się uspokoiła.

Michael szedł wzdłuż Hawthorne, a Tabor naprzemiennie sadowiła się na jego plecaku i ramieniu niczym przerośnięta papuga. Odwrócił się do Stinsona.

– Widzisz to? – zapytał, wskazując na ucieszonego kota. – Rewelacja, nie?

– To cygański kot – odparł Stinson, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ciekawe, czy wcześniej należała do jakichś podróżników.

– Albo kot cyrkowiec.

Potem za każdym razem, gdy wychodzili, Michael zapinał pasek plecaka, mówił „w górę” i wystawiał nogę, a Tabor wbiegała mu po niej na plecy. Z początku nie wiedziała, jak się chodzi na smyczy w stylu psa, i wolała być noszona.

Z Tabor na ramieniu Michaela obaj bezdomni byli zatrzymywani co kilka przecznic. Ludzie ciągnęli do nich, dając im jedzenie i pieniądze. Stinson zaczął nazywać Hawthorne Boulevard „Ścieżką Żłota” od pieniędzy, jakie zarabiali za zwykły spacer.

Za każdym razem, gdy mijali ogródek kawiarni czy restauracji, ludzie się uśmiechali. Od dawna już nikt poza innymi włóczęgami nie cieszył się na widok Michaela, a większość ludzi stawała na głowie, by na niego nie spojrzeć, ze strachu, że ich o coś poprosi. Ale gdy zaczął spacerować z Tabor, mnóstwo przechodniów chciało z nimi porozmawiać i zrobić im zdjęcie. Z początku nie mógł tego znieść

i zaczynał zrędzić, ale Stinson prosił: „Wrzuć na luz, Węszycielu, i bądź miły dla tych ludzi”.

Kotka natomiast pławiła się w całej tej uwadze.

Dzięki Tabor Michael i Stinson rozchmurzali się. W jej towarzystwie byli szczęśliwsi i mniej podenerwowani. Więcej się śmiali. Czasami jej widok sprawiał, że Michaelowi napływały do oczu łzy. Była taka kochająca i słodka. Wciąż jednak czuł, że nie może się do niej zbyt przywiązywać, bo prędzej czy później ucieknie albo znajdzie się jej właściciel.



Przyszędł październik i liście zaczęły zmieniać barwę. Szkarłatne dęby i klony palmowe błyszcząły tysiącem rubinów, a klony zwyczajne odcieniami złota i miedzi. W witrynach sklepowych wzdłuż Hawthorne Boulevard zagościły czarownice na miotłach, plastikowe latające nietoperze, świecące gobliny i upiory. W całym mieście zaroiło się od plakatów reklamujących nawiedzone domy, wieczory filmowe pod znakiem horrorów i tym podobne atrakcje. Przed supermarketem New Seasons sprzedawano dynie.

To właśnie naprzeciwko stoiska z dyniami Michael i Stinson pewnego ranka zauważyli jednego ze swoich znajomych, chudego, nastoletniego włóczkę o potarganych włosach, Kyle’a, który czasami u nich nocował. Siedząc samotnie na chodniku nieopodal hydrantu przeciwpożarowego, ubrany w drelichowe ogrodniczki i postrzępiony czerwony sweter, Kyle miał przed sobą odwróconą do góry dnem czapkę z kilkoma banknotami i monetami. Obok niej stał kawałek kartonu z nagryzmołonym napisem „Co łaska”.

– Wow, macie kota – powiedział, zezując na Michaela i Stinsona zmęczonymi, przekrwionymi oczami. – Nie wiedziałem, że tego chcieliście.

– Ja nie chciałem – odparł Michael, który stanął nad nim z Tabor w ramionach. – Znalazłem ją na ulicy. Gdybym się nią nie zajął, najpewniej by nie przeżyła. Kiedy złapaliśmy ją ze Stinsonem, nawet nie miauknęła, nie zasyczała... Od razu wiedziała, że została uratowana.

– Spędza z nami całe dni. To taki kot stadny na małą skalę – dodał Stinson i klapnął obok Kyle’a.

Michael postawił Tabor na ziemi, zrzucił plecak i dołączył do nich. Kotka wspięła się na jego torbę, na której zwinęła się w kłębek ze spokojem godnym Buddy, i aż do końca popołudnia nie zmieniła swojego miejsca.

– Co, znowu na ulicy? – zapytał Stinson. Kyle wrócił właśnie z kilkutygodniowego pobytu w domu siostry, gdzie opiekował się jej kotem, podczas gdy ona była na wakacjach.

– Tak, na to wygląda – odparł Kyle. Będąc dziesiątym dzieckiem urodzonym podczas pobytu matki w więzieniu, Kyle nie znał ojca. Jako niemowlę został zaadoptowany przez programistę komputerowego z dyplomem z Harvardu i jego żonę, pracownicę opieki społecznej, i dorastał dosłownie kilka przecznic dalej, ale od czternastego roku życia raz po raz lądował na ulicach południowo-wschodniego Portland. Po separacji przybranych rodziców, którzy zamieszkali na dwóch krańcach miasta, kursował między nimi, ale nigdzie nie czuł się jak w domu i ciągle uciekał. Żyjąc na ulicy, polubił Michaela i Stinsona. Z uwagi na to, że byli starsi i bardziej światowi, uważał ich za swego rodzaju mentorów i niekiedy dołączał do nich.

– Co nowego na dzielni? – zapytał.

– No cóż, już dawno nikogo nie zadźgano – odparł ze śmiechem Stinson.

– Przynajmniej od dwóch tygodni – dodał Michael, pokazując niepełne uzębienie.

– To co zrobicie z kotką? – zapytał Kyle, głaszcząc Tabor.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Macie fajkę? – zapytał Kyle.

Michael wyjął z kieszeni kilka niedopałków i je zapalił. Miał poorane bliznami, zrogowaciałe dłonie, a za paznokciami stwardniały brud.

– Pomyślałem sobie, że jeśli będziemy z nią chodzić, to może wypatrzy ją jej właściciel.

– Naprawdę myślisz, że ma właściciela?

– Tak – odparł Michael, podając Kyle’owi zapalonego peta. – I sędzę, że skoro już się podleczyła, to w końcu wróci tam, skąd przyszła.

– Może powinniśmy sami go poszukać – podsunął Stinson.

– Chyba tak – odpowiedział Michael dość niechętnie, głaszcząc kotkę u swego boku. Tabor podniosła na niego wzrok, mrużąc sennie oczy. Następnie pochwyciła w przednie łapy jego dłoń i zaczęła lizać ją swoim szorstkim językiem.

Po tej rozmowie przy każdym wyjściu na miasto Michael i Stinson sprawdzali ogłoszenia o zaginionych zwierzakach porozwieszane na lampach i drzewach. W okolicy zaginęło dużo kotów i psów. W ogłoszeniu o Freddym, jamniku służącym za „wsparcie psychiczne”, który został „porwany z torebki”, właścicielka napisała: „Nawet jeśli znajdziecie go martwego, przyslijcie jego ciało do domu, żeby miał godny pochówek”.

– Niektóre z tych zwierzaków musiały zostały skradzione – powiedział Stinson, gdy przeglądali zbitkę wyblakłych, wysuszonych plakatów, którymi oklejony był jeden ze słupów telegraficznych.

– Pewnie masz rację – odparł Michael, przypominając sobie, jak jego własnego psa, Wyliego Coyote’a, skradziono sprzed sklepu w St. Louis i nigdy się nie odnalazł. Zostawił go tam tylko na minutę, by kupić papierosy. Mieszkał wtedy w szemranej okolicy, gdzie gangi kradły zwierzęta domowe na przynętę do walk psów, a dostawcy laboratoryjni płacili złodziejom i handlarzom czworonogów za kradzieże zwierząt.

Niektóre z plakatów, takie jak ten z dziecięcym rysunkiem czarnego kociaka, były błagalne i rozdzierające serce.

– „Mam na imię Rosemary i mam dwanaście lat” – przeczytał na głos Michael. – „Zgubiłam mojego kotka przed sklepem Godwill”. Co za problem napisać i wywiesić plakat, skoro mogła to zrobić dwunastoletnia dziewczynka?

Był zdziwiony i lekko poirytowany tym, że nie natknęli się jeszcze na żadne ogłoszenie w sprawie Tabor.

– Po prostu tego nie rozumiem.

Nie mogli wiedzieć, że są osiem przecznic od domu Tabor w sąsiedztwie Berkeley Park. W jakiś sposób udało jej się przedrzeć przez chaos i ruch całego Hawthorne, zanim natknął się na nią Michael.



Ósmego października, po mniej więcej trzech tygodniach od jej znalezienia, Michael musiał pojechać do Montany, żeby stawić się przed sądem w sprawie niezapłaconych grzywien za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego, czyli w gruncie rzeczy za siedzenie na chodniku i picie alkoholu w miejscu publicznym. Pod jego nieobecność kotką opiekował się Stinson, kontynuując poszukiwania właściciela Tabor. Jeden z ich bezdomnych kolegów, Szalony Joe, próbował im w tym dopomóc na Facebooku, publikując status: „Co zrobić, gdy przyczepia się do was zabłąkana kotka, która nie chce odejść?”.

Ktoś skomentował: „Przygarnąć ją, kretynie”.

Stinson zabrał kotkę do domu swojej przyjaciółki w nadziei, że ona zechce ją przyjąć, ale Tabor pokłóciła się z jednym z jej kotów, więc ta możliwość odpadła. Potem zrobił jej parę zdjęć, które opublikował w serwisie ogłoszeniowym Craigslist. Jednak pomimo wszystkich tych wysiłków właściciel kotki wciąż się nie odnajdywał.

Gdy tydzień później Michael wrócił z Montany, Stinson oznajmił:

– Cóż, Węszycielu, wygląda na to, że jest cała twoja.

„Nie możesz mieć kota”, perorował w duchu Michael, „zwłaszcza jeśli nie masz nic”. Ale tylko się na to uśmiechnął.



Rozdział czwarty

Straszne potwory i jeszcze straszniejsi wariaci

Tymczasem w modnej, zielonej części Hawthorne Boulevard Ron Buss złożył wizytę mieszkającej nieopodal niego kociej mamie, o której wiedział, że przygarnia bezdomne zwierzaki. Jego przyjaciółka Stephanie powiedziała mu, że kobieta mogła coś usłyszeć, jeśli ktoś znalazł Matę. W schroniskowej społeczności znana była jako królowa ulicznych kotów południowo-wschodniego Portland i co wieczór robiła obchód ciemnych uliczek oraz opuszczonych budynków, dokarmiając dzikie koty. Z pomocą małej sieci innych kocich mam łąpała te zapomniane biedactwa, płaciła za ich sterylizację, znajdowała domy dla kociąt i przyjaznych dorosłych osobników, a te bardziej zdziczałe odwoziła z powrotem do ich kolonii.

Idąc zarośniętą ścieżką prowadzącą do jej starego, parterowego domu o spadzistym dachu i ścianach w kolorze przykurzonego rózu, który był zagrzebany pod koroną wisterii, Ron ujrzał w oknach koty wszelkiej maści wciśnięte w moskitiery, by zażyć kąpieli słonecznej. Na progu poczuł lekką woń moczu pomieszana z zapachem cytrusowego kadzidelka.

Jakieś dwadzieścia lat wcześniej sam Ron zapełnił swój dom znajdkami. Miał już cztery koty w średnim wieku, gdy pewnego lata ktoś podrzucił mu na próg trzy kociaki syjamskie z domieszką innej rasy w kartonowym pudle opatrzonym okrutnym przepisem kulinarnym, który nabazgrano na pokrywie. Szybko nauczył się karmić je strzykawką i opiekować się nimi. Niedługo później usłyszał żalostne zawodzenie zza drzwi wejściowych, a gdy je otworzył, zobaczył, że teraz ktoś podrzucił mu także ich matkę wraz z kolejnym kociakiem. Mamusi nadał imię Mama Yoko i cała kocia rodzinka wprowadziła się do niego na stałe, co oznaczało, że jego stadko liczyło sobie już dziewięć sztuk. A Ron zyskał w okolicy sławę kociarza.

Gdy kocia mama otworzyła drzwi, ścisnęła w ramionach niezwykle rozmownego, brązowego kota burmskiego. Oboje, kobieta i kot, mieli duże jasnozielone oczy, a do tego kobieta miała lśniące, sobole włosy – podobne do sierści kota – które od słońca nabrały rudawego odcienia. Niesamowite oczy kobiety dodatkowo podkreślał eyeliner na powiekach. Zza jej pleców widać było przynajmniej tuzin innych kotów – rudych, żółtych i brązowych pręgusków, szylkretów, bikolorów, burasków i czarnulków – a wszystkie rozłożone powabnie na sofach i półkach z książkami. Ich opiekunka nie przypominała typowej szalonej kociary z nieuczesanymi włosami chodzącej w szlafroku. Była bardzo elegancka, a mimo leciutkiej woni moczu w progu jej dom zdawał się lśnić czystością.

Wysłuchała opowieści Rona o zaginionej, odnalezionej i ponownie zaginionej kotce.

– Biedna kruszyna – powiedziała. – Nie jest przypadkiem czarnulką?

– Nie, jest biała w pręgowane łaty i ma obwódki wokół oczu – odparł, podając jej jeden z plakatów ze zdjęciem Maty.

Kobieta przyjrzała się fotografii, ale nie rozpoznała kotki. Potem opowiedziała mu kilka historii o zaginionych kotach, które wróciły do właścicieli, i uśmiechnęła się pocieszająco.

– Nigdy nie wiadomo, może ktoś zaopiekował się pana kotką.

– Wiem, że gdzieś tam jest.

– Niepokojące jest to, że zbliża się Halloween – powiedziała i uśmiech zniknął z jej twarzy – a wtedy ludzie robią ze zwierzętami okrutne rzeczy. To, że pan się nie poddał, dobrze o panu świadczy.

– Wyjaśniła, że obecnie ona i jej mąż są nieco przytłoczeni liczbą mieszkających u nich bezdomnych kotów. – Ulice stały się chyba ulubionym miejscem porzucania zwierząt. Ludzie często zostawiają swoje koty, gdy ich życie się zmienia albo gdy kamienieją im serca. Nie jestem cynikiem, ale widziałam to, co w ludziach najgorsze.

– Tak, wiem, sam uratowałem kilka kotów – dodał pośpiesnie. – No cóż, jeśli pani ją zobaczy albo

usłyszy o kotce odpowiadającej jej opisowi, będę wdzięczny za informację.

– Naturalnie. Popytam i będę mieć oczy szeroko otwarte.

– Dziękuję – powiedział, odwracając się do wyjścia.

Te pięć przecznic dzielące go od domu przeszedł prawie po omacku, oślepiiony łzami, które zapełniały mu oczy.



Po wizycie u kociej mamy, która okazała się kolejnym ślepym zaułkiem, Ron zaczął rozpaczać, że wyczerpał już wszystkie możliwości. Ale tego popołudnia, krzątając się po domu i sprząając, znalazł w kuchni pudełko zapalek, na którym wcześniej zapisał numer telefonu do zwierzęcego medium, kobiety o imieniu Rachel. Jedna z jego przyjaciółek poradziła mu, aby do niej zadzwonił, ponieważ kobieta zajmowała się wyłącznie odszukiwaniem zaginionych zwierząt. Jako pracownica państwowa nie pobierała żadnych opłat za swoje usługi, więc Ron stwierdził, że nie jest naciągaczką.

Na jej poczcie głosowej zostawił chaotyczną wiadomość, wyjaśniając okoliczności zaginięcia Maty. Gdy Rachel do niego oddzwoniła, zaproponowała, że pokaże Ronowi, jak ma się połączyć ze swoją intuicją, i razem spróbują zlokalizować kotkę za pomocą telepatii. Wyjaśniła mu naturę związków duchowych i wrażeń parapsychicznych oraz sposobów na ich rozpoznanie.

Mówiła na przykład: „Jeśli koncentrując się na swojej kotce i pytając, gdzie jest, czujesz świeżo skoszoną trawę, a twoja kotka lubiła tarzać się w trawie, doświadczasz wrażenia parapsychicznego”. Z uwagi na to, że koty Rona były z nim, odkąd przygarnął je jako maleńkie sieroty, wierzył, że łączy go z nimi taki właśnie związek duchowy, więc był otwarty na to, co proponowała Rachel.

Poprosiła, by wyobraził sobie swoją kotkę i skoncentrował się.

– Masz coś? – zapytała po chwili.

Ron nic nie widział ani nie poczuł.

– Spróbujmy inaczej... Zgaś światło i zapal świecę – poleciła. – To wzmocni więź psychiczną z Matą.

Ron odłożył telefon, znalazł na półce z książkami, w niewielkim szklanym świeczniku, wypaloną w połowie czerwoną świecę o zapachu żurawiny i ją zapalił.

– Zrobione – powiedział, przełączając telefon na tryb głośnomówiący i czekając na dalsze instrukcje.

– Teraz oczyść umysł i jeszcze raz skoncentruj się na obrazie Maty. Ja też to zrobię.

Po krótkiej chwili Rachel wzięła gwałtowny wdech.

– Widzę osobę przypominającą skałę, która w wielu miejscach popękała, ale została na nowo posklejana, choć szczeliny wciąż są widoczne – powiedziała. – Ta osoba ma Matę.

Ron sądził, że wie, o kim mówi Rachel: o jego nikczemnym sąsiedzie, Jacku. Skończył rozmowę i teraz zaczął martwić się jeszcze bardziej. Zadzwonił do Suzy, która powiedziała mu, że nie sądzi, by Jack tym razem miał coś wspólnego ze zniknięciem Maty, ponieważ w rzeczonej długiej weekend był razem z nią poza miastem. Jednak Ron nie mógł się pozbyć poczucia, że Jack w jakiś sposób maczał we wszystkim palce.



Halloween stanowiło w Portland wielkie wydarzenie. Werandy wszystkich sąsiadów Rona były rozświetlone lampionami z wydrążonych dyń i udekorowane strachami na wróble oraz pajakami na olbrzymich pajęczynach. Mieszkający kilka domów dalej scenograf filmowy urządził na swoim podwórku prawdziwy bal potworów, na którym pojawiły się naturalnych rozmiarów kukły przebrane za wampiry i czarownice zasiadające na leżakach, a szkieletory i zombie wyskakiwały nagle z prowizorycznego cmentarza.

Dzień przed Halloween Ron obudził się przygnębiony. Nie mógł przestać myśleć o Macie, więc postanowił zająć umysł i ręce późnymi pracami w ogrodzie, aby zrobić coś jeszcze przed załamaniem

pogody. Jego zaciszny, przydomowy miejski ogród był miszmaszem sadzonek ziemniaków, kabaczków, fasolki szparagowej, kapusty sitowatej i kilku dyń, okolonym małym białym parkanem.

Ron zerwał największe dynie, z których chciał zrobić latarnie i upiec ciasto dyniowe dla swojej najbliższej sąsiadki, Ann, w podzięce za całe wsparcie, jakie mu okazała po zniknięciu Maty. Ann była nieco wścibska, czym przypominała mu Gladys Kravitz z sitcomu z lat sześćdziesiątych *Ożeniłem się z czarownicą*, ale była życzliwa i działała w dobrej wierze. Strzepując ziemię z dyń, Ron powędrował pamięcią do chwil, w których Mata i Creto były kociećkami i wszędzie wściubiały swoje noski – gdy zdierał wykładzinę i wyciągał gwoździe z podłogi, one chętnie mu pomagały, chwytając je swoimi miniaturowymi ząbkami; gdy pracował w ogrodzie, przychodziły i mu asystowały, kopiąc dołki i przy okazji brudząc sobie białe łapki ziemią.

Teraz Creto siedział na skraju warzywnika, nerwowo obserwując swojego pana przy pracy.

Od czasu pierwszego zaginięcia Maty Creto stał się wycofany i płochliwy. Prawdę mówiąc, tuż przedtem sam zniknął na dwa dni. Wrócił z opuchniętym okiem i zakrwawionym pyszczkiem. Ktoś najwyraźniej kopnął go w głowę. Miał ułamany kiel, kilka przednich zębów wybitych, a skórę na podbródku zdartą. Nie widział dobrze przez całe dwa miesiące i wciąż wpadał na różne sprzęty. Według weterynarza Creto miał szczęście, że przeżył.

Odkąd Mata zaginęła po raz drugi, Creto stał się dużo bardziej bojaźliwy. Chował się przed wszystkimi oprócz Rona i syczał na każdego, nawet na znajomych. Ten tyczkowaty biało-czarny elegant o srebrnozielonych oczach i przekrzywionych wąsach zamienił się w prawdziwą przylepkę, drepcząc tuż za Ronem, gdy ten krzątał się po domu czy ogrodzie.

Ron przerwał pracę, by dopić kawę. Nagle usłyszał syknięcie Creta, a przed oczami mignęło mu białoczarne futerko. Spojrzał przez ramię i ujrzał, jak spanikowany kot wdrapuje się po schodkach werandy do tylnych drzwi. Gdy się odwrócił, by zobaczyć, co tak przestraszyło Creta, zauważył przechodzącego obok Jacka. Poczł nagły przyływ adrenaliny, skoczył na równe nogi i pobiegł za idącym chodnikiem sąsiadem. Palce miał ubłocone od kopania w ziemi, a w dłoni wciąż trzymał kubek z kawą.

– Wiem, że ją zabiłeś! – krzyknął, stając przed Jackiem i blokując mu drogę.

Zaskoczony Jack zawahał się na ułamek sekundy, a wtedy Ron nie mógł się powstrzymać i go pchnął. Nie był zwolennikiem przemocy, ale w szale bólu i wściekłości stracił głowę. Jack odplącił mu się tym samym, bez trudu przewracając Rona na ziemię. Kubek odbił się od trawy i potoczył dalej.

Rozwścieczony Jack zawisł nad Ronem.

– Nie tknąłem twojego cholernego kota, ty tłusta cioto! – wrzasnął. Twarz miał czerwoną ze złości, a niebiesko-zielone tatuaże na jego herkulesowym karku zaczęły gniewnie pulsować. – Nie znęcam się nad zwierzętami! Czasami może tupnę na nie nogą, żeby je przegonić, ale nigdy bym ich nie zabił.

Ron podniósł się chwiejnie i zaczął krzyczeć.

– Tyranizujesz wszystkich! Jestem pewien, że to ty kopnąłeś Creta w pyszczek i wybiłeś mu zęby! A niby dlaczego tak się ciebie boi? I wszyscy wiedzą, że w zeszłym roku to ty uprowadziłeś Matę i wywiozłeś ją do lasu! Co zrobiłeś z nią tym razem...? Zabiłeś ją?

– O czym ty, do cholery, mówisz?!

Zaczerwieniony, kipiący wściekłością Ron podniósł kubek z trawnika i cisnął nim w Jacka, trafiając sąsiada w głowę i rozcinając mu skroń. Tym razem kubek roztrzaskał się na kawałki.

Jack dotknął twarzy i widząc na palcach krew, wpadł w dziką furję. Natarł na Rona jak rozszalały nosorożec, uderzając go głową, po czym wymierzył mu cios w żebra.

– Jeśli będziesz biegał po ludziach i rozpowiadał, że zabiłem ci kota, to znikniesz – powiedział, szturchając go palcem. – Sprzątnę cię tak, że nikt cię nigdy nie znajdzie.

– Pieprz się, ofiaro – odparował Ron. Wyprostował się i chciał złapać Jacka za gardło, ale ten błyskawicznie chwycił go za ramiona i zamknął w zapaśniczym uścisku, przyduszając.

– Żyjesz i oddychasz, bo ci na to pozwalałam – powiedział złowrogo, zanim puścił Rona, który stracił oddech i zaczął się krztusić. – Ostrzegam, oglądaj się za siebie. – Przeszedł rozwścieczony na

drugą stroną ulicy, obrócił się i krzyknął z drwiącym uśmiechem: – Całkiem nieźle, cioto! Prawie ci kibicowałem.

– Zaćpana kanalia – mruknął gniewnie Ron i odwrócił się.

Pokuśtykał do domu po szcztokę i zmiotł z chodnika kawałki potłuczonego kubka. Wziął kosz z dyniami i kulejąc, wszedł do domu.

Gdy tylko otworzył drzwi, zza lodówki wyłonił się pyszczek Creta, który się tam schronił. W jego szeroko otwartych, błyszczących jak szmaragdy oczach zaroilo się od pytań. Ron obmył dłonie z ziemi i podniósłszy przerażonego kota, opadł na fotel, gdzie go przytulił i zaczął uspokajać.

Obaj byli roztrzęsieni.



Tego samego popołudnia tuż przed Halloween Michael, Tabor i Kyle powędrowali pod supermarket New Seasons. Było wietrznie, więc skulili się w swojej zwyczajowej miejscówce przy pokrytym graffiti hydrancie przeciwpożarowym. Kilka lat wcześniej mali ulicznicy wymalowali na nim sprayem podobiznę Michaela, opatrując ją jego ksywką „Węszyciel”. Malowidło okazało się nad wyraz trwałe. Teraz cała trójka siedziała przy swoim totemie z wyciągniętym w dłoniach lichym kartonikiem z napisem „Co łaska”.

Tabor rozciągnęła się na plecaku Michaela leżącym pomiędzy nim a Kyle’em, chwając się nową czerwoną adresówką z lśniącego metalu w kształcie serca, którą sprawił jej Michael. Z przodu widniał na niej jego numer telefonu i napis „UK Tabor”. „UK” było skrótem od „Ukochany Kot”.

Niespełna kilka dni wcześniej Michael poprosił Stinsona i ich kumpla o ksywce Koziół, kolejnego młodego bezdomnego, który niekiedy u nich nocował, by popilnowali Tabor przez pięć minut, podczas gdy on skoczy na chwilę do New Seasons. Wyszedłszy z supermarketu, zobaczył, jak Tabor biegnie ku niemu, ciągnąc po chodniku swoją smycz, a oni gonią za nią. Uliczne dzieciaki nie dały sobie z nią rady – była samowolna oraz charakterna i uparła się, że pójdzie za Michaeliem. Nie chciała spuścić go z oczu. Nowa adresówka miała jej zapewnić większą ochronę.

Tabor cieszyła się w okolicy statusem prawdziwej gwiazdy. Gdy mężczyźni jak co dzień pojawiali się z kotką w swoim zwyczajowym miejscu, przechodnie i lokalni sklepikarze przystawali, by się z nią przywitać. Sporo osób wychodziło z supermarketu i wręczało Michaelowi torby pełne kocięj karmy, przysmaków i akcesoriów. Inni dawali mu kanapki i kawę; dostał nawet torebkę cukierków. Wielu spośród tych ludzi przez całe lato przechodziło obojętnie obok dwóch żebraków, ale na jesieni żywiłowaty kotek sprawił, że ci bezdomni nagle przestali być niewidzialni.

Tabor pławiła się w całej tej powszechnej uwadze, śmigła, skakała i turlała się na brzuszku. Była urodzoną artystką rewiową, łasą na wyrazy uwielbienia.

Zatrzymała się przy nich parka dwudziestokilkulatków, którzy wrzucili im trochę monet do czapki, a Tabor pogłaskali. Kotka wspięła się na tylne łapki, by sięgnąć dłoni dziewczyny, jakby była miniaturowym kucykiem wykonującym swoją popisową sztuczkę.

– Och, jakie to słodkie, umie robić małe skoki! – powiedziała dziewczyna, wyjmując telefon, by pstryknąć Tabor fotkę w akcji.

– Robi sztuczki za smaczki – zaśmiał się Michael.

Niedługo później Michael i Kyle siedzieli w ciszy, paląc i wpatrując się w tańczące na chodniku liście. Tabor leżała zwinięta w kłębek na plecaku Michaela, gdy nagle przekreśliła się na grzbiet i zaczęła wyć i piszczeć jak nigdy wcześniej. Michael i Kyle spojrzeli na siebie zszokowani.

– Tabor, co się dzieje? – zapytał Michael, porywając ją w ramiona i tuląc mocno do piersi. – Co ona mówi, Kyle?

– Oni chcą mnie zabić, pomoocy! – zapiszczał cienkim głosem Kyle.

Michael uśmiechnął się, rozbawiony, ale stwierdził, że zanim kotka stanęła na jego drodze, musiała przeżyć coś złego.

– Kiedy ją znalazłem, wydawało się, jakby mówiła: „Nawet nie waż się mnie tknąć. Mam

traumę”.

– Przypomniało mi się – zaczął Kyle – że gdy kilka dni temu ktoś otwierał przy mnie torebkę zioła, Tabor wskoczyła mu na kolana. Ta kotka chyba lubi sobie popalać.

– Nie zdziwiłbym się. Ma nie po kolei w głowie. Całymi nocami biega za światełkami. To musi być koci stres. Coś podobnego widziałem u zjaranych psów.

Mimo że była nieprzewidywalna, a czasem wręcz niesamowicie uparta, Michael, Stinson i Kyle zakochali się po uszy w tej słodkiej, żywiołowej kotce.



W miarę jak dni stawały się coraz chłodniejsze, Michael zaczął się martwić, czy jest w stanie zapewnić Tabor należyłą opiekę. Wcześniej miał inne uliczne koty: Słoneczko, małe pomarańczowe kociątko w tygrysie prążki, które znalazł w jakimś zaułku, a także małego brązowego pręguska należącego do kolegi, który poszedł siedzieć. Jednak żadnemu z nich nie spodobało się ani życie na ulicy, ani towarzyszenie Michaelowi podczas jego wędrówek na południe, gdzie spędzał zimy, więc obu zwierzętom znalazł prawdziwe domy.

Bezdomni mieli swój kodeks honorowy – w pierwszej kolejności zawsze troszczyli się o własne zwierzęta. Żyjąc samotnie i w nędzy na ulicy, byli zazwyczaj oddani swoim kudłatym towarzyszom. Jeden z kolegów Michaela zaproponował, że zabierze kotkę do schroniska, w którym nie usypia się zwierząt, ale Michael wyobraził sobie smutną minę Tabor siedzącej obok miniaturowej różowej walizeczki ze wszystkimi jej miskami i zabawkami myszami, czekającej w kolejce wraz z innymi psami oraz kotami ze schroniska. Nie potrafił znieść myśli o jej porzuceniu.

Tabor była z nim już od dwóch miesięcy, ale wciąż nawiedzały go wątpliwości, czy trzymanie jej przy sobie jest mądre i praktyczne. Kotka w jakiś tajemniczy sposób zawsze odczytywała te jego nastroje; w takich chwilach spoglądała mu głęboko w oczy albo lizała po palcach, dopóki nie zmięknął. Michael uświadomił sobie, jak bardzo się do niej przywiązał – uwielbiał sposób, w jaki wtulała się w jego pierś, ciągnęła za brodę, by go obudzić, i jak świergotała do swoich zabawek myszek. Niekiedy potrafiła wymóc na nim mnóstwo uwagi, ale on był wdzięczny, że ma kogoś, kto go potrzebował. Już od dawna na nikim mu nie zależało, a właśnie za tym tęskniła jakaś część jego duszy.

Przed pojawieniem się Tabor każdy dzień rozpoczynał od piwa, po czym przechodził do czegoś mocniejszego, a kończył na każdej lurze, jaka tylko mu została. Ale Tabor niespodziewanie wpłynęła na jego zwyczaje alkoholowe. Odstawił mocne piwo słodowe i pił jedynie wieczorami. Czuł, że musi być trzeźwy i panować nad sobą, żeby nikt nie zadzwonił po policję, która mogłaby mu zabrać kotkę.

Teraz, gdy uświadomił sobie, jak Tabor wiele dla niego znaczy, postanowił ponieść każdą ofiarę, by móc zabierać ją wszędzie ze sobą. Nadszedł bowiem czas, aby zaplanować wyprawę na południe, w cieplejsze rejony.

Jednakże wciąż nie opuszczała go myśl, że kotka może mieć właściciela, który na nią czeka.



Rozdział piąty

Urodzony tułacz

Michael William Arthur King dorastał w zwyczajnym domu z drewnianą oblicówką w Webster Groves na obrzeżach St. Louis w stanie Missouri. Ta zielona okolica, zabudowana uroczymi parterowymi domkami z okiennicami, idealnie oddawała senny klimat małego miasteczka. Było to spokojne, bezpieczne i przyzwoite sąsiedztwo, poprzecinane długimi, krętymi ulicami otoczonymi zagajnikami oraz strumieniami, przy których dzieciaki i psy mogły się bawić i biegać do woli. Jednak dla Michaela to miejsce stanowiło głównie cichy zakątek piekła. Jego rodzina mieszkała w biedniejszej części miasta, a rodziców, których miał za porywczych outsiderów, przytłoczyło wychowywanie piątki dzieci. Ojciec pracował dzień i noc na dwóch etatach, ale pieniędzy i tak zawsze brakowało, a matka została w domu, by opiekować się Michaeliem i jego rodzeństwem. Wyszła za mąż jako nastolatka i przeprowadziła się z Anglii do Stanów, gdzie usiłowała się zasymilować, nie mając pomocy ani ze strony rodziny, ani nikogo innego.

Rodzice Michaela poznali się w 1955 roku w Anglii. Clarence – albo Clancy, jak go wszyscy nazywali – był amerykańskim żołnierzem stacjonującym w bazie w Cambridge. Kathleen była dziewiętnastoletnią brytyjską sierotą, przed którą małżeństwo z przystojnym amerykańskim żołnierzem otwierało drzwi do nowego życia. Clancy zabrał ją ze sobą do Stanów i został policjantem w St. Louis. W wieku dwudziestu lat Kathleen urodziła pierwsze dziecko.

Piątka rodzeństwa Kingów miała siedzieć cicho i słuchać rodziców. Nie mogli zapraszać do domu przyjaciół, korzystać z telefonu ani włączać muzyki. Ale Michael był nieposłuszny, więc matka, pośród innych kar, biła go pasem od munduru ojca. Jednym z jego najczarniejszych wspomnień było zamknięcie w schowku na strychu, podczas gdy reszta rodziny zasiadła do kolacji. Kathleen wydawała się Michaelowi bezustannie zagniewana, a w miarę upływu lat złość narastała w niej coraz bardziej.

Niespokojny, zatroskany Michael wraz ze swoim bratem bliźniakiem i trójką starszego rodzeństwa uczęszczał do katolickiej szkoły pod wezwaniem Maryi Królowej Pokoju, gdzie wszystkie siostry zakonne broniły go jak lwice. Dostrzegały pręgi na jego nogach i wiedziały, że w domu jest bity, więc pilnowały, by w szkole nikt go nie tknął. Nauczycielka Michaela z drugiej klasy, siostra Maureen Teresa, wzięła go pod swoje skrzydła. Chłopiec ją ubóstwiał i na trochę szkoła stała się dla niego azylem, schronieniem od domowego piekła. Jednak gdy dorastał, stawał się coraz bardziej nieposłuszny i wycofany, chodził na wagary i wałęsał się przy torach nieopodal domu, marząc o ucieczce.

Kiedy wszystkie dzieci poszły do szkoły, Kathleen podjęła pracę na nocną zmianę jako asystentka pielęgniarska w miejscowym szpitalu. Pozostawieni samym sobie, Michael i jego bracia włóczyli się nocami po torach i parkach – mimo że Michael większość czasu spędzał na samotnych wędrówkach po ciemnych zaułkach, czytaniu książek o florze i faunie, snach na jawie i nauce, jak uniknąć samotności.

W czerwcu 1978 roku, gdy miał trzynaście lat, Michael po raz pierwszy uciekł z domu. Były wakacje, szkoła się skończyła, więc oznajmił kolegom, że „zwija się z tego cholernego miejsca”. Spakował swój niewielki worek marynarski i wymknął się z domu pod osłoną nocy wraz z bratem bliźniakiem, Johnem Patrickiem, znanym wszystkim jako JP. Idąc wzdłuż torów, opuścili rogatki miasta. Nie mieli pieniędzy ani noclegu, więc grabili ogrody warzywne i sady jabłkowe, jedli dzikie jeżyny i spali w opuszczonych garażach albo gęstych zaroślach. Zanim policja zgarnęła ich i odstawiła do domu w kajdankach, udało im się dotrzeć aż do Nowego Meksyku.

Jako czternastolatek Michael regularnie sypiał w zaroślach przy torach i stołował się w okolicznych restauracyjkach, uciekając przed płaceniem za posiłek. Jakiś czas mieszkał u sąsiadów, państwa Bekemeyer, którzy się nad nim zlitowali, ale koniec końców zawsze zaciągano go z powrotem do domu.

Gdy miał piętnaście lat, ojciec przydybał jego i JP na paleniu trawki za domem. Tylko eksperymentowali, ale on wpadł w furię. Myśląc, że chłopcy mają problem z narkotykami, zapisał ich na miesięczną kurację odwykową w ośrodku zamkniętym.

Kilka dni później Michael wraz z pewnym szesnastolatkiem o imieniu Mike uciekli stamtąd i wyjechali z miasta autostopem.

Celem ich podróży było Seattle, gdzie, jak twierdził Mike, mogli zamieszkać z jego matką, ale zostali zatrzymani w Wheatland w stanie Wyoming. Jako nieletnich, umieszczono ich w areszcie tymczasowym. Szeryf zadzwonił najpierw do rodziców Mike'a, którzy powiedzieli, że ich syn uciekł z domu i że chcą go odzyskać.

Potem zatelefonował do rodziców Michaela. Początkowo zgłosili jego zaginięcie na policję, ale potem przestali go szukać. Po skończonej rozmowie szeryf odłożył słuchawkę i rozkuł Michaela: Clancy nie chciał, żeby wracał, a Kathleen pogodziła się z faktem, że jej syn jest nieszczęśliwy w domu i woli włączyć się i sypiać pod gwiazdami. Jedno dziecko mniej zapewne oznaczało dla niej jeden problem z głowy. Szeryf zabrał Michaela z powrotem do radiowozu, wywiózł za miasto, dał dwadzieścia dolarów, a na odchodne powiedział: „Powodzenia, chłopcze”.



W lecie 1981 roku Michael wylądował w Montanie. Jej zębiaste góry i wypalone słońcem równiny były dokładnie takim miejscem, jakiego szukał – pierwotnym, nietkniętym ręką człowieka. „Jak okiem sięgnąć, widać tylko strzępy krajobrazu i ogromny przestwór nieba, a w promieniu wielu mil nie ma ani jednej żywej duszy”, napisał na pocztówce do JP. Dorabiał, rozwożąc mleko z miejscowego gospodarstwa mlecznego w Helenie, znalazł tanie mieszkanie i podrobił podpis ojca na formularzu wpisowym do lokalnego liceum.

Michael myślał o sobie jako o starej duszy i pod wieloma względami rzeczywiście był bardzo dojrzały jak na swoje lata. Z łatwością mógł uchodzić za osiemnasto- albo dziewiętnastolatka, ale po kilku miesiącach władze wszystko odkryły i powiedziano mu, że nie może zostać w Montanie bez opiekuna prawnego.

Wrócił do St. Louis, lecz nie mógł wytrzymać w domu i po kilku miesiącach pojechał autostopem z powrotem do Montany, zdeterminowany, by znaleźć sobie opiekuna prawnego. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że podróżowanie z nieznanymi może być niebezpieczne. Był przekonany, że podążają za nim zastępy aniołów i że nic złego mu się nie stanie – a poza tym najgorsze, co go w życiu spotkało, miał już za sobą. Dotarłszy do Heleny, wskoczył do pierwszej zdezelowanej furgonetki, jaka zatrzymała się na jego znak. Kierowca okazał się żłowiącym piwo hipisem w drodze na spotkanie grupy Anonimowych Alkoholików. Nie mając gdzie się podziać, Michael poszedł tam z nim, uznając, że AA to miejsce dobre jak każde inne, by znaleźć opiekuna. Podczas krótkiego pobytu w ośrodku odwykowym rok wcześniej nauczył się cenić szczerść dorosłych, których tam widział.

Tamtego październikowego popołudnia, we wtorek, na spotkaniu AA Michael poznał Waltera Eberta, weterana wojny wietnamskiej i rozwodnika wychodzącego z nałogu alkoholowego, który pracował w wojsku jako werbownik.

Czuł, że Walter jest dobrym człowiekiem, miał w sobie swego rodzaju prostolinijną dziarskość. Michael zapytał go, czy zgodziłby się udawać jego ojca, by mógł zostać w szkole, tłumacząc, że uciekł z niedobrego domu, ale ma pracę i sam się o siebie zatroszczy. Jedyne, czego potrzebował, to podpis. „Pewnie, pomogę ci”, odparł Walter, ale nalegał, żeby przedtem mógł się skontaktować z matką Michaela. W rozmowie telefonicznej Kathleen powiedziała Walterowi, że jeśli Michael chce mieszkać w Montanie, to ona nie ma nic przeciwko temu. Oboje z Clancym zrzekli się praw rodzicielskich do niego.

I tak Walter stał się rodzicem zastępczym dla Michaela, a przez kolejne trzydzieści lat miał być również jego dobrym duchem. Otrzymawszy wykształcenie w jezuickiej szkole i wstąpiwszy na krótko do seminarium franciszkańskiego, Walter często powtarzał Michaelowi, że „opiekując się innymi,

niekiedy odnajdujemy siebie”.

Tuż po przeprowadzce do Waltera Michael zdał egzamin maturalny i zdobył dyplom szkoły średniej, cały czas pracując w dzień jako ogrodnik, a nocami dorywczo jako rozdający karty w nielegalnym kasynie w Helenie. Przez te pierwsze lata wspólnego mieszkania dzielili między siebie czynsz, rachunki i wydatki na jedzenie. Michael zapisał się na uniwersytet stanowy w Bozeman, gdzie studiował biznes i ogrodnictwo, ale rzucił uczelnię, gdy uświadomił sobie, że nie potrzebuje dyplomu, by otworzyć własną firmę zajmującą się architekturą krajobrazu, co rzeczywiście zrobił. Mieszkał i pracował w Montanie kolejną dekadę.

Przez wszystkie te lata utrzymywał znikomy kontakt z rodziną – wyłączając JP, który również przeprowadził się do Montany – choć w sierpniu 1990 roku wrócił do St. Louis na pogrzeb ojca. Zamierzał zostać tylko kilka dni, ale wieczorem w dniu pogrzebu on i jego brat Robert postanowili pójść do baru i się upić.

Gdy Michael wlewał w siebie drinka, zauważył starego kumpla z liceum, Michaela Mercera. Miał krótsze włosy i nieco starszą, szczuplejszą twarz, ale wciąż był tak samo przystojny. Poznali się, kiedy Michael miał szesnaście lat, na obitych linoleum korytarzach Mehlville High School w St. Louis. Powiedzieć, że z miejsca między nimi zaiskrzyło, to nie powiedzieć nic. Mercer był o kilka lat starszy od Michaela, ale prawie nie różnił się od niego wyglądem. Obaj mieli blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ciemne, zmierzwiowane włosy, ostre kości policzkowe i błyszczące niebieskie oczy. Po tym, jak Mercer skończył szkołę i wstąpił do armii, przez chwilę utrzymywali ze sobą kontakt listowny.

Zdawało się, że te dziewięć lat rozłąki nagle wyparowało. Kilka minut później pili już razem kolejki, palili, rozmawiali i śmiali się, jakby od czasów liceum zupełnie nic się nie zmieniło. Następnego dnia ponownie się spotkali, a Michael postanowił przełożyć swój powrót do Montany. Jego przyjaciel był wyluzowany, wspaniałomyślny i zabawny. Jeszcze w niczym towarzystwie Michael nie był tak swobodny. Przy Mercerze wreszcie czuł się jak w domu.

Wrócił na chwilę do Montany, by się spakować i zamknąć firmę, a następnie wprowadził się do mieszkania Mercera w St. Louis, które ten wynajmował w zaniedbanej szeregówce w niezbyt bezpiecznej murzyńskiej dzielnicy. Właściciel nieruchomości, a zarazem przyjaciel Mercera, zaproponował Michaelowi pracę zarządcy budynku, tak więc ten zaczął zbierać czynsz od lokatorów, przeprowadzał rutynowe naprawy i dbał o teren w zamian za bardzo niskie komorne na okres kilku lat.

W końcu dostał pracę jako szef kuchni w eleganckim bistrze, a Mercer instalował po domach telewizję kablową. Zaczęli wieść spokojne, rodzinne życie, przerywane partyjkami pokera i sporadycznymi bibami narkotykowymi. Wyjeżdżali na kempingi i lubili przebywać na świeżym powietrzu. Rozmawiali nawet o przeprowadzeniu się na emeryturę do Montany. Po pracy oglądali w telewizji upadek Związku Radzieckiego i apartheidu w RPA. Wiele krajów podpisywało układy o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Miało się wrażenie, że cały świat idzie ku dobru; zmiany były możliwe.

W swoim nowym, ułożonym życiu Michael potrafił przyznać się do czegoś, co wcześniej by ukrywał: kochał mężczyznę. Kiedy dorastał, był uczony, że to grzech, ale ta nowa, niespodziewana miłość zdawała mu się błogosławieństwem.

Przez pięć lat cieszyli się dość spokojnym, szczęśliwym życiem, dopóki Mercer nie wyznał Michaelowi, że jest nosicielem wirusa HIV. Zaraził się nim kilka lat przed ich ponownym spotkaniem, a teraz walczył z chorobą. Niemalże z dnia na dzień Michael, zamiast budować wspólne życie i przyszłość z Mercerem, zaczął przygotowywać się na śmierć swojego partnera.

Nie tracił nadziei, że uda się powstrzymać rozwój choroby, i przez trzynaście kolejnych lat tak też było. Żyli normalnie. Aż nagle, latem 2003 roku, stan jego partnera bardzo się pogorszył i Mercer został hospitalizowany. Michael poczuł, jak wzbiera w nim panika, która następnie zamieniła się w odrętwiający smutek, gdy czekał już tylko na to, co nieuchronne.

Pracował sześćdziesiąt godzin tygodniowo, ale każdego ranka jeździł do szpitala, by zjeść z Mercerem śniadanie, upewniając się, że jego partner ma wszystko, czego potrzebuje. Pewnego dnia odkrył, że pielęgniarki zapomniały podawać Mercerowi środki przeciwbólowe. Stracił nad sobą

panowanie. Nie podobało mu się, jak Mercer jest tam traktowany, więc w zasadzie porwał go ze szpitala i zabrał do domu. Lekarze ostrzegali: „Nie może pan tego zrobić – umrze po dwóch tygodniach”. Ale dzięki troskliwej opiece Michaela i pielęgniarki z hospicjum, która zajmowała się nim, kiedy jego parter był w pracy, Mercer żył jeszcze przez cztery miesiące.

Niemalże każdego dnia, gdy Michael wracał z restauracji do domu, Mercer wyglądał coraz gorzej: był bardziej wychudzony, bledszy i słabszy. Kiedy zaczął mieć problemy z oddychaniem, Michael kupił dla niego butlę z tlenem. Przez cały czas był w kontakcie z rodziną Mercera; poinformował ich, że jego partner umiera, i miał nadzieję, iż pomogą mu w opiece nad nim albo przynajmniej go odwiedzą. Jednak oni nie przyjmowali niczego do wiadomości, nie wierząc nawet, że śmierć Mercera jest możliwa. Podczas choroby nie odwiedzili go ani razu.

Mercer zmarł dwudziestego października 2003 roku w wieku czterdziestu jeden lat. Gdy umierał, Michael trzymał go w ramionach, wpatrując się przez łzy w jedyną miłość swojego życia, zapamiętując każdy szczegół jego twarzy i to, jak przyprószone siwizną włosy opadały na zapadnięte policzki.

Pięć dni później zdołał jakoś przebrnąć przez gehennę pogrzebu i pochówku, zachowując spokój. Oplakiwał Mercera na wiele miesięcy przed jego śmiercią, a potem także podczas tych ostatnich dni, gdy czuł, jak jego kruche ciało dosłownie rozpada mu się w ramionach. Ale tego sobotniego popołudnia po pogrzebie poszedł do domu w szoku i opadł na sofę, na której przegadali razem tyle nocy. Włączył telewizor, lecz wyciszył fonię. A przez kolejne kilka dni powoli się rozpadał, kawałek po kawałku – jego egzema wymknęła się spod kontroli, a posrebrzane włosy wypadały całymi garściami, gdy je przeczesywał. Prawie nie ruszał się z sofy.

Kiedy wreszcie się podniósł, musiał stawić czoła wszystkim wyrwom w swoim przeraźliwie pustym życiu, jakie zostawiła po sobie śmierć Mercera. W łazience jego wzrok spoczął na szczoteczce do zębów partnera. Gdy chciał ją wyrzucić, uderzyła go świadomość, że Mercer już nigdy więcej jej nie użyje.

Wszystko, na co spojrział – krzesła, ceramika, dzieła sztuki, które zaczęli kolekcjonować na krótko przed śmiercią Mercera – znaczyło coś, gdy jego partner jeszcze żył, ale teraz wydało się Michaelowi uciążliwymi rupieciami.

„Na świecie istnieje zbyt wiele rzeczy, a większość z nich jest bezużyteczna”, pomyślał.

Zaczął zdejmować przedmioty z półek i układał je na stertę w kuchni i sypialni. Zrobił w myślach spis wszystkiego, co było na podjeździe: nowe subaru, ford F-150, przyczepa, łódka. Zgromadzili rzeczy o łącznej wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Przez myśl przeszło mu urządzenie wyprzedaży garażowej, ale natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, że chce zarabiać na śmierci Mercera.

A mimo to stało przed nim rozdzierające serce zadanie opróżnienia ich domu. Dosłownie na tydzień przed śmiercią Mercera oddał jego bratu ich kotkę, Mau Mau – grubokościstą pręguskę – oraz psa, Aggiego Juniora. Wiedział już, że nie zostanie w St. Louis.

Teraz, tydzień po pogrzebie, poszedł na górę, by ostatni raz przejrzeć zdjęcia, migawki z ich wspólnego życia. Zatrzymał wzrok na fotografii uśmiechniętego Mercera z Mau Mau w ramionach. Mau Mau, nazwana tak na cześć afrykańskich rebeliantów, zajmowała pół sofy i umiała aportować jak pies. Mercer ją ubóstwiał. Aggie Junior należał do miotu brązowych podrzutków, które Michael znalazł pod śmietnikiem restauracji w południowo-zachodnim Missouri. Przeglądając wszystkie te szczęśliwe momenty uwiecznione na kliszy, raz jeszcze się rozsypał.

Zszedł po schodach i chwycił butelkę whisky. Opadł na sofę ze wzrokiem wbitym w pustą przestrzeń, po czym pociągnął prosto z butelki, do końca ją opróżniając. Spojrział na wyciszony telewizor i zobaczył swoje odbicie w ekranie. Jego twarz była mokra, opuchnięta od płaczu.

Niedługo później, w środku nocy, spakował do plecaka kilka ubrań i bliskich swemu sercu fotografii. Opróżnił lodówkę, a jedzenie wyniósł za dom, zostawiając je na całym podwórku dla wiewiórek i szopów. Wszystkie karmniki napełnił ziarnem, a następnie usiadł przy oczku wodnym, które założył, pod wierzbą, którą zasadził, tuż obok pięknego, ceglanego dziedzińca porośniętego wiciokrzewem, mimozami i różami, który zbudował. Latem siadywali tu z Mercerem na leżakach, rozmawiając i paląc papierosy przy dźwiękach piosenek Neila Younga płynących z domu.

Wrócił do środka po plecak. Chciał pozbyć się ciężaru z serca, a nie wiedząc, jak odpędzić ten smutek, zrobił to, co umiał najlepiej – ulotnił się.

Nie zamykając drzwi wejściowych na klucz, Michael po raz ostatni wyszedł z domu i przy najbliższej autostradzie wystawił kciuk, łapiąc autostop. Odejście z niczym wydało mu się osobliwie wyzwajające.



Rozdział szósty

Znowu w drodze

Pod koniec listopada w Portland zagościła zima, zamieniając krajobraz w szarą i upiorną scenierię. Wiatr ciągnący od kanionu Columbia Gorge wyziębiał do kości i szczypał w oczy, aż łzawiły. Michael usiłował nie przemoknąć, gdy częste deszcze przesiąkały jego sfatygowany, przeżarty przez mole śpiwór.

Niekiedy cała ich piątka spała razem w zatoczce UPS albo tłoczyła się w bramach ruchliwych ulic: Michael, Stinson, ich kumple Kyle i Kozioł oraz Tabor. Śpiący samotnie bezdomni byli narażeni na ataki, zwłaszcza w parkach miejskich i innych ustronnych miejscach, dlatego też wielu z nich miało psy – by czuć się bezpieczniej podczas snu.

Niemalże dziesięć lat wcześniej, gdy Michael wyszedł z domu, zostawiając za sobą całe swoje życie, myślał, że kilka miesięcy tułaczki pomoże mu uciec od zgryzoty. Nie planował wkraczania w bezdomność. Ale zaczął dużo pić, a po kilku niespodziewanych pechowych wydarzeniach nie miał już do czego wrócić. Został na ulicy bez grosza przy duszy i koniec końców dołączył do społeczności innych bezdomnych, przystosowując się do ich stylu życia.

Mieszkanie na ulicy oznaczało również sezonowe wędrówki w ucieczce przed zimą. Michael zazwyczaj opuszczał Portland do połowy listopada i poszukiwał miejsca, w którym warunki pogodowe będą łagodniejsze, ale w tym roku został nieco dłużej, w nadziei, że po Tabor zgłosi się właściciel.

Obudziwszy się pewnego ranka po przyjsciu ostrego ochłodzenia, zauważył, że jego śpiwór pokryty jest szronem. Drżąc z zimna, Tabor wślizgnęła się mu pod bluzę i wtuliła w pierś, próbując nabrać jak najwięcej ciepła. Nie mogła dłużej mieszkać na ulicy. I tak było już za nimi zbyt wiele burzliwych, wietrznych nocy. Michael wiedział, że przyszedł najwyższy czas, by ruszyć na południe.

Pewnego dnia, po siarczystych przymrozkach, Michael wstał rześki i rozpromieniony. Był trzeci grudnia, jego czterdzieste ósme urodziny, które rozpoczął od mocnego piwa. Chciał wyprawić przyjęcie urodzinowe, a zarazem pożegnalne. Przed wyruszeniem w drogę ze swoją kotką wraz ze Stinsonem, Kyle'em i Tabor odwiedził kilka pijalni przy Hawthorne, z których jednak wyrzucano ich albo usuwano po telefonach właścicieli na policję. Wylądowali na cmentarzu Lone Fir na Morrison Street, gdzie nikt nie przeszkadzał im w świętowaniu.

Szalony Joe i inni kumple uciulali wystarczająco dużo pieniędzy, by zrzucić się na butelkę burbona Wild Turkey dla Michaela, którą sprezentowali mu w towarzystwie kilku sześciopaków piwa i paru sklepowych kanapek. Zebrali się w kręgu w samym sercu osadniczego cmentarza pod trzema wysokimi sosnami, słuchając starych piosenek country, a między nimi krążyła butelka. Dzięki temu w razie pojawienia się policji musieliby wylać tylko jedną.

Michael stał nieopodal dużej krypty, kołysząc się na wietrze pod bezksiężycowym niebem, a Tabor kręciła się gdzieś w ciemności. Gdy byli wśród przyjaciół w spokojnym, pustym miejscu, takim jak cmentarz, spuszczał ją ze smyczy, by trochę sobie pochodziła. Kotka pokopała żółędzie i szyszki porozrzucane na zabloconej, wytartej trawie, zamiotła je ogonem i zaczęła wskakiwać na kępę chwastów porastających podstawę pokrytych mchem nagrobków, po czym z niej zeskakiwać. I tak w kółko.

Nagle z egipskich ciemności za kryptą wyłoniły się dwie isticie wampirze postacie, niemalże przyprawiając całe towarzystwo o zawał serca. Szalony Joe, niewysoki i szczupły jak chart ciemny blondyn o krótkich, naznaczonych siwizną włosach, dobiegający pięćdziesiątki, aż podskoczył, oblewając sobie spodnie piwem.

Wampirami okazali się Kozioł i Jane. Ten pierwszy, przygarbiony grunge'owy dzieciak, miał na sobie zielone spodnie wojskowe, flanelową koszulę, sweter i dzinsową kurtkę. Jane, jego urocza, chuda jak patyk dziewczyna, pieguska o krótkich kasztanowych włosach i bladej cerze, stanęła tuż przy nim,

onieśmielona i czujna.

– Przestraszyliście mnie na śmierć – oznajmił Szalony Joe, w którego głosie słyhać było silny południowy akcent. – Myślałem, że jesteście trupami, które zmartwychwstały.

– Przepraszamy, nie chcieliśmy was przestraszyć – odezwał się Koziół, dołączając do towarzystwa.

– Jesteś z Południa? – zapytała Joego Jane.

– Tak jest, proszę pani – odparł, otwierając kolejną puszkę piwa. – Z Georgii... z ciemnogrodu... z miasteczka, o którym pewnie nigdy nie słyzałaś. – Szalony Joe wyglądał na twardego faceta, spiętego i nerwowego. Podróżował z wielką czarną rottweilerką o łagodnym usposobieniu, która teraz leżała zwinięta w kłębek pod jednym z pobliskich kamiennych aniołów. – Moja mamusia była wieśniarą, tatuś był kanalią, a ja nie jestem lepszy. – Przyjechał do Portland za pracą: przy malowaniu, zrywaniu owoców albo czymkolwiek innym. Kiedy nie udawało mu się nigdzie zaczepić, wiązał koniec z końcem, sprzedając wyhodowane przez siebie w ogródkach społecznych grzybki halucynogenne i trawkę.

Gdy wszyscy usiedli w kółku i zaczęli rozmawiać, Tabor postanowiła do nich dołączyć. Spoczęła w samym środku towarzystwa i przystąpiła do wieczornej toalety. Za każdym razem, gdy słyzała swoje imię, przerywała mycie, porzucając na chwilę kępki odstającego, wilgotnego futerka. Łagodna rottweilerka przypatrywała jej się swoimi delikatnymi, krowimi oczami, merdając ogonem. Potem przekręciła się na grzbiet na ściółce sosnowych igieł i suchych liści, czym chciała zachęcić kotkę do wspólnej zabawy. Tabor zignorowała suczkę i najzwyczajniej w świecie kontynuowała czynności toaletowe.

– Znaleźliśmy dwadzieścia dolarów przed Rite Aid – oznajmił Koziół, wyjmując z torby dwie butelki piwa i podając jedną z nich Michaelowi. – A wiesz, co to znaczy...

– Anielskie śpiewy – zarechotał Michael, stukając się butelkami z Kozłem.

Jane usiadła obok Michaela, opierając się o sosnę, i teraz pochylała się nad telefonem.

– Czemu urządziliście imprezę urodzinową na cmentarzu? – zapytała, chichocząc i nie odrywając wzroku od ekranu komórki.

– Myślę, że cmentarze to środowisko naturalne przybłąd – odparł Michael, uśmiechając się szeroko.

– To odpowiednie miejsce, żeby wykopać sobie grób – wtrącił Szalony Joe.

– A gliny ciągle wyrzucają nas ze wszystkich miejscówek – dodał Michael.

Szalony pociągnął kolejny łyk piwa i przesunął swoimi smutnymi szarymi oczami po towarzystwie. Potem wbił wzrok w Michaela.

– Mam tu trochę płodów rolnych, jeśli jesteś zainteresowany – powiedział, otwierając pomarszczoną brązową torbę z grzybkami halucynogennymi.

– Nie potrzebuję ich. Mam kota i mnóstwo browaru – odrzekł Michael i wrócił do swojego piwa i Tabor, która teraz siedziała obok jego plecaka i bawiła się żółędziem, udając, że to jej ofiara. – Po prostu cieszę się, że tu jesteś.

Jako dziecko nigdy nie miał przyjęć urodzinowych, więc był wzruszony, że dziś pojawili wszyscy jego uliczni kumple. Pociągnął łyk burbona i sprawdził telefon. Dostał życzenia urodzinowe od znajomych z całego kraju, więc napisał na swoim profilu facebookowym szybką odpowiedź: „W Portland mokro... Kotka czuje się świetnie”.

Noc okazała się tak zimna, że można było przemarznąć do szpiku kości; temperatura spadła prawie do zera i siąpił lekki deszczyk. Na to whisky nie była już w stanie nic zaradzić. Michael uświadomił sobie, że musiał uciec nie tylko przed przejmującym chłodem, ale i przed sobą samym. Wyobraził sobie Tabor w miniaturowych okularach przeciwsłonecznych z czerwonymi oprawkami i z kartonową tabliczką na szyi z napisem „Kalifornia”.

– Tabor i ja lecimy do Kalifornii – oznajmił, puszczając w obieg butelkę.

– Lecimy z wami – powiedział Koziół. – Ja i Jane też jedziemy na południe w poszukiwaniu słońca.

– Tak, mogę to sobie wyobrazić – odezwał się Szalony Joe, przytakując. – Oczami duszy widzę

siebie w chacie na tropikalnej wyspie. To wam wszystkim dobrze zrobi, z kotką włącznie. Ale jak ty masz zamiar z nią podróżować? Pierwszą klasą czy ekonomiczną?

Zaśmiali się wszyscy z wyjątkiem Stinsona i Kyle'a.

Wędrowanie z kotką nie było tak niewyobrażalne, jak by się zdawało. Jasne, sprawi to Michaelowi więcej kłopotu, ale przecież nie mógł jej zostawić.

– Chcę jej pokazać ładne widoki – powiedział.

Tabor porzuciła harce i wróciła do Michaela. Włożył ją sobie pod kurtkę, zapiął suwak i razem ze Stinsonem i Kyle'em opuścili towarzystwo, wracając do swojej miejscówki w zatoczce UPS. Zostawili śpiącego Joego pod opieką jego suczki w największej krypcie, gmachu z czerwonej cegły z iglicami i witrażowymi oknami.

– Zabranie Tabor w podróż na południe – powiedział przyjaciółom, gdy razem opuszczali cmentarz – to dyktat serca.



Rozdział siódmy

Z Oregonu do Kalifornii: jeźdźcy burzy

Kilka tygodni po przyjęciu urodzinowym na cmentarzu Lone Fir Michael, Tabor, Kozioł i Jane łąpali stopa przy autostradzie międzystanowej nr 5 w Oregonie, i to w samym środku śnieżycy. Michael przypiął do plecaka wytrzymały, nylonowy koci transporterek na suwak, w środku którego Tabor przycupnęła pod puchowym polarem podarowanym jej przez jednego z życzliwych sklepikarzy z Hawthorne.

Wcześniej tego samego ranka Michael napelnił swój wysłużony plecak ubraniami, które znalazł w koszach z odrzutami przy lumpeksie Buffalo Exchange. Spakował również małą Kuchenkę turystyczną, patelnię, otwieracz do puszek, parę przypraw, fasolę, słone krakersy, słoik nescafé, koc, brezent, przenośne radyjko, kilka książek w miękkiej oprawie, swoje notesy, długopisy i markery, zebraczą puszkę cynową oraz karmę i akcesoria dla kota.

Przy zatoczce UPS od strony ulicy zostawił pod klonem karton z pięćdziesięcioma kilkoma puszkami karmy, nad którym zawiesił napis: „Darmowa kocia karma. Proszę o oddanie jej miejscowemu towarzystwu opieki nad zwierzętami. Ludzie byli bardzo szczydliwi dla mnie i dla mojej kotki, ale nie jestem w stanie zabrać ze sobą tego wszystkiego”. Przez trzy miesiące od znalezienia Tabor Michael żartował, że dźwiga wystarczająco dużo kociego żarełka, by wykarmić całe kocie stado. Przyjaciele pomagali mu, nosząc dodatkowe puszki na dnie swoich plecaków, a niektóre pochowali w zaroślach wzdłuż Hawthorne na wypadek, gdyby kiedyś karma zaczęła się kończyć. Jednak od czasu publicznego debiutu Tabor na szczycie jego plecaka Michael nie musiał się martwić o jedzenie dla niej.

Pożegnał się z Kyle'em, którego przygarnęli przyjaciele, i ze Stinsonem, który kupił używany samochód i na zimę wybierał się do Nowego Orleanu, do swojej dziewczyny. Potem zaszedł do Hawthorne Cutlery, by zobaczyć się z właścicielem, byłym policjantem z Miami, z którym się zaprzyjaźnił, a który poprosił go, by przed podróżą wpadł się pożegnać. Sklepikarz dał mu pięćdziesiąt dolarów w podzięcie za pomoc w udaremnieniu rabunku.

Tuż przed znalezieniem Tabor Michael zasnął pod budką z jedzeniem naprzeciwko rzeczonoego sklepu z akcesoriami kuchennymi i obudził się, gdy dwóch osobników usiłowało włamać się do budki. Michael krzyknął: „Hej, co wy robicie?!”, na co obaj się ulotnili. Zgłosił sprawę na policję i poprosił funkcjonariuszy, żeby rozglądali się za sprawcami. Miał przecucie, że wrócą, i rzeczywiście – pojawili się już następnego wieczoru. Niedługo później właściciel sklepu zauważył siedzącego w bramie Michaela i zwrócił się do niego: „Słyszałem, co pan zrobił. Troszczy się pan o nas, więc teraz ja zatroszczę się o pana”. Dał Michaelowi pięćdziesiąt dolarów, a później, gdy dowiedział się, że ten wyjeżdża na zimę do Kalifornii, chciał dać mu jeszcze coś na drogę.

Po obchodzie Michael i Tabor dołączyli do Kozła i Jane. Zaczął prószyć śnieg, więc na rozgrzewkę kupili sobie kawę w 7-Eleven i wyruszyli na południe. Oregon to jedyny z zachodnich stanów, w którym chodzenie po autostradzie jest zabronione.

Razem mieli wystarczająco dużo pieniędzy na zakup biletów kolejowych, ale nie byłiby w stanie przemycić do pociągu gadatliwej, nad wyraz przyjacielskiej kotki bez otumanienia jej lekami, na co Michael nie chciał się zgodzić. Tak więc musieli łąpać stopa.

Kozioł świetnie radził sobie z mapami, nawigacją i łąpaniem okazji, ale nie licząc ciężarówek tu i tam, autostrada była niemalże pusta. A kierowcy ciężarówek rzadko zabierali autostopowiczów; firmy przewozowe nie zezwalały na to, ponieważ w razie wypadku ich ubezpieczenie nie obejmowało pasażerów. Tak więc nasi bohaterzy przemierzali wiele mil wzdłuż autostrady, a ich ślady były jedynymi odciskami na śniegu. Michael od czasu do czasu zatrzymywał się, by sprawdzić, co u Tabor; odsuwał nieco pokrywę transportera i wkładał dłoń w jej puchate gniazdko.

Po południu targany wiatrem śnieg wirował już we wszystkich kierunkach. Przykrył autostradę i zebrał się na ubraniach i plecakach włóczęg. Obok nich przemykały wielkie ciężarówki, ochlapując wędrowców breją i jeszcze większą ilością śniegu. Kozioł machał swoim kartonem z napisem „Południe bądź Kalifornia”, starając się zwrócić uwagę kierowców, ale nikt nawet nie zwolnił, o zatrzymaniu się nie wspominając.

Późnym popołudniem zauważyli rząd podupadłych outletów i fast foodów otoczonych rozproszonymi jodłami. Mimo to zdecydowali się iść dalej, do kolejnego zjazdu z autostrady, gdzie, jak wiedzieli, znajdowały się stacja paliw i sklep całodobowy. Jednak gdy tam dotarli, okazało się, że interes został zamknięty. Ścigając się z nadciągającą ciemnością, wrócili na autostradę; liczyli, że uda im się dotrzeć do taniego motelu, w którym mogliby przenocować.

– Musimy szybko znaleźć jakiś nocleg – powtarzał Michael co kilka mil. – Nie chcę łapać stopa z kotem w śnieżycę. Ktoś mógłby wezwać policję. A Tabor to się nie spodoba.

– Nie martw się, Węszycielu, na coś trafimy – raz po raz odpowiadał mu Kozioł. – Zaraz znajdem nam podwózkę.

Ale zdążyło się już ściemnić, a po obiecanej podwózce wciąż nie było śladu. Podmiejska szachownica na południe od Portland już wiele godzin wcześniej zamieniła się w linię falistych, zalesionych wzgórz. Pokonani, schronili się pod gęstwiną potarganych wiatrem jodeł na trawiastym pasie rozdzielczym autostrady. Na dywanie z igieł pod gałęziami było sucho i miętko, więc rozłożyli tu swoje śpiwory. Wyczerpani Jane, Michael i kotka natychmiast zasnęli. Tylko Kozioł otulił się śpiworem i usiadł pochylony na plecaku przy drodze ze swoją kartonową tabliczką, przyświecając sobie telefonem i czekając na przejeżdżające samochody.

Około czwartej rano, gdy śnieg wciąż mocno prószył, obudził Jane i Michaela. Tej nocy w ogóle nie zmrużył oka i jakimś cudem udało mu się znaleźć im podwózkę do następnego zaplanowanego postoju w Wilsonville. Zebrali rzeczy i podeszli do małej furgonetki czekającej na nich na drodze. Jane, Michael i Tabor zdołali ścisnąć się na przednim siedzeniu przy kierowcy, ale w szoferce zabrakło miejsca dla Kozła. Musieli wrzucić go na pakę owiniętego dywanem, w nadziei, że to ochroni go przed zimnem.

Kierowca był kiepski, a furgonetka wciąż ślizgała się na śnieżnej brei i raz po raz zjeżdżała z pasa. Michael trzymał Tabor w transporterze na kolanach, starając się, by za bardzo nim nie trzęsło. Ale kotka była spokojna i zniosła jazdę bez najmniejszego miauknięcia sprzeciwu – większość kotów kwiliłaby całą drogę z Oregonu aż do Kalifornii. Michael i Jane bardziej byli jednak zmartwieni Kozłem, bojąc się, że mógłby zostać dosłownie wytrząśnięty z bagażnika na jezdnię i trafić pod koła jakiegoś samochodu. Na szczęście od najbliższego planowanego postoju dzieliło ich tylko około czterdziestu mil.

– To była jazda bez trzymanki – powiedział Michaelowi Kozioł, gdy dojechawszy do celu, odwinęli go z dywanu. Przez prawie godzinę rzucało nim na wszystkie strony na zimnej podłodze furgonetki.

Na postoju w Wilsonville – gdzie Michael wielokrotnie się zatrzymywał – było zimno, ale organizacje non profit rozdawały tu darmową kawę dla kierowców. A ponieważ do świąt Bożego Narodzenia zostało już tylko parę dni, na postojach w Oregonie częstowano również ciastkami i pączkami.

Michael wyjął Tabor z transportera i posadził ją sobie na kolanach. Wcześniej rozgrzał dłonie, obejmując kubek gorącej kawy, i teraz przycisnął je do boków kotki, by przekazać jej ciepło. Tabor zamruczała i otarła się kocim policzkiem o jego twarz.

Wciąż było zbyt wcześnie, żeby złapać następną okazję, więc Michael poprowadził ich przez zasy do pobliskiej noclegowni, która była tuż przy drodze, na krawędzi lasu. Tu mogli się zdrzemnąć. Ta porośnięta mchem, opuszczona przed laty ruina domu z osłoniętą tylną werandą pachniała kurzem, pleśnią i cedrem. Przez wybite szyby do środka wdarły się gałęzie drzew, a ze szczelin w wypaczonych deskach przebijały chwasty. Las powoli odzyskiwał swoje terytorium.

Gdy Kozioł i Jane weszli do środka, ostrożnie omijając połamane deski, otarli się o futrynę. Jak jesienne liście z sufitu posypały się kawałki zaschniętej farby.

Przyciskając do siebie transporter z Tabor, Michael wszedł za nimi.

– Chyba mieszkał tu Zodiak, ten seryjny morderca – zaśmiał się.

Dom rzeczywiście przypominał kryjówkę zbiega, ale na tylnej werandzie stało kilka zapadniętych sof, które teraz złączyli i położyli na nich swoje śpiwory tuż przy sobie, aby podczas snu nawzajem się ogrzewać. Tabor wskoczyła do śpiwora Michaela i zwinęła się w kłębek, po czym wszyscy ułożyli się do spania i zapadli w kilkugodzinny, głęboki sen.

Gdy tylko wzeszło słońce, kontynuowali swój marsz na południe aż do następnego postoju. Po wypiciu kilku kaw i zjedzeniu paru pączków udało im się złapać całą serię podwozków, jedną po drugiej. Znaleźli się na południe od Salem i ruszyli na wschód w kierunku Prineville, dawnego tartaczego miasteczka otoczonego górkami dolinami i polodowcowymi, zielonymi jeziorami – i właśnie tu opuściło ich szczęście. Zdołali jednak dotrzeć do domu znajomego w Prineville i przespać się u niego w salonie. Następnego dnia Michael napisał na Facebooku: „W Prineville z Kozłem i Jane... Jeźdźcy śnieżnej burzy”. Po trzech dniach znajomy miał ich dość, więc cała czwórka wróciła na autostradę do łapania stopa i wylądowała w Redmond, wysoko położonym pustynnym mieście znanym niegdyś z uboju dzikich i niechcianych koni. Końska krew zalewała kanalizację miejską, a mieszkańcy bezustannie narzekali na smród i jęki mordowanych zwierząt, dopóki bojówki ekologów nie spaliły rzeźni.

W Redmond złapali kolejną okazję aż do Sisters, malowniczego, kipiącego życiem narciarskiego miasteczka położonego na odludziu w środkowym Oregonie, otoczonego kokonem lasów iglastych. Spędzili tam noc, przemierzając do szpiku kości, ubrani dosłownie we wszystko, co mieli; spali na zewnątrz na zimnym betonie, z Tabor zagrzebaną w kocykach w transporterze obok. Za każdym razem, gdy Michael wkładał do niego dłoń, przykrywała ją swoimi łapkami, by go ogrzać. Była ciepłutka, choć na zewnątrz panowała temperatura minus osiem stopni Celsjusza.

Następnego mroźnego poranka zwinęli rzeczy i usadowili się pod miejscowym sklepem spożywczym, szukając po kieszeniach pieniędzy. Udało im się uzbierać jakieś osiemdziesiąt dolarów, kupili więc jedzenie i kawę, po czym poszli na skraj drogi, aby wrócić do łapania stopa. Po długim czekaniu Kozioł i Jane, którzy rozpaczliwie chcieli zejść z przejmującego mrozu, wsiedli do samochodu, który nie spodobał się Michaelowi. Jego kierowca trzymał w dłoni puszkę piwa i wyglądał, jakby był na wpół pijany. I tak Michael pożegnał się ze swoimi przyjaciółmi. On i Tabor mieli poszukać szczęścia gdzie indziej.

Teraz zostali tylko we dwójkę – sam na sam po raz pierwszy od swojego pierwszego spotkania kilka miesięcy wcześniej. Na drodze było niewiele aut. Po kilku godzinach marszu bez widoków na jakąkolwiek podwozkę Michael czuł, że lada chwila zasłabnie. Poza wypiciem kilku kaw jego ostatnim posiłkiem była poranna kanapka. Burczało mu w brzuchu. Prawie nie czuł palców u rąk i stóp. Ale przede wszystkim martwił się o Tabor. Co jakiś czas pomiaukiwała, jakby chciała mu dać znać, że wciąż przy nim jest. Gdy tylko stawał transporter, by sprawdzić, co u niej, mrugała na niego przez siatkowane okienko.

W pewnej chwili nagły podmuch wiatru nieomal zwałił Michaela z nóg. Potrzebowali schronienia, bo inaczej mogli nie przetrwać nocy. Gdy ponownie zajrzał do Tabor, wyglądała na przerażoną; kiedy wyjrzała spod kocyka, zauważył jej szeroko otwarte oczy i badawczy wzrok.

– Znajdę nam jakieś ciepłe miejsce – obiecał jej, wkładając dłoń przez szczelinę suwaka i czule głaszcząc kotkę po uszach i podbródku. – Już niedługo będziemy wygrzewać się na plaży. Zobaczysz, spodoba ci się. – Tabor spojrzała na Michaela i powoli przymknęła oczy, a zaraz potem ponownie je otworzyła, posyłając mu tym samym kociego całusa.

Mrużąc powieki, odwzajemnił się tym samym, opatulił ją kocykami i zasunął transporter. Rozejrzał się wokół, osłaniając dłonią oczy przed zacinającym śniegiem. Po obu stronach autostrady, jak okiem sięgnąć, widział tylko oslepiające śnieżne zasy i rosnące na poboczu drzewa: świerki, cisy i choiny. Przez płataninę gałęzi przyprószonych śniegiem sosen tuż poniżej linii drogi zauważył walącą się stodołę.

Podniósł transporter i spieszonym krokiem zszedł ze skarpy w stronę budynku. Stodoła wyglądała

na opuszczonej, ale bez wątpienia dałaby im tej nocy jakie takie schronienie od śniegu i wiatru. Otaczał ją gnijący płot, wszystko razem przypominało pozostałości po starej końskiej farmie. Nad najbliższymi stajennymi drzwiami wisiała odwrócona podkova, a pod nią leżała ogromna śnieżna zaspą, która blokowała wejście. Michael zaczął się przez nią rozpaczliwie przekopywać, dopóki nie zdołał uchylić drzwi na zardzewiałych zawiasach i przecisnąć się do środka. Przebiegł wzrokiem po wnętrzu, chcąc się upewnić, że nigdzie nie czai się żadne niebezpieczeństwo, po czym zrzucił plecak i postawił go obok transportera Tabor. Zatrzasnął drzwi najszczelniej, jak tylko się dało, rozszalałej wichurze tuż przed nosem.

Stajnie pachniały obornikiem i pleśnią, choć wyglądały na dawno opuszczone. Zakurzona stodoła była powalana słomą i plewami, ale sucha. W najdalszym kącie znalazł stertę brudnych, butwiejących starych derek i pustych worków jutowych. Usiadł na derkach, opierając się o ścianę, i zajął się Tabor, a następnie wyjął ją z transportera i zaczął pocierać jej grzbiet, by ją rozgrzać. Także szperając w swoim niewielkim plecaku i rozkładając śpiwór, nie wypuszczał małej z ramion. Czuł, jakby jego schowane w rękawiczkach palce zamieniły się w sople lodu.

Nawet w środku stajni było tak zimno, że widział, jak jego oddech przechodzi w parę. Przez szczeliny w połamanych drewnianych listwach wiatr przywiewał kłęby śniegu. Michael ponownie otulił Tabor kocykiem, włożył ją do transportera i zajął się opieraniem derek o ściany wokół ich kąta, by zatrzymać podmuchy zimnego powietrza. Potem wyjął swój pomarańczowo-czarny śpiwór North Face i piankową karimatę, które rozłożył na podłodze.

Dostał ten śpiwór rok wcześniej, w dniu własnych urodzin. Siedział właśnie na chodniku, pisząc tabliczkę o treści: „Dziś kończę czterdzieści siedem lat, urodziłem się trzeciego grudnia 1964 roku. Wspomóżcie bliźniego”, gdy nagle zatrzymał się obok niego jakiś mercedes, a siedzący w środku mężczyzna zapytał: „Czego panu potrzeba?”. „Nowego śpiwora”, odparł Michael. „Niech pan wskakuje”, powiedział mężczyzna, po czym zawiózł Michaela do sklepu sportowego na drugim krańcu miasta. Mimo że śpiwór był z tych lepszych, po długim i ciężkim żywocie na ulicy jego szwy zaczynały już pękać.

Michael posadził Tabor na plecaku i dał jej przekąskę z suchej karmy. Gdy kotka była zajęta jedzeniem, wymknął się na zewnątrz, gdzie w egipskich ciemnościach zaczął szukać drewna na opał. Po tak długim mieszkaniu w mieście zapomniał już, jak ciemne potrafią być noce na wsi. Pokonał niewielką polanę i wszedł do pobliskiego lasu. Tam prędko nazbierał tyle konarów i gałązek, ile tylko był w stanie unieść. Samotne przebywanie nocą w lesie od zawsze budziło w nim pewien strach, przypominając mu niepokój, który odczuwał jako dziecko, gdy po zmierzchu samotnie wychodził do lasu w pobliżu domu rodzinnego.

Sekundę po tym, jak zawrócił w stronę stodoły, kątem oka zauważył pewien ruch w ciemności. To Tabor przemykała między drzewami, biegnąc mu na spotkanie.

– Tabor! – krzyknął, gdy dopadła do jego boku. – A gdzie ty się wybierasz? Nie zaprzataj swojej ślicznej główki zmartwieniami, nigdy bym cię nie porzucił. – Kotka za bardzo się bała, by zostać sama w tej przerażającej, starej stodole.

Michael przyspieszył kroku, jak tylko mógł, a Tabor dreptała mu po piętach. Zatrzymał się w drzwiach stodoły, zachowując czujność. Po przekroczeniu progu doznał niepokojącego uczucia, że nie są sami. Usłyszał szelest słomy; kiedy spojrział na Tabor, miała szeroko otwarte oczy, uszy ruszały jej się jak anteny, a wąsy drgały. Szelest zdawał się dochodzić ze strychu na siano: był dziełem szczurów, nietoperzy albo innego tajemniczego gościa. „A co, jeśli to seryjny morderca?”, pomyślał nagle Michael.

Spanikowany, rozejrzył się za jakimś ciężkim przedmiotem. Odłożył wiązkę opału i sięgnął po swój stary, wysłużony telefon. Karta mu się skończyła, bateria była prawie rozładowana, a w tej dziurze i tak nie było zasięgu. Zresztą do kogo miałby zadzwonić?

Nagle ze strychu wystrzeliło stado wron, przeleciało im nad głowami i wypadło na zewnątrz przez dziurę w dachu. Michael prawie dostał zawału, a Tabor momentalnie wzięła łapy za pas i uderzyła głową o ścianę, po czym zagrzebała się na samym dnie śpiwora.

Michael odetchnął głęboko, stwierdzając, że naprawdę przydałby mu się papieros na uspokojenie,

ale najpierw musiał rozpalić ogień. Podniósł zebrany chrust, podszedł do osłoniętego zakątka, który stworzył za pomocą derek, i uprzętnął słomę z ziemi wokół niego. Ułożył drewno, a następnie rozpalili mały ogień, który miał ich ogrzewać w nocy. Potem zapalił kuchenkę turystyczną, rozgrzał skostniałe palce i przyrządził dwa posiłki: dla siebie puszkę fasoli i krakersy z dodatkiem soli morskiej oraz rozlupanych ziarenek pieprzu, a dla Tabor metalową miskę pasztetu z łososia od Meow Mix i zagrzane mleko dla kotów.

Kiedyś był szefem kuchni w eleganckich restauracjach, a teraz gotował dla kota w rozpadającej się stodole podczas śnieżycy. Pod pewnymi względami była to poprawa – i miło było znowu mieć kogoś ukochanego, komu można gotować.

Początkowo Tabor odmówiła wyściubienia nosa ze śpiwora, by pojawić się na kolacji, ale Michael zdołał ją w końcu z niego wywabić, kusząc paroma smaczkami. Połykała łososia i chłeptała ciepłe mleko, rzucając jednocześnie ukradkowe spojrzenia. Po tym błyskawicznym posiłku, nie przestając się oblizywać i bekać jak kierowca ciężarówki po piwie, zaszyła się z powrotem w śpiworze.

– Tchórz – rzucił żartobliwie Michael.

Normalnie zrobiłby sobie drinka przed snem w ramach walki z zimnem i niewygodą, ale tego wieczoru dziękował niebiosom za gorącą kawę rozpuszczalną. Fasola i krakersy nie wystarczyły, by zapełnić pusty żołądek. Wiedział, że pomimo zmęczenia nie będzie w stanie zasnąć, więc usiadł i zwijał papierosa za papierosem, chcąc oszukać głód. Żeby jakoś przeżyć tę noc, zaczął przypominać sobie dania, które przyrządzał, będąc szefem kuchni w restauracji Obie's w St. Louis: tosty francuskie po teksańsku z serem śmietankowym i dżemem truskawkowym oraz omlety po włosku z serem provolone, kielbasą pepperoni, zielonymi papryczkami i cebulkami.

Burza śnieżna rozhulała się na dobre, trzęsąc starymi, rozklekotanymi drzwiami stodoly. Wiatr wył przeraźliwie, a konary drzew drapały o dach. Michael patrzył z niepokojem na pogrążone w mroku przegrody na drugim końcu stodoly, zastanawiając się, czy wyskoczy z nich coś jeszcze. Czekał w napięciu, nasłuchując każdego dźwięku, przez co nabawił się lekkiej paranoi. W pewnej chwili zdawało mu się nawet, że słyszy przytłumione kroki skrzypiące na śniegu, i odpłynął myślami do horrorów o psychopatycznych mordercach grasujących po domkach na leśnym odludziu.

W świetle ognia zawieszzone po kątach pajęczyny pobłyskiwały kroplami wody. Tańczące ogniki oświetlały ściany, które, jak teraz zauważył, pokryte były wieloletnimi graffiti, a także bazgrołami w postaci czaszek, krzyży i nazw zespołów muzycznych. Dostrzegł wyblakłe serduszka opatrzone inicjałami i datami, wyryte niewprawną ręką w próchniejących, wyżartych przez korniki deseczkach, co przypomniało mu czasy, gdy byli z Mercerem nastolatkami palącymi marihuanę i śmiejącymi się ze wszystkiego wokół. Po ich pierwszym spotkaniu na szkolnym korytarzu widywali się codziennie w przerwach między ucieczkami Michaela, zrywając się z lekcji i dzieląc papierosami, piwem czy trawką w parku.

Myśl o Mercerze sprawiła, że się uśmiechnął i przestał bać.

Gdy ogień już się dopalał, Michael wślizgnął się do śpiwora i w końcu zapadł w niespokojny sen. Śnił mu się Mercer i dzień, w którym nieomal wysadził w powietrze ich dom. Tydzień przed śmiercią partnera Michael wrócił z pracy i zastał Mercera tak otumanionego morfiną, że jego klatka piersiowa obrysowana była ścieżką popiołu z papierosa, który powoli przepalił mu cały podkoszulek. Butla z tlenem stała pół metra od jego łóżka. „Nie możesz już palić papierosów”, oznajmił mu roztrzęsiony Michael. „A jeżeli koniecznie będziesz chciał to zrobić, ktoś musi tu być”. Mercer przeraził się, że mógł wysadzić dom, zabijając przy tym ich kota i psa.

Gdy skrawki światła zaczęły przeziierać przez połamane listwy i zaparowane, łukowe okienko na strychu, Michael natychmiast otworzył oczy. Przez krótką chwilę nie wiedział, gdzie jest. Nagle poczuł na twarzy i klatce piersiowej delikatny ucisk ciepłych, znajomych łapek. To Tabor stanęła na nim i spoglądała na niego z góry, ugniatając jego brodę i śliniąc mu się do oka. Uśmiechnął się, drapiąc ją po puchatej główce, a ona w odpowiedzi zamruczała i otarła się pyszczkiem o jego twarz.

Przeżyli nocną śnieżycę, a o poranku łączyła ich jeszcze silniejsza miłość.

Rozdział ósmy

Oregon, głęboka prowincja: motel wspomnień

Zanim niebo pojaśniało w pełni zimnym, niebieskawym światłem brzasku, Michael i Tabor byli już ponownie w drodze. Okutany w cztery warstwy ubrań i znoszoną bluzę z kapturem, Michael trząsał się z zimna, mimo że dodatkowo narzucił na siebie starą, wysłużoną kurtkę kierowcy UPS, a szyję mocno obwiązał wełnianym szalikiem. Kotka leżała opatulona w swoje małe kocyki z polaru w transporterze, z którego wystawały jej tylko uszy.

Przedzierając się przez zasypy wzdłuż autostrady, Michael złapał okazję z powrotem do pobliskiego Sisters, gdzie poprzedniego dnia rozstał się z Kozłem i Jane. Musiał zdobyć kawę i jedzenie.

Centrum miasteczka wyglądało tak, jakby od dziewiętnastego wieku niewiele się tu zmieniło, a główna ulica pełna była krytych pasaży i barów o nazwach takich jak „U Bronco Billa” czy „Przy Trzech Strumieniach”. Michael usiadł na chodniku przed sklepem spożywczym, gdzie spieszonym krokiem przechodzili turyści i zakupowicze. Wyjął garść kolorowych markerów i kawałek kartonu, na którym narysował choinkę, bałwana i prószący śnieg, a następnie opatrzył rysunek słowami: „Wesołych Świąt. Dziękuję za pomoc”. Postawił świąteczną tabliczkę przy wyszczerbionej cynowej puszcze, którą miał od 2005 roku, kiedy to starszy, czarnoskóry bezdomny o ksywce Enigma pokazał mu, jak zebrać. Potem z mniejszych kartoników zrobił świąteczne karty, które chciał rozdać przechodniom.

Była Wigilia. Na wpół śpiąca Tabor leżała na kolanach Michaela, przykryta kocykami. Widać było tylko jej głowę i łapę, którą położyła na przedramieniu bezdomnego, ale to przyciągnęło do nich ludzi. Spostrzegając kotkę, dawali Michaelowi jedzenie dla niego i dla niej, a także koce, gorące napoje, zapasowe skarpetki i swetry. Siedząc na tym chodniku, Michael przypomniał sobie czasy, kiedy mieszkał w St. Louis i kupował prezenty gwiazdkowe w sklepie Grandpa Pidgeon's, dziwnym dyskoncie retro, który już dawno został zamknięty. Zanim nie zszedł się z Mercerem, Boże Narodzenie nic dla Michaela nie znaczyło. Jako szef kuchni i tak zwykle pracował w święta.

W tym roku ludzie byli nadzwyczaj hojni – wrzucali mu do puszek dziesięcio- i dwudziestodolarowe banknoty, więc do zmroku udało mu się zebrać sto dolarów z dużym okładem. Już miał się zbierać, gdy nagle ze sklepu wyszła potężna, przysadzista kobieta o wyglądzie murarza, a na widok kotki towarzysząca jej córka oderwała się od boku matki i radośnie podskoczyła do Michaela. Gdy podekscytowana dziewczynka zaczęła głośno mówić do Tabora, kobieta szybko ją odciągnęła.

– Nie dotykaj tego kota – syknęła.

Michael zerknął na Tabor, która wyglądała na zranioną i zdezorientowaną.

– Och, Tabor, tak mi przykro!

Kobieta posłała mu nienawistne spojrzenie i zaczęła na niego krzyczeć za ośmieszenie jej przy dziecku. Tabor przestraszyła się i próbowała uciec, ale miała na sobie obrózkę i smycz, więc Michael zdołał ją złapać.

Podłóżka tej kobiety nieco go dotknęła. Będąc tak długo bezdomnym, nauczył się nie brać do siebie przytyków i drwin ze strony niektórych ludzi. Większość po prostu go unikała, ale bywał też obrażany, choćby przez dzieciaki pokazujące mu środkowy palec albo gładko ogolonych, lecz pijanych młodzieńców, którzy mieli zły dzień i przechodząc obok, krzyczeli do Michaela: „Znajdź sobie pracę, hipisie!”.

Bywało, że przypominał sobie wtedy słowa siostry Maureen Teresy: „Gdy ludzie mówią ci wstrętne rzeczy, zazwyczaj tak właśnie myślą o samych sobie. Nie bierz tego do serca”.

Ale teraz, gdy miał Tabor, trudniej mu było ten jad przełknąć. Poczul, jak wzbiera w nim złość na tę kobietę, która wyżyła się na niewinnej, małej kotce. W rewanżu chciał wykrzyczeć jej w twarz

wiązkę zniewag, ale zamiast tego wstał, zabrał rzeczy, włożył Tabor z powrotem do transportera i zrobił sobie fajrant.

Zazwyczaj, gdy udało mu się zbierać więcej pieniędzy, przepijał je, ale dziś powstrzymał się, kupując tylko małą butelkę Wild Turkey. Był teraz za kogoś odpowiedzialny i w pierwszej kolejności musiał myśleć o potrzebach Tabor: o jej głodzie, jej lękach, jej niewygodzie. Chciał, by choć raz mogła zasnąć w prawdziwym łóżku.

Zawędrował na kraniec miasta, gdzie przez śnieżną zamieć, jaka znowu się rozpętała, dojrzał staromodny motel, który najwyraźniej lata świetności miał już dawno za sobą i zapewne oferował najtańsze noclegi w okolicy. Nie chcąc dłużej stać na mrozie, ruszył pospiesznie w jego stronę, ale poślizgnął się na oblodzonym betonie parkingu i runął głową w dół. Gdy uderzał o ziemię, Tabor wyskoczyła z transportera i zniknęła w głębokiej śnieżnej zaspie.

– Cholera, cholera! – Zrzucił plecak i podniósł się chwiejnie. – Taaabor, przepraszam... Przepraszam...! – zawołał, przedzierając się na czworaka przez śnieg. Nigdzie jej nie widział. – Tabor, gdzie jesteś?

Nagle usłyszał ciche, bolesne kwilenie z głębi zasy. Zanurkował w niej całym ciałem i zaczął machać ramionami, dopóki nie otarł się palcami o coś ciepłego. Chwycił kotkę i wyciągnął ją na powierzchnię. Wyglądała na oszołomioną, a na główce miała kępkę śniegu przypominającą białą czapeczkę.

– Mam cię. Jestem przy tobie – powiedział, strzepując z niej śnieg i tuląc w ramionach. Ruszył do drzwi wejściowych motelu.

W środku powitała go siedząca w recepcji starsza pani o niebieskawych włosach i w staromodnych okularach na łańcuszku typu kocie oczy, bardzo modnych w latach pięćdziesiątych. Spojrzała z lekkim niedowierzaniem na Michaela, który wszedł do środka cały zaśnieżony i z Tabor pod kurtką, skąd wystawała tylko jej mała, mokra główka.

Wystarczyło mu pieniędzy na trzy noclegi. Położył zapłatę na kontuarze, a gdy kobieta ją przeliczała, powiedział do kotki:

– Spójrz, Tabor, jesteście na zewnątrz.

To był taki mały żarcik dla wtajemniczonych. Ponieważ Michael mieszkał na ulicy, a wszyscy od Waltera po opiekę społeczną z Portland chcieli znaleźć mu dom, za każdym razem, gdy zabierał kotkę do środka jakiegoś budynku, mówił, że są „na zewnątrz”.

Kilka chwil później zamykał pospiesznie drzwi swojego motelowego pokoju, chroniąc się przed porywistym wiatrem. Tabor była w siódmym niebie i natychmiast wskoczyła na łóżko. Gdy wszedł do łazienki i odkręcił kran, by napełnić butelkę, od razu do niego przybiegła, wskoczyła na umywalkę i zaczęła popijać ze strumienia wody. Dał kotce kolację, a następnie wziął długą, gorącą kąpiel, starając się odtajać i rozmiękczyć pęcherze na stopach.

Kwiatowa narzuta na łóżko była wytarta, dywan poplamiony, w łazience rozpanoszyła się pleśń, ale w oczach Michaela to był prawdziwy Ritz. Tabor też czuła się tu jak w domu. Wiedziała dokładnie, co robić i gdzie iść, a gdy chciała wyjść za potrzebą, podchodziła do drzwi i miauczała, żeby ją wypuścić, co tylko utwierdziło Michaela w przekonaniu, że posiadała kiedyś dom i właściciela. Pokój miał przesuwane drzwi na patio, za którymi znajdował się niewielki trawnik, obecnie przykryty tak dużą warstwą śniegu, że kotka w nim tonęła. Widząc, że mała ma problemy z wysiusioniem się w głębokim śniegu, Michael pożyczył z recepcji szufłę, za pomocą której odgarnął nieco zasy i stworzył dla niej wychodek, w którym mogła załatwiać swoje potrzeby i szybko wracać do ciepła. Ale na zewnątrz było tak mroźnie i wietrznie, że za każdym razem, gdy odsuwał drzwi na patio, do środka wdzierала się mała zamieć.

Tego pierwszego wieczoru w motelowym pokoju Michael włączył telewizor, położył się na łóżku i zaczął skakać po kanałach. Rzadko oglądał telewizję, nawet wtedy, gdy ją miał, bo większość hollywoodzkich aktorów uważał za okropną i niewiarygodną. Ale teraz leciała *Babe – świnka z klasą*, a Tabor siedziała przyklejona do odbiornika, oczarowana mówiącymi zwierzętami ze wsi. Co rusz podbiegała do ekranu i zaglądała za telewizor, próbując rozgryźć, jak dostać się do rozgadanej świnki

i jej przyjaciół. Rozśmieszała tym Michaela do łez.

W Boże Narodzenie zjedli kolację w łóżku: serowo-pomidorowa pizza z automatu dla Michaela i puszka łososa dla Tabor. Sprawdził Facebooka i przeczytał wszystkie życzenia świąteczne od Waltera i przyjaciół z całego kraju. Było to najprzyjemniejsze Boże Narodzenie w jego życiu, a spędził je w zatęchłym pokoju motelowym w towarzystwie kota.

Po śmierci ojca Michael chciał się pogodzić z matką. Przez wiele lat jej nienawidził, a ich relacje wydawały się nie do naprawienia. Matka przeprowadziła się do strzeżonego osiedla domów na kołach dla emerytów w małym, zakurzonym miasteczku na pustyni w Arizonie, gdzie przez jakiś czas mieszkała sama z dwoma psami, a potem poznała emerytowanego kierowcę ciężarówki o imieniu Burt, który się do niej wprowadził. Nie wyszła za niego, bo nie chciała stracić policyjnej emerytury po mężu, a po śmierci Burta jej życie kręciło się wokół psów i kowbojskiego kościoła, prostego białego budynku z wieżyczką położonego na pustyni, gdzie organizowano występy zespołów bluegrassowych i inne wydarzenia towarzyskie, na które można było nawet zabrać konia.

Michaelowi było jej żal i zgadywał, że może czuć się samotna, zwłaszcza odkąd jego bracia przestali się do niej odzywać. Kilka lat wcześniej Michael dwukrotnie przechodził przez Arizonę i zadzwonił do matki. Raz spotkał się z nią na środku pustyni, gdy wyprowadzała psy, ale nie zaprosiła go do siebie. Później wyjaśniła mu, że z jego niechlujnym wyglądem ochrona nie wpuściłaby go na teren osiedla. Od tamtej pory podtrzymywał kontakt, dzwoniąc do niej co niedziela po jej nabożeństwie. Często nie odbierała, a gdy już jej się to zdarzyło, ich rozmowy były zazwyczaj krótkie i sztywne.

Teraz, siedząc oparty o puszyste poduszki z Tabor wtuloną w jego ramionach, przełączył kanał na *Czarnoksiężnika z Oz*. Kotka nie mogła oderwać wzroku od czarownicy o zielonej twarzy i armii małych w czerwonych kurteczkach.

– I właśnie tak nauczyłem się, że podłych ludzi można roztopić w wodzie – powiedział do wpatrzonych w ekran Tabor, która z niedowierzaniem obserwowała, jak Zła Czarownica kurczy się i kurczy, aż nie zostaje po niej nic oprócz kapelusza, szaty i kałuży oparów.

Gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Tabor uwiła sobie gniazdko pod kołdrą i zasnęła. Michael przyglądał się jej, gdy gaworzyła coś do siebie przez sen. A sny miała naprawdę bogate. Czasami jednocześnie drgały jej uszy, wąsy i łapy, a zęby szczękały, wydając odgłosy podobne do tych, jakie koty robią, gdy przez okno widzą ptaka poza zasięgiem ich szponów.

Wszystko to przypominało mu o jego dawnym życiu, kiedy sypiał w normalnym łóżku ze swoim chłopakiem i dwiema ciepłymi, puszystymi kulkami: kotką Mau Mau i psem Aggiem Juniorem. W takich chwilach był przekonany, że on i Tabor nie przez przypadek odnaleźli siebie nawzajem.

Gdy tak leżeli razem pod ciepłym kocem, śnieg przykrywał ulicę za oknem, a czerwony neon rzucał ciepłą poświatę na oszronione szyby. Michael wpatrywał się w czerwone odbicie i pomyślał sobie, że wszystko idzie ku dobremu. Tej nocy miał sen. Widział w nim dom z opalonym drewnem kominkiem, ciepłym łóżkiem, kredensami i lodówką pełną świeżego jedzenia. Tabor leżała w koszu z suchym praniem.

Obudziwszy się, poczuł, że to na wpół znajome wspomnienie odpływa za horyzont.



Rozdział dziewiąty

Mała, wróć!

Ojciec Rona, Donald, i jego żona, Judy, mieszkali w wielkim, nieforemnym dwupiętrowym domu otoczonym trawnikami z rolki. Położony na zamkniętym osiedlu w eleganckiej dzielnicy West Hills w Portland, ich pełen przepychu, acz przytulny dom po brzegi wypełniały dzieła sztuki i antyki. Lśniący oślepiającą bielą salon o sklepionym suficie zaopatrzony był w okna widokowe, które wychodziły na ogród i oczko wodne z karpiami koi i przez które wpadało do środka wieczorne światło. Na każdym stoliku stały wazony z wylewającym się z nich białym kwieciem. Jeden z rogów salonu zajmował biały minifortepian, a drugi – pięknie udekorowana, ogromna choinka, połyskująca złotymi i srebrnymi ozdobami.

Od pierwszych dni grudnia aż do Wigilii Ron zazwyczaj wpadał w wir zakupów i imprez. Jednakże w tym roku nie miał do tego serca i tylko pojechał z Cretem do domu ojca na świąteczne spotkanie rodzinne. Miał nadzieję, że ten kilkudniowy pobyt przyniesie im obu ukojenie, a poza tym bał się, że jeśli zostawi Creta samego w domu nawet na jeden wieczór, to on również zostanie porwany. Ojciec Rona miał alergię na kocią sierść, ale tak bardzo współczuł synowi, że pozwolił mu przywieźć swojego pupila. Creto został umieszczony w pokoju gościnnym z łazienką, gdzie dla dodania sobie otuchy zwinął się w kłębek w wannie.

Donald oplakiwał właśnie śmierć jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, który zmarł kilka dni wcześniej. Jako osiemdziesięciodwulatek ojciec Rona wkraczał w wiek, kiedy traci się starych przyjaciół, którzy odchodzą jeden po drugim, jak jesienne liście spadające z drzew. Ron znał tego przyjaciela taty od dziecka i poszedł z ojcem na jego pogrzeb. Gdy dzień wcześniej siedzieli w katolickim kościele na nabożeństwie żałobnym, Ron załamał się i nie mogąc powstrzymać napływających do oczu łez, wybuchnął płaczem – nie z powodu ojca czy śmierci jego bliskiego przyjaciela Johna, ale ze względu na Matę, to, co wycierpiała, i gehennę, jaką w jego mniemaniu musiała wciąż przechodzić. Nie mógł powstrzymać smutku na myśl o tym, że może jej już nigdy nie zobaczyć i nie dowiedzieć się, co się z nią stało.

Przyjęcie świąteczne następnego dnia tylko pogłębiło jego zgryzotę i poczucie osamotnienia. Nie mógł odłożyć na bok swoich smutków, by prowadzić towarzyskie rozmowy o niczym. Jego dwie dorosłe siostrzenice, których prawie nie znał, i syn Judy, rówieśnik Rona, starali się go jakoś rozweselić. Widział, że wszyscy uważają, iż zaczyna tracić zmysły.

Gdy reszta towarzystwa pogrążyła się w radosnych rozmowach, wymknął się, by sprawdzić, co u Creta. Wszedł na górę po pięknych schodach udekorowanych gałązkami ostrokrzewu i girlandami przypominającymi przerośnięty bluszcz. W ciągu tego wieczoru wszyscy zajrzeli do łazienki przywitać się z Cretem i pozachwycać nim. Ktoś podarował mu świąteczną skarpetę pełną pięknie zapakowanych zabawek – znalazły się w niej nakręcana mysz, piłki ze światełkami i cygaro z kocimiętką, które Creto powąchał z posępną miną, trochę je poboksował, po czym stracił całe zainteresowanie.

Judy poszła za Ronem na górę, dźwigając ogromny, tapicerowany drapak przewiązany wielką czerwoną kokardą.

– Spójrz, Creto – powiedziała, stawiając drapak przed kocurkiem i schylając się, by pogłaskać go po głowie. – Spójrz, co dla ciebie mam, słodziaku.

Ale Creto odwrócił się do Judy ogonem. Ron usiadł przy nim na podłodze, kręcąc piórkami przytwierdzonymi do drapak, by obudzić jego zainteresowanie, ale kot tylko wyskoczył z wanny i wylądował mu na kolanach, chowając głowę w zgięciu jego łokcia niczym struś.

– Przepraszam – powiedział Ron, unosząc wzrok na Judy. Wiedział, jak bardzo postarała się dla jego kota, szczególnie że nie należała do wielbicieli zwierząt. – Zachowuje się tak, gdy jest smutny

i przygnębiony.

Creto tęsknił za siostrą i to było widać jak na dłoni. Judy zdołała przekonać Rona, by zszedł z nią na dół i wrócił na wspólną kolację.

Po długiej świątecznej uczcie wszyscy wymienili się prezentami, a potem zasiedli w salonie, delektując się ajerkoniakiem domowej roboty i zjadając ciasteczkami maślanymi w kształcie aniołków, gwiazdek i bałwanków. Mrugały żółte światełka na choince, a w tle płynęły dźwięki starej piosenki *Baby Please Come Home*.

Mata uwielbiała bożonarodzeniowe choinki. Wspinając się na nie, chwytając w łapki ozdoby, ostrzyła pazurki o pień i wypijała wodę ze stojaka.

W miarę upływu wieczoru smutek Rona przerodził się w gniew. Zaczął wyobrażać sobie, że przejeżdża samochodem Jacka, pozorując wypadek. W pewnej chwili pomyślał nawet o zrobieniu laleczki voodoo i wetknięciu w nią kilku szpilek, ale potem poczuł wyrzuty sumienia z powodu tych mrocznych wizji. Kiedyś był takim optymistą, zawsze starał się widzieć pozytywy, a smutek i przygnębienie szybko mu przechodziły. Teraz tonął w rozpacz i złych emocjach, które zatapiały jego życie kawałek po kawałku.

Widząc Rona siedzącego samotnie na sofie, Judy podeszła do niego z butelką caberneta i dwoma kieliszkami i usiadła obok. Kiedyś ich relacje były skomplikowane i chłodne, ale po latach napięć przekonali się do siebie.

– Jak się trzymasz? – zapytała, nalewając mu kieliszek wina. – Nie wiem, co powiedzieć, oprócz tego, że bardzo ci współczuję.

– To takie absurdalne – odparł Ron, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w bajkowe światełka zawieszane nad kominkiem. – Jak to mogło się stać dwa razy? To jak zostać dwukrotnie porażonym piorunem. Na pewno stoi za tym ten neandertalczyk z naprzeciwnika... On jest stuknięty. Ten obrzydliwy prymityw pewnie ją zabił.

– Nie masz na to dowodów, a takie oskarżenia to nie błahostka – powiedziała Judy z niepokojem na twarzy. – Ale nie wolno ci tracić nadziei.

– Nadziei na co? – odpowiedział poirytowany. – To był okropny rok... Straciłem kotkę i ledwo mijają trzy miesiące od jej odnalezienia, a ona znowu zostaje mi odebrana. I teraz jestem w stanie wojny z czubkiem. Niech ten 2012 już się skończy. – Miał wyrzuty sumienia, że narzeka, wiedząc, jak wiele dni Judy poświęciła na zorganizowanie tego przyjęcia. Nie chciał wyjść na egocentryka i niewdzięcznika. – Po prostu w mojej głowie szaleje burza, której nikt nie może zobaczyć.

– Nie musisz się z niczego tłumaczyć – powiedziała, kładąc mu rękę na dłoni i poklepując go po niej. – Tragedie dopadają nas wszystkich. Trzeba sobie z nimi jakoś radzić i nie pozwolić, by nas zdruzgotały. – Objęła go ramieniem. – A cuda się zdarzają. Pamiętaj, że Mata już raz wróciła.



Rozdział dziesiąty

Zawsze i wszędzie

Dwudziestego siódmego grudnia burze śnieżne wreszcie ustąpiły, a pod czystym, błękitnym niebem przykryte śniegiem miasteczko Sisters w Oregonie wyglądało jak z obrazka. Michael i Tabor opuścili motel i skierowali się w stronę przystanku autobusowego. Bezdomny nie chciał wracać na autostradę.

Podjechał autobus zmierzający na południe, do Eugene, a Michael wskoczył do środka z kotem w ramionach. Kierowca pokręcił przecząco głową i spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby Michael trzymał w ręku karabin maszynowy.

– Nie ma mowy – burknął. – Nie wpuszczę pana do autobusu.

Michael wysiadł. Nie wiedział, czy kierowca nie pozwolił mu wejść z powodu kotki, czy dlatego, że nie chciał w środku bezdomnego. Po przespaniu wielu nocy w tym samym ubraniu, z rozczochranymi włosami i ciemnymi obwódkami pod oczami Michael rzeczywiście wyglądał gorzej niż zazwyczaj, ale po trzydniowym pobycie w motelu był czysty.

Właścicielka kawiarni przy przystanku widziała z okna ich wymianę zdań i wybiegła na zewnątrz.

– Co się stało? – zapytała. – Czemu nie chciał pana zabrać?

– Nie wiem – odparł Michael. Był przyzwyczajony, że wszyscy trzymają się od niego z daleka i nie chciał nikomu sprawiać kłopotu.

Ale kobieta była szczerze przejęta i zatroskana.

– To niegodziwe – powiedziała, kręcąc głową. – Powinam była spisać jego numer i złożyć zażalenie. Nie do wiary, że ktoś mógłby tak potraktować bliźniego.

– Nic się nie stało – odparł Michael z wymuszonym uśmiechem. – Zdążyłem się przyzwyczać.

– Na dworze jest zimno – powiedziała. Była kobietą dawnej epoki, z ustami pomalowanymi szminką w kolorze perłowego rózu i białymi włosami upiętymi w elegancki kokczek. – Proszę wejść i się rozgrzać.

Choć kiedy to mówiła, uśmiechnęła się, w tonie jej głosu słychać było, że ta kwestia nie podlega dyskusji, więc Michael wszedł za nią do małej, staromodnej kawiarenki. Utrzymane w stylu lat pięćdziesiątych wnętrze było nieco zakurzone i wymagało remontu, ale laminowaną ladę ładnie udekorowano świątecznymi gadżetami i gwiazdami betlejemskimi w doniczkach. Kobieta wskazała Michaelowi narożny boks przy oknie.

Postawił Tabor na czerwonym fotelu winylowym i zajął miejsce obok. Właścicielka naląła mu kawy. Potem zniknęła za ladą, a uszu Michaela dobiegły dźwięki ekspresu do cappuccino. Po chwili kobieta wróciła, niosąc spodek mleka, które właśnie zagrzała. Tabor patrzyła na nią, mruczając.

– Jesteś taką słodką koteczką – powiedziała wesoło kobieta. Tabor nie spuszczała wzroku ze spodka, który kobieta postawiła przed nią, pochylając się. – Śliczna mała.

– To prawda, z powodzeniem mogłaby znaleźć się na okładce „Nowoczesnej Kotki” czy innego kociego czasopisma – przytaknął Michael, spoglądając na Tabor z błyskiem w oku.

– Nie znam tego magazynu. To nowość na rynku?

– Nie, właśnie wymyśliłem tę nazwę... Tak tylko powiedziałem.

– Koty to ukojenie dla duszy – odezwała się po chwili, obserwując, jak kotka delektuje się spienionym mlekiem.

– Tak – potwierdził Michael z uśmiechem, wpatrzony w Tabor.

Bez dwóch zdań sprawiła, że zapomniał o dręczących go kłopotach. Troszczył się o nią tak bardzo, iż przestał zamartwiać się własnym zasepieniem czy nieistotnymi sprawami, takimi jak

przemoczone skarpetki. Uczyla go, jak zapomnieć o całym bożym świecie i zwyczajnie się odprężyć.

Michael opowiedział właścicielce kawiarni historię uratowania Tabor, a jej modre oczy zaszczyły mgłą ze wzruszenia.

– Och, niech cię Bóg błogosławi, kochany – powiedziała. – A więc gdzie mieszkanie?

– Na ulicy. A teraz uciekamy przed mrozami do Kalifornii.

– To nie fair, że niektórzy nie mają dachu nad głową.

Michael się zaśmiał.

– Przynajmniej mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że mieszkam dokładnie tam, gdzie chcę.

– Musi być panu ciężko. Jak pan daje radę?

– No cóż, każdego ranka sprawdzam sobie puls, a jeśli wciąż go wyczuwam, to wstaję i jazda – odparł, starając się zbagatelizować swoją sytuację.

Kobieta uśmiechnęła się i wróciła za ladę. Michael usłyszał, jak rozmawia z kimś przez telefon, skarżąc się na kierowcę autobusu.

Gdy podjechał kolejny autokar, wyszła wraz z Michaelem, gotowa, by stanąć murem za nim i kotką.

– Proszę tu sekundę zaczekać – rzuciła i poszła porozmawiać z kierowcą. Wskazała na Michaela i Tabor, a kierowca skinął głową. Gestem dłoni przywołała Michaela.

Narzucił plecak, podniósł kotkę i podbiegł na przystanek.

– Teraz nie będzie pan miał żadnych problemów – powiedziała.

Z Tabor zwiniętą w ramionach wszedł do autobusu, odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na kobietę.

– Dziękuję, że zatroszczyła się pani o mnie i Tabor. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni.

Przypomniał sobie coś, co kiedyś powiedział mu jego przybrany ojciec, Walter: „Nie bądź nigdy niezyciwy dla obcych, bo odrobina dobroci może cię zaprowadzić naprawdę daleko, a czasem nawet pomóc przetrwać całe życie”. Widać było, że właścicielka kawiarni żyje według tych słów. A Michael wciąż błogosławił dzień, w którym zatrzymał się, by uratować tę małą, zagubioną koteczkę. Dobroć, jaką okazał wtedy Tabor, teraz przynosiła błogosławieństwo im obojgu.



Rozdział jedenasty

Kalifornia: iść w stronę słońca

Kiedy kilka godzin później Michael i Tabor wychodzili z autobusu w Eugene, było znacznie cieplej. Michael zrzucił kilka warstw ubrań. O zmierzchu rozstawił obóz pod baldachimem gęstych, potarganych gałęzi rosnących przy drodze jodeł, gdzie spędzili noc.

Następnego ranka kontynuowali swoją dwuosobową, kocio-ludzką ekspedycję na południe. Na przemian piechotą, autobusem i samochodem przemierzali poprzecinaną wstęgami samotnych autostrad krainę. Po złapaniu małej podwózki resztę poranka spędzili w marszu, docierając do Ashland, pozującej na miasto sztuki enklawy, znanej również jako Ludowa Republika Ashland, która położona była szesnaście mil od granicy z Kalifornią. Michael konał ze zmęczenia, więc zatrzymał się na przydrożnej stacji benzynowej ze sklepikiem, by kupić trochę wody i pozwolić nogom odpocząć. Przechodził już wtedy podczas dawnych wędrówek i spał na okolicznych polach, więc po małych zakupach usiadł na pobliskim niewielkim pagórku, który klienci musieli minąć, chcąc wejść do sklepu. Tabor przypiął smycz, a do plecaka przytwierdził karton z napisem: „Razem z kotką szukamy podwózki do Ventury”. Nie chciał, by ludzie zatrzymywali się, żeby go zabrać, a na widok kotki odjeżdżali. Ale jak się okazało, przystawali właśnie dla niej.

Na stację zajechała mała czerwona mazda, a za jej kierownicą siedziała szeroko uśmiechnięta młoda kobieta z falującą fryzurą w stylu pixie.

– Z chęcią podwiozłabym pana i pańską kotkę, ale jestem sama i raczej nie powinnam zabierać autostopowiczów. Jednak chcę wam coś dać – powiedziała, podając Michaelowi przez szybę nowiutką dwudziestodolarówkę.

– I co ty na to, Tabor? – zwrócił się do rozłożonej na plecaku kotki. – Wszyscy cię uwielbiają.

Nie zdążył nawet dać Tabor przysmaku i skręcić sobie papierosa, a już na stację wtoczył się lśniący kamper na teksańskich numerach.

– Hej, kolego! – zawołał do Michaela mężczyzna w lustrzankach ray-banach. – Widziałem, jak pan wchodzi. Potrzebujecie z kotem podwózki?

– Tak – odparł Michael, podnosząc Tabor i zbierając ich dobytek. Kotka ruszyła prosto w kierunku kampera, zupełnie jakby całe życie łapała stopa i bała się stracić niezłą podwózkę. Michael raz jeszcze zaczął myśleć, jakim cudem wylądowała sama na ciemnych, niebezpiecznych ulicach południowo-wschodniego Portland.

– Wskakujcie – powiedział kierowca, otwierając drzwi od strony pasażera. Mógł być w wieku zbliżonym do Michaela i miał przyprószone siwizną, obcięte na jeża włosy. Ubrany był w czarne levisy i szarą, wypłowiałą koszulkę z długim rękawem oraz wielkim napisem z przodu: „Lotto, broń, amunicja, piwo”.

– Jestem Ray – przedstawił się, zdejmując okulary, zza których wyłoniły się stalowe, szarzielone oczy.

– Węszyciel.

Ray wyciągnął rękę po plecak Michaela.

– Dokąd zmierzacie? Ja jadę na południowe obrzeża Santa Cruz.

– To nam pasuje – odpowiedział Michael, zadowolony, że udało im się złapać taką świetną okazję. Usadowił się wygodnie na siedzeniu pasażera z Tabor na kolanach. Z uwagi na to, że bardzo skrupulatnie pilnował godzin posiłków kotki podczas wędrówek, nie martwił się, że będą musieli robić dla niej przystanki toaletowe.

Tabor podniosła wzrok na Raya, powoli mrugając, i uniosła łapkę, by dotknąć jego

przedramienia.

– Tabor musi wszystkich w sobie rozkochiwać – wyjaśnił Michael. – I kocha każdego, pod warunkiem, że jest dotykana.

– Milusia kotka – powiedział Ray, zerkając w dół na Tabor i mierzwiąc jej czuprynę.

– Jest moim talizmanem.

Łapanie autostopu to zawsze loteria. Michael w żaden sposób nie mógł przewidzieć, gdzie zostanie zawieszony, ale większość ludzi była przyzwyczajona i miła. Podwozili go już wszyscy: rodziny z dziećmi, studenci na haju, pijany szeryf, który zagroził, że zastrzeli go jak piżmaka, jeśli ośmieli się chwycić za kółko, ale ostatecznie zaoferował mu nocleg u siebie, bo Michael nie miał się gdzie podziać. Ale żeby nie było tak miło, jeden z jego bezdomnych przyjaciół trafił kiedyś na faceta, który z premedytacją i z czystej złośliwości wywiózł go pięćdziesiąt mil w złym kierunku i wysadził na pustyni, na obrzeżach małego miasteczka o nazwie Truth or Consequences w Nowym Meksyku.

Ray jechał z Seattle i przemierzył już czterysta pięćdziesiąt mil. Wyjeżdżając z zaśnieżonych górskich serpentyn obrosniętych gęstwiną lasów sosnowych, na Oregon Route 66 skręcili na zachód i wjechali na autostradę międzystanową I-5. Pokryte śniegiem góry rozmyły się w oddali, a ich miejsce zajęły kalifornijskie miasteczka: Weed, Redding, Willows.

– A więc czym sobie zasłużyłeś na ksywkę „Węszyciel”? – zapytał Ray, rzucając Michaelowi ukradkowe spojrzenie.

– Nadała mi ją banda hipisówek – odpowiedział Michael. – Jakies dziesięć lat temu byłem w kalifornijskim Trinidad, kiedy łapałem stopa na stojedynce, i nagle zatrzymała się furgonetka pełna hipisek. Powiedziałem im, że jadę do Arkansas na Rainbow Gathering. One też się tam wybierały. Po drodze, około trzeciej w nocy, zatrzymaliśmy się przy sklepie całodobowym. Patrząc, a tam wózek z pudełkiem w środku. Podchodzę bliżej. Jestem już prawie przy nim, gdy nagle spoglądam w dół i widzę banknot dwudziestodolarowy, więc schylam się i go podnoszę. Okazuje się, że to wcale nie dwadzieścia dolarów, tylko dwieście, a dokładnie dziesięć dwudziestodolarówek. A na dnie wózka siedzi sobie zimny sześciopak piwa Henry Weinhard's. Miałem wtedy ksywkę „Montana Mike”, ale hipiski z furgonetki zaczęły nazywać mnie Węszycielem. Wszystkim moim bezdomnym przyjaciołom z Portland się to spodobało, więc przyłgnęło na dobre.

Każdy, kto podwoził Michaela, miał własne opowieści, a niektórzy przesadzali ze zwierzeniami, spowiadając mu się jak księdzu w konfesjonale, bo dobrze wiedzieli, że raczej nigdy więcej go nie zobaczą.

Ray okazał się dobrym towarzyszem podróży, głównie dlatego, że wziął na siebie ciężar rozmowy. Był starym wojakiem i mówił chrapliwym głosem, jakby codziennie wypalał sto czerwonych marlborasów.

– Zostawiłem żonę. Schrzanilem sobie życie. Przez pewien czas było dobrze, ale potem wszystko się posypało.

Michael nie odpowiedział, bo był zmęczony i skupił się na Tabor, która schowała swój mały podbródek w łapki i zasnęła z czymś między pomrukiem a westchnieniem.

– Przed czym uciekasz? – zapytał go Ray.

Zaskoczony tym pytaniem Michael zaczął dukać.

– Cóż... przed niczym nie uciekam. Tylko przed zimnem i deszczem Portland. Były czasy, kiedy jeździłem po całych Stanach, ale teraz staram się po prostu przetrzymać kolejną zimę. To wszystko.

Ray spojrział na niego i uśmiechnął się.

– No wiesz, wyglądasz na jakiegoś renegata.

Michael słyszał to już wielokrotnie. Facet z wydziału komunikacji, który robił mu zdjęcie do prawa jazdy, stwierdził, że Michael wygląda jak Billy Kid. To mu się spodobało.

– Jestem zwykłym tułaczem.

– Wszyscy jesteśmy tułaczami – odparł ze śmiechem Ray. – Zbiegami uciekającymi przed tym czy tamtym. Moi dziadkowie uciekli z Irlandii przed głodem, a rodzice od biedy i braku perspektyw małego miasteczka. Ja uciekłem od duszącego życia i okrucieństw wojny.

Po pięciu godzinach podróży dotarli do Sacramento i wszędzie w powietrzu zaczął się unosić zapach kalifornijskich pól uprawnych. Mijali pola ryżowe, sady orzechowe i pastwiska. Ze słońcem za oknem i w wygodnym kamperze podróż przebiegała przyjemnie.

Przejeżdżając przez San Francisco, wjechali na malowniczą przybrzeżną Route 1 w Daly City. Gdy Michael opuścił szybę, kiedy tak sunęli na południe w kierunku Big Sur, poczuł na twarzy chłodną morską bryzę i przypomniał sobie wszystkie miejsca, o których opowiadał mu Mercer, zwiedziwszy je podczas służby w lotnictwie. Gwałtowny powiew wiatru zbudził Tabor, która poderwała się na równe łapy ze zmierzwioną od snu fryzurą.

– Zawsze chciałem zwiedzać świat – wyznał Rayowi – i ze zwykłej ciekawości przepłynąć ocean.

– To samo myślałem, gdy zaciągałem się do wojska. Ale muszę ci powiedzieć, że ciekawość bywa zabójcza.

Ich oczom ukazał się Pacyfik.

– Patrz, Tabor, patrz... To ocean – powiedział Michael, podnosząc kotkę do szyby. – Właśnie tam jedziemy.

Ułożona wygodnie na kolanach Michaela, Tabor przyglądała się wszystkiemu jak sowa, mrużąc z podekscytowania na każdy widok: płynące nisko po niebie chmury, kołyszące się na zimnym wietrze pędy calliandry i przemykające obok samochody. Nie wzruszały jej nawet ciężarówki olbrzymy, których pojawienie się przyjmowała bez mrugnięcia okiem.

Pod zamglonym purpurowym niebem Ray manewrował kierownicą na krętej autostradzie nr 1, jadąc przerażająco blisko klifu, u podnóża którego burzyły się wezbrane oceaniczne fale.



Gdy dotarli do Half Moon Bay, uroczej osady otoczonej zamglonymi urwiskami i plażami, wszyscy byli już zmęczeni i milczący. Michael poczuł woń położonych nieco dalej na południe łąk wodorostów i słyszał nawoływania słoni morskich na brzegu. Tabor spała na jego kolanach z puchatą główką ułożoną na łapkach, od czasu do czasu pochrapując.



Było już ciemno, gdy Ray wysadził Michaela i Tabor w Watsonville, rolniczym miasteczku w pobliżu Santa Cruz. Michael znalazł zaciszny kąt pod zarośniętym orzechem czarnym na skrawku zieleni przy głównej drodze. Dał Tabor kolację, rozpalili ogień i podgrzał spaghetti z puszki. Potem oboje zasnęli, wyczerpani po spędzeniu niemal dziesięciu godzin w kamperze.

Obudziwszy się następnego ranka w promieniach słońca i z Tabor u boku, Michael poczuł lekkość ducha i swego rodzaju ulgę, że jest na powietrzu, nawet jeśli w chłodzie i półcieniu świtu. Niedługo po tym, jak mała spałaszowała śniadanie, przypiął jej smycz, schował kotkę za pazuchę i poszli zwiedzać uroczne sklepiki wzdłuż Trzeciej Ulicy, a następnie wskoczyli w autobus i pojechali do pobliskiego Santa Cruz. To leniwe plażowe miasteczko wychodzące na Zatokę Monterey – niegdysiejszy przystanek Jacka Kerouaca – szczyliło się, że jest ostatnim bastionem kontrkultury lat sześćdziesiątych, i roilo się w nim od starych hipisów, surferów, amatorów marihuany i studentów. W kampusie filii Uniwersytetu Kalifornijskiego znajdował się nawet kemping dla przyczep turystycznych studentów.

Wysiadłszy w samym sercu miasta, tuż przy Pacific Avenue, Michael ruszył w stronę małego, rodzinnego baru taco na nadbrzeżu, o którym wiedział, że niemal każdego ranka wydaje bezdomnym darmowe posiłki. Właściciel, wychodzący z nałogu alkoholik, prowadził restauracyjkę z żoną i dwoma dorosłymi synami. Działalność dobroczynną rozpoczął jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej, gdy zauważył staruszkę szperającego w koszu w poszukiwaniu jedzenia. Nakarmił go i od tamtej pory rozdaje jedzenie wszystkim głodnym i ubogim, w duchu Chrystusa, jak mówi. Każdego rana okoliczni bezdomni ustawiają się spokojnie w kolejce przy bocznym okienku, gdzie na hasło „Fasolka i ryż w imię Jezusa Chrystusa” dostają talerz świeżo ugotowanego jedzenia.

Po otrzymaniu pełnego półmiska Michael znalazł w pobliżu wolną ławkę, na której usiedli oboje

z kotką, a on dał jej śniadanie. Tabor zatopiła ząbki w swoim posiłku, natomiast Michael zjadł fasolkę z ryżem. Nie mógł wyjść ze zdziwienia, jak bardzo pokochał tę małą koteczkę. Spokojna i ufna, okazała się idealnym towarzyszem podróży, przystosowując się do wszystkiego i żyjąc pełnią życia.

Mając przed sobą cały dzień, Michael przemierzył Pacific Avenue z Tabor przycupniętą na jego plecaku, która pochłaniała wszystkie widoki swoimi wielkimi, szeroko otwartymi oczami koloru eukaliptusa: z zaciekawieniem przyglądała się barwnym ulicznym muzykantom i artystycznym witrynom sklepowym w stylu retro, ocienionym wysokimi, strzelistymi drzewami.

Wędrowali bocznymi alejkami opatrzonymi nazwami drzew – ulica Wierzbowa, Klonowa, Laurowa – i dokładnie w chwili, gdy Michael poczuł przemożne zmęczenie po całodniowym spacerze z plecakiem i wiercącym się na nim kotem, w głębi jednego z zaułków dostrzegł niepozorny bar w stylu zajazdu. Była to sympatyczna, choć podniszczona sąsiedzka spelunka, staroświecki bar, jakie spotyka się w małych miasteczkach, o lokalnym kolorycie, głębokich kuflach i zacisznych kątach, w których można się było zaszyć z kotem. Zjadł lunch na szarym końcu baru, a jako że był sylwester, został do happy hour. Słabo oświetlone wnętrze miało w sobie nutę trącej myszką elegancji; tapeta była tu i ówdzie naderwana, przy ścianie stała szafa grająca, a za długim, drewnianym barem wisiały stare zdjęcia surferów.

Do trzeciej po południu tłumek miejscowych i turystów, którzy przyszli tu na obiad, zdążył już zniknąć. Przy barze pozostało tylko pięć osób; zaprawieni w boju stali bywalcy, cały dzień wlewający w siebie piwo przy dźwiękach złotych przebojów płynących z szafy grającej.

Barman, szczupły, brązowowłosy chłopaczek z upstrzoną piegami twarzą, modną fryzurą i kozią bródką, rozpoznał Michaela i Tabor; widział ich wcześniej, jak przechodzili obok.

– To na mój koszt – powiedział, stawiając przed Michaelem kolejkę whiskey. – Zaczynamy zabawę sylwestrową trochę wcześniej, he?

Michael uśmiechnął się.

– Nie potrzebuję pretekstu, żeby się napić. Robię to codziennie – odparł.

Tymczasem rozanielona Tabor znalazła się w centrum uwagi, gdy ómy barowe zaczęły wyciągać do niej ręce, by ją pogłaskać i podrapać po bródce. Ale kiedy źródółko uwielbienia wyszło, poszła sobie i klapnęła w progu, witając przechodniów przyjacielskim świergotaniem. Michael bał się, że ktoś na nią nadeptnie albo kotka zawędruje na ulicę, więc zaciągnął ją z powrotem do środka. Gdy jednak tylko spuszczał ją z oka, wymykała się i ponownie zasiadała na swoim samozwańczym tronie w drzwiach. Kiedy wniósł ją po raz trzeci, posadził na tapicerowanym stołku barowym i przypiął jej smycz, zaczęła protestować, wydając z siebie serię głośnych, zrzędliwych miauknięć.

– To nasza pierwsza kłótnia – wyjaśnił Michael barmanowi. – Nigdy do niczego jej nie zmuszam. Myślę o niej jako o człowieku, ale niestety muszę tę małą gadzinę wszędzie dźwigać.

– To królowa.

– Królowa dosłownie wszystkiego... Myśli, że cały świat kręci się wokół niej.

– Wszystko u ciebie gra, kiciu? – zapytał młodzieniec cienkim głosem, zwracając się do Tabor.

Oschły i niecierpliwy w stosunku do zwykłych klientów, barman dwoił się i troił, żeby zadowolić kotkę. Dał jej trochę świeżej śmietanki w szklance do szkockiej. Kotka objęła ją jedną łapką, a za pomocą drugiej piła słodką ambrosję.

– O Boże, to najśłodszy widok świata! – zapiszczał wniebowzięty. Sam miał koty w swoim domu rodzinnym w paśmie Black Hills w Południowej Dakocie, gdzie dorastał w cieniu Mount Rushmore, w miasteczku, które uznał za zbyt małe i zbyt senne, więc przeprowadził się do Kalifornii.

Tabor skończyła jeść i spojrzała na Michaela z kroplami śmietanki na brodzie. Wciąż obrażona, patrzyła na niego oskarżycielsko, zupełnie jakby przesznuł ją do baru i przetrzymywał w charakterze zakładniczki.

– Przecież nie przykułem cię do grzejnika – zwrócił się do niej z uśmiechem, po czym wziął ją na ręce, żeby znowu nie uciekła. – Czasami sprawia wrażenie, jakbym był jakimś potworem, który ją strasznie zaniedbuje. Ma wszystko, czego potrzebuje, ale i tak miauczy do obcych.

Barman przyniósł Tabor garść wiśni maraschino do zabawy, a ona wskoczyła na bar i zaczęła je

boksować. Za każdym razem, gdy strąciła którąś na podłogę, czekała, aż Michael ją podniesie. Po kilku minutach znudziła się tą zabawą i wróciła na jego kolana.

– Spójrz tylko na swoje łapki... Całe się lepią – zbeształ ją, ale ona tylko zerknęła na niego i zamrużyła.

– Kotów nie zaprogramowano do uległości – powiedział barmanowi. – Są przyzwyczajone do tego, że mają służących. Codziennie muszę mówić jej „nie” jakieś dwadzieścia pięć razy, i to jeszcze przed siódmą rano. Zawsze koniecznie chce postawić na swoim.

Sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę przysmaków dla kota, żeby ją jakoś udobruchać. Wziął garść, a kotka ułożyła się na jego kolanach, wyjadając mu je z dłoni przy wtórze pełnych uznania, gardłowych pomrukiwań. Potem przeniosła się na wolny stół obok Michaela i ze zwisającą tylną łapą natychmiast zasnęła.

Barman postawił przed Michaeliem następną kolejkę whisky, a drugą nalał sobie.

– Jestem na służbie i muszę opiekować się tą tutaj – powiedział Michael, wskazując na śpiącą kotkę zwiniętą w kłębek na siedzeniu obok. – Nie mogę przesadzać z piciem, ale dzięki.

Obaj wzniesli swoje miniaturowe szklaneczki i stuknęli się nimi.

W półmroku przytulnego baru Michael wychylił jeszcze kilka kolejek. W tle brzęczała jakaś stara piosenka The Byrds o samotności w środku dnia. Oczami wyobraźni bezdomny zobaczył Mercera, przystojnego i nieogolonego, ze spokojnymi niebieskimi oczami uśmiechającymi się do niego.

Siedząc przy końcu baru ze śpiącą Tabor u boku, Michael obserwował schodzących się ludzi i zaczął przypominać sobie szczęśliwsze czasy, jeszcze sprzed choroby swojego partnera. Chcieli się tymczasowo wyrwać z St. Louis, więc na pięć lat zamieszkali na rodzinnej farmie Mercera nad jeziorem Wappapello w rolniczym, południowo-zachodnim Missouri. Na szesnastu akrach ziemi stał trzypiętrowy dom z przylegającym doń ogromnym, dzikim ogrodem, ciągnącym się w stronę jeziora. Michael pracował jako szef kuchni w miejscowej restauracji ze stekami o nazwie Millers House of Angus. Jej właścicielami byli stary gangster z St. Louis, niejaki Lefty Miller, który wyszedł z więzienia po odsiadce za uchylanie się od płacenia podatków, i jego żona, Anita. Serwowano tam dania z owoców morza i mięsa, a klientela składała się głównie z miejscowych, którzy przychodzili na cotygodniowy stek. Michael dobrze się dogadywał z właścicielami, ale oboje byli alkoholikami i zawsze dochodziło do jakichś scen.

Pewnym późnym wieczorem, gdzieś w okolicach Nowego Roku, Michael właśnie kończył pracę zmęczony i drażliwy. Jakaś klientka odesłała stek, skarżąc się, że zamówiła mocno wysmażony na zewnątrz i krwisty w środku. Michael uwijał się jak w ukropie, gdy nagle usłyszał dobiegający z sali ogromny huk, a sekundę później do kuchni wpadła Anita.

– Michael, jesteś mi natychmiast potrzebny! – krzyknęła. – Chodź, musisz podnieść Lefty’ego.

– Jestem zajęty – odpowiedział. – Czemu to ja zawsze muszę go zgarbić z podłogi?

– Bo tylko tobie pozwala się dotknąć – warknęła i wyszła.

Gdy Michael po raz pierwszy przestąpił próg restauracji, przeczytawszy wcześniej w gazecie ofertę pracy, Lefty z miejsca go zatrudnił – i równie szybko namaścił jako wybrańca, któremu wolno było go dotykać, kiedy upadał.

Michael zrzucił swój poplamiony biały fartuch, zostawiając go na środku kuchni. Wyszedł na salę, gdzie zastał Lefty’ego leżącego twarzą do podłogi przy schodkach prowadzących do baru. Przeklinał i mamrotał coś pod nosem. Z rozrzuconymi rękami i nogami przypominał narysowany kredą profil trupa na miejscu zbrodni.

Jeden z młodych kelnerów próbował go podnieść.

– Nie dotykaj mnie, do cholery! – warknął Lefty, odpychając mężczyznę. – Zawołajcie Kinga.

– Jestem – powiedział Michael i dźwignął Lefty’ego z podłogi. Wsadził go do jego lincolna i zawiózł na drugą stronę ulicy, gdzie mieszkali. Lefty był tak pijany, że zaczął płakać. Michael wniósł go do środka i położył na sofie, po czym wrócił do pracy.

Idąc parkingiem na tyłach restauracji, usłyszał wydobywające się spod śmietnika ciche skomlenie i sapanie. Podczołgał się na brzuchu, by móc zajrzeć pod kontener, i zobaczył małego, puchatego pieska

o brązowym umaszczeniu, wyglądem przypominającego miniaturowego niedźwiadka z brudną, zmatowiałą sierścią. Podniósł przerażonego, trzęsącego się szczeniaka i zabrał go ze sobą do środka, po czym zamknął na noc lokal. Postanowił nazwać zwierzaka Angus, tak jak restauracja, pod którą go znalazł, i zabrał pieska do domu, do Mercera.

Umyli go i zaprowadzili do weterynarza, a tam dowiedzieli się, że „on” to tak naprawdę „ona”, prawie dorosła i na dodatek w ciąży, przez co być może została porzucona. Michael zmienił jej imię na Aggie. Gdy urodziła, szczeniakom znaleźli domy u przyjaciół i rodziny, ale Aggie i jedno maleństwo zatrzymali. Kilka miesięcy później suczka wybiegła z domu i została śmiertelnie potrącona przez samochód, więc szczeniaczekowi, który im po niej został, zmienili imię na Aggie Junior.

Michael zawsze się cieszył, że ocalił Aggie i jej szczeniaki. Aggie Junior był świetnym psem, który dał mu mnóstwo miłości. To było dawno, a teraz opiekował się Tabor. I miał nadzieję, że będą razem jeszcze bardzo długo.

Następnego ranka śpiącego pod starą, rozłożystą magnolią Michaela obudziło oślepiające słońce. Do jego nozdrzy dobiegł zapach waty cukrowej pomieszany z płynącym od promenady słonym powietrzem. Kątem oka zauważył pobłyskujące morskie fale, więc spakował rzeczy i skierował się w stronę plaży. Ale gdy zobaczył autobus jadący do oddalonego o ponad trzydzieści mil Salinas, wskoczył na pokład, by pokazać Tabor rodzinną miejscowość Steinbecka, który był jego ulubionym pisarzem. Sposób, w jaki pisał on o zepsuciu Stanów, nie stracił nic na aktualności i wciąż znaczył coś dla Michaela.

Przemierzając autostradą krainę Steinbecka, pełną lesistych kanionów, dolin i winnic, Michael trzymał na kolanach zwiniętą w kłębek Tabor, z uroczo ułożonymi jedna na drugiej łapkami. Co jakiś czas kotka wstawiała albo wyciągała szyjkę do okna, by móc dobrze się przyjrzeć nowemu krajobrazowi. Zrobiła wielkie oczy na widok pięcioipółmetrowych, tekturowych postaci robotników rolnych, które wyrastały z pól wzdłuż autostrady niczym szereg olbrzymów.

Wysiadłszy z autobusu w starym centrum Salinas, Michael z Tabor na ramieniu ruszył w stronę Central Avenue, gdzie stał dom, w którym wychowywał się Steinbeck. Pisarz był tu wszechobecny; jego nazwisko widniało na płytach pamiątkowych, pomnikach i tabliczkach informujących, że w tej a tej kawiarni czy restauracji się stołował. Spacerując po tym sennym miasteczku z jego labiryntami urokliwych ulic, wiktoriańskimi domami i wiekowymi dębami, Michael mówił do siedzącej mu na ramieniu kotki, wskazując jej przeróżne ciekawe miejsca.

Kiedy wycieczka po Salinas dobiegła końca, Michael dowiedział się od miejscowych, że zatrzymuje się tu autobus do King City, więc spali z Tabor w zaroślach na porośniętym trawą pasie rozdzielczym, żeby go nie przegapić. Obiecał kotce, że zatrzymają się w pierwszym ciepłym miasteczku, a było nim właśnie King City.



Rozdział dwunasty

King City: gwiazda rodeo

King City, senne nadbrzeżne miasteczko ukryte pośród pól sałaty i truskawek, było zwyczajowym przystankiem Michaela podczas jego wędrówek wzdłuż wybrzeża do Kalifornii. Całe miejsce pachniało truskawkami i latem, nawet w zimie. Gdy tam dotarli, świeciło słońce, a temperatura utrzymywała się na poziomie dwudziestu paru stopni Celsjusza. Słodkie zapachy i słoneczne ciepło były dla wędrowca i kota o sercu włóczykija rajem na ziemi.

Pierwszego dnia Michael z kotką na ramieniu przechadzał się po staroświeckim, kolonialnym centrum miasteczka urządzonym na planie pasażu handlowego, wchłaniając niezliczone obrazy i wonie. Razem mijali zakłady rzemieślnicze, antykwiariaty i urocze kawiarenki z ogródkami. Gdy mieli już dość, usiedli w cieniu drzewka cytrynowego rosnącego pod sklepem spożywczym, czekając na datki. Drzewko było w pełni rozkwitu, a białe płatki sypały się z niego niczym śnieg.

Obsypana nimi Tabor witała podchodzące dzieci i psy jak światowej klasy dyplomatka. Ze wszystkimi musiała się przywitać, przekręcając się na grzbiet i pokazując biały brzusek, który z dnia na dzień stawał się okrągłyjszy. Podekscytowane dzieciaki paplały wesoło i piszczały ze śmiechu, głaszcząc i przytulając kotkę.

Jeden mały chłopiec w czerwonym kapeluszu kowbojskim i z zabawkowym rewolwerem w plastikowej kaburze uświadczył Tabor: „Masz łaty jak krówka. Jesteś gwiazdą rodeo”. Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Gdy słońce zaczęło zbyt mocno przygrzewać, znalazł przed McDonaldem bardziej zacienione miejsce. Z restauracji wyszła pyzata, radosna młoda kobieta w obciętych džinsach i japonkach i dziarskim krokiem podeszła prosto do nich, po czym podała Michaelowi papierową torbę.

– Większy cheeseburger dla pana, a mniejszy dla kotki.

Michael podziękował, ale pomyślał: „Niektórzy po prostu nie są uświadomieni”. Nigdy nie nakarmiłby kota śmieciowym jedzeniem pokroju tłustego burgera. Kiedyś zdenerwował się na Stinsona, który chciał poczęstować Tabor frytką. Potem kobieta sięgnęła do torebki.

– A tu ma pan dwadzieścia dolarów na potrzebne sprawunki – powiedziała, wręczając mu nowiutki banknot. – Niech was oboje Bóg błogosławi.

Michael raz jeszcze podziękował kobiecie. Zdecydował, że cheeseburgera Tabor zje sam, a za gotówkę uzupełni zapasy kociej karmy.

Gros miejscowej ludności stanowili Latynosi, religijni i bardzo hojni dla bezdomnych. Ktoś podarował mu kieszonkową Biblię z banknotem dziesięciodolarowym między kartkami.

– Dziękuję, Panie Jezu – wyszeptał Michael za oddalającym się dobroczyńcą. Swoją obecnością kotka stale przypominała mu o ludzkiej dobroci i pomyślał, że to na jej potrzeby przeznaczy dane od Boga pieniądze.

– Tabor, zostajemy tu – poinformował kotkę, która znowu leżała na grzbiecie w niewielkim oddaleniu od niego, wygrzewając się w promieniach zimowego słońca. Podniosła na niego wzrok, a w oślepiającym blasku jej oczy zamieniły się w pionowe czarne szparki. – Robimy sobie wakacje.



Michael i Tabor spędzili w King City dwa odprężające tygodnie – dokładnie tego potrzebowali po trudach wędrówki przez zasypany śniegiem Oregon.

Pewnego późnego popołudnia, po wypraniu wszystkich brudnych ubrań, Michael rozsiadł się

przed pralnią samoobsługową w pobliżu porośniętego kwitnącym pnączem zaułka. Odpoczywając na ławeczce pod drzewem grejfrutowym, czytał gazetę z Tabor rozłożoną wygodnie na jego kolanach i palił skręcane papierosa z dodatkiem miejscowej trawki. Nagle zatrzymał się przed nimi minivan z mężczyzną za kierownicą i małym chłopcem na fotelu pasażera. Kierowca opuścił szybę i zawołał:

– Hej, ile pan chce za tego kota?!

To pytanie zirytowało Michaela.

– Wezmę vana i dzieciaka – odpowiedział, zamykając tym usta zszokowanemu mężczyźnie.

Kilka chwil później podeszła do nich młoda kobieta o długich, ciemnych włosach ubrana w ciepły czarny sweter i porwane dzinsy, przystając, by przywitać się z Tabor.

– Jaka ty jesteś urocza! – zaświergotała, głaszcząc kotkę. – W sam raz do schrupania!

– Bez dwóch zdań – potwierdził Michael z papierosem zwisającym z ust. Odłożył gazetę. – To fenomenalna kotka. A jakiś idiota chciał ją przed chwilą ode mnie kupić. Pewnie myślał, że rzucę kwotą dwudziestu dolarów albo coś. Ale jej nie można przypiąć metki z ceną. Jest bezcenna.

Dziewczyna ponownie pogłaskała Tabor i zapytała, skąd są. Michael opowiedział jej historię znalezienia kotki, to, jak pojawiła się nagle w deszczu niczym za sprawą jakichś czarów.

– Od razu przypadliśmy sobie do serca.

– To wspaniałe – powiedziała dziewczyna. – Zupełnie jakbyście byli sobie przeznaczeni. Na pewno pisane wam było się nawzajem odnaleźć.

– Jesteśmy idealną parą. Oboje łagodni i niezbyt ambitni.

– Czy mogę zapytać, jak to się stało, że jest pan bezdomny?

– No cóż, zacząłem się powoli staczać – odparł Michael, nagle pochmurniejąc. – Tak bywa.

Wpatrywał się w szczelinę w chodniku, zatopiony we wspomnieniu twarzy umierającego Mercera. Michael był w pracy dwie przecznice dalej, gdy odebrał telefon od pielęgniarki hospicyjnej, którą zatrudnił do opieki nad swoim partnerem.

– Mercer umiera, proszę przyjść do domu – powiedziała.

Gdy kilka minut później usiadł przy jego wezgielcu, Mercer na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, więc usnął na zawsze, zanim Michael zdążył się z nim pożegnać.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska – odezwała się dziewczyna, widząc rozpacz malującą się na twarzy Michaela. – Wszyscy mamy swoje smutki i zmartwienia. Niech pan nie traci nadziei. Jesteśmy w stanie obyć się bez jedzenia przez czterdzieści dni, bez wody przez trzy dni, a bez tlenu przez trzy minuty. Ale bez nadziei nie przetrwamy nawet kilku sekund.

– No nie wiem – odparł Michael. Walter, jego przybrany ojciec, też mówił o tym, jak ważna jest nadzieja, i powtarzał mu, żeby nigdy nie miał żadnych oczekiwań, lecz zawsze był dobrej myśli. Była to filozofia, którą Michael przyjął tylko częściowo. – Nadzieja często bywa okrutną matką... Jedzenie, woda, piwo i papierosy zazwyczaj w zupełności wystarczają – ciągnął z uśmiechem. – Ale nie radzę sobie jeszcze tak najgorzej. Mam swoją kicię. A przyjaźń i miłość, które nas łączą, są głębsze od Missisipi.

Tabor przeciągnęła się, zeskoczyła mu z kolan i spoglądając na niego przez kocie ramię, ruszyła w stronę kwitnących pnączy, które porastały ceglany murek w pobliskim zaułku. To najwyraźniej poruszyło jakąś strunę w duszy dziewczyny, bo nagle odsunęła się ze łzami w oczach, rozmazując sobie tusz.

– Pańska kotka przypomina mi moją własną pręguszkę – wyjaśniła. Wyjęła z torebki trochę pieniędzy, wcisnęła mu je w dłoń i powiedziała, żeby kupił za to jedzenie dla Tabor, po czym szybko odeszła.

Michael ze zdziwieniem odkrył, że dała mu pięćdziesięciodolarówkę. Ludzie z najsmutniejszymi historiami zawsze wydawali mu się najhojniejsi.

Nieco przygnębiony, zauważył, że zaczęło się ściemniać. Tabor podeszła do niego cicho, trącąc go noskiem w kostki. Pachniała słodyczą i piżmem, a Michael zauważył wystające z jej futerka białe płatki jaśminu w kształcie gwiazdek; musiała otrzeć się o rozłożyste pnącze porastające mur zaułka.

– Chodźmy – powiedział, podnosząc z ziemi rozmruczaną kotkę i sadzając ją sobie lekko na

ramieniu. Z banknotem od dziewczyny w dłoni udał się w stronę najbliższego monopolowego. Kilka minut później wyszedł ze sklepu z butelką taniej, kwaśnej whisky z zacieru, sześciopakiem piwa Rainier i paczką papierosów American Spirit.



Następnego dnia przemarznięty i skołowany Michael obudził się już o świcie. Nie wiedział, gdzie jest. Przez zamglone powieki dostrzegł zarys opuszczonego zaułka i stertę obwisłych worków na śmieci, rozdartych przez szopy albo kojoty. Czuł się jak wrak człowieka i pękała mu głowa. Tabor leżała skulona na jego piersi z podwiniętymi łapkami i wpatrywała się w niego sennymi wzrokiem. Starając się jej nie poruszyć, sięgnął po swój wysłużony, nefrytowy kapelusz z wywijanymi brzegami, który znalazł dawno temu na pustej, porośniętej kaktusami działce na Południowym Zachodzie, i położył go sobie na twarzy, zasłaniając się przed światłem dnia, po czym ponownie zasnął.

Niedługo później poczuł na ramieniu mocny uścisk czyjejś dłoni. Odsunął z twarzy kapelusz i zerknął zza niego szklistymi, niewidzącymi oczami, które w oślepiającym słońcu mogły rozpoznać jedynie płamę granatowego munduru. Stał nad nim burkliwy policjant o kwadratowej szczęce.

– A niech to – mruknął Michael pod nosem, przecierając zaspane oczy. Próbował wstać, zrzucając przy tym Tabor, ale zachwiał się i upadł z powrotem na ziemię. Tabor odskoczyła pół metra dalej, pod mur zaułka, gdzie przycupnęła i zaczęła obserwować rozwój sytuacji.

– Tu nie wolno spać.

– Przepraszam, panie władzo. Niechcący zasnąłem.

– Muszę wypisać mandat za blokowanie chodnika – odparł policjant i zaczął wypełniać druczek mandatu za włóczęgostwo.

– Nie umiem stać się niewidzialny... a chciałbym.

Policjant poprosił go o dowód i kontynuował wypisywanie mandatu. Michael, zbyt skacowany i otumaniony, by jasno myśleć, wyjął swój zbiór stanowych dowodów tożsamości i praw jazdy, wśród których znalazły się i takie, które dawno już wygasły i były opatrzone nieaktualnymi zdjęciami przedstawiającymi różne długości jego włosów i brody. Wybrał dowód z Montany i podał go policjantowi.

– Montana – powiedział funkcjonariusz, spoglądając z góry na Michaela. – Czy tam pan mieszka?

– Nie mieszkam nigdzie.

Policjant oddał mu dowód i wręczył mandat. Michael gapił się w żółty świstek, zszokowany wysokością grzywny.

– Dwieście sześćdziesiąt pięć dolców za leżenie na chodniku? Ale to zaułek – zaprotestował słabo, wyjmując notes, w którym trzymał inne niezapłacone mandaty z ostatnich kilku miesięcy, i dorzucił do sterty nowy nabytek.

– Ale i wtedy ludzie muszą jakoś przejść.

– Skąd mam wziąć taką sumę?

Policjant spojrzał na niego z mieszaniną litości i poirytowania, wyciągając rękę, by pomóc mu wstać.

– Proszę przyjąć dobrą radę – powiedział. – Co z oczu, to z serca.

– W porządku, panie władzo, przepraszam – wymamrotał Michael, odwracając się do odejścia.

Tabor wyciągnęła się na słońcu, na wpół schowana za zasłoną pnąca jaśminu porastającego mur, i w milczeniu przyglądała się całej rozmowie. Gdy zbierając się do odejścia, policjant spojrzał na nią, podeszła leniwie, ocierając mu się o nogi i miauczac prosząco, by ją podniósł. Ze wszystkich sił starała się go oczarować, ale on tylko przeszedł obok i zniknął. Odwróciła głowę do Michaela i wydała z siebie ciche, smutne miauknięcie.

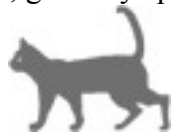
– Przykro mi, Tabor – powiedział, opierając się o mur, po czym osunął się niezgrabnie na chodnik. Ze wszystkich stron otaczały go puste puszkę, butelki i niedopałki papierosów.

Tabor ziewnęła szeroko, przeciągając łapki, po czym przytruchtała do niego. Wskoczyła mu na

ramię i trąciła noskiem jego policzek.

– Dama nie może prowadzić takiego trybu życia – powiedział jej. Tabor spojrzała na Michaela tak, jakby dobrze wiedziała, co ma na myśli. – Obiecuję poprawę.

Głośno mrucząc, otarła się nagrzanym od słońca, miękkim łebkiem o jego podbródek, ufna, że była tam, gdzie być powinna – u jego boku.



Rozdział trzynasty

Zły wpływ księżyca

Deszcz lał się strumieniami. *Wiatr powyginał palmy, a z nieba spadały kokosy. Ron przycupnął za zrujnowanym domem z kamienia, ściskając w ramionach Matę i patrząc, jak wszędzie latają poodrywane gałęzie i kawałki drewna. Gdy wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, zacinając w ich stronę, Mata wyślizgnęła mu się z ramion, a Ron patrzył bezradnie, jak porywa ją fala wezbranego morza.*

Ron otworzył nagle oczy. Był zdezorientowany i zlany zimnym potem. Jego uszu dobiegł głuchy odgłos; to Creto przebiegał przez drewnianą podłogę, chcąc uciec z sypialni. Musiał się przestraszyć, gdy Ron gwałtownie przebudził się z koszmaru.

Panował siarczyście mroźny styczniowy poranek. Dochodziła jedenasta. Każdy ranek był tak samo przygnębiający, a każdy dzień Ron przeżywał z trudem, ale najgorsze były weekendy. Zaczął miewać okresy, gdy całymi dniami nie wychodził z domu. Jego przyjaciele żartowali, że znalazł się niebezpiecznie blisko granicy mrocznego królestwa telewizji śniadaniowej i antydepresantów, albo jeszcze gorzej: kolekcjonowania broni. Leżał tak, otumaniony, wpatrując się tępo w wiszące na ścianie trzy stare tkaniny z czarnego aksamitu z nadrukiem Elvisa Presleya i zastanawiając się nad znaczeniem swojego snu. Czuł się tak, jakby spadł na samo dno czarnej rozpacz i gniewu, które powoli wysysały z niego całą energię.

Creto wrócił do sypialni i miaucząc, wskoczył na poduszkę tuż przy głowie Rona. Mężczyzna pogłaskał go po puchatej główce. „Gdyby nie ten kocurek, w ogóle bym nie wstawał. Pewnie skończyłbym jak Brian Wilson i już nigdy nie wyszedł z łóżka”, pomyślał.

Jak w zegarku na łóżko wskoczył też Jim, kot syjamski o lśniącem futerku i czekoladowym pyszczku, miaucząc i domagając się śniadania. Kocurek należał do lokatora Rona, Steve’a. Ron poznał go cztery lata wcześniej, tuż po tym, jak Steve, poszukujący angażu muzyk, stracił dom i wraz ze swoją kotką starowinką, Lennie, wyładował na ulicy. Życzliwy Ron przygarnął ich oboje, nie prosząc o jakikolwiek czynsz, a po śmierci Lennie Steve zaadoptował kociaka Jima.

Ron poszedł do kuchni i z zaczerwienionymi od zmęczenia oczami zbliżył się ociężale podchodząc do ekspresu do kawy. Creto i Jim przemknęli obok niego i już czekali przy swoich miskach. Ron wiedział, że przed wyjściem Steve nakarmił koty, ale one zawsze chciały dokładkę i zachowywały się, jakby od wielu dni głodowały, by tylko wyłudzić dodatkową porcję żarełka.

Napełniając kocie miski, wyjrzał przez okno w stronę domu naprzeciwko, w którym mieszkał Jack. Ron był przekonany, że jego sąsiad trudni się rozprowadzaniem narkotyków – przez jego dom przewijał się cały tłum wyniszczonych zombie z wybałuszonymi oczami, nawiedzając Jacka o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Na samą myśl o sąsiedzie w Ronie zagotowała się krew.

– Mam nadzieję, że umrzesz z przedawkowania, ty zaćpany frajerze – bąknął pod nosem.

Stawiając przed kotami drugie śniadanie, powiedział sobie, że musi przerwać to błędne koło mściwych myśli o swoim okropnym sąsiedzie. Zmuszając się do zrobienia czegoś dobrego, odpalił komputer, przelał trochę pieniędzy na konto swojej ulubionej organizacji ratującej zdziczałe koty i przeszedł się po domu, zbierając ręczniki, koce, miski i inne rzeczy, które mogłyby się przydać miejscowemu schronisku. Potem zaczął szukać na eBayu części do gitar Stratocaster do swojego sklepu, wpadając w istny szal gitarowych zakupów. Następnie przyszła pora na schowanie ozdób bożonarodzeniowych. Ron włączył radio ze złotymi przebojami i słuchając słodkiego, zmysłowego głosu Lindy Scott śpiewającej *I’ve Told Every Little Star*, zaczął zdejmować z choinki światełka i ozdoby, które następnie upychał w pudełkach. Starał się czymś zająć, bo gdyby usiadł, zaczęłyby płakać za Matą, a w jego głowie ponownie rozszalałby się cyklon mrocznych myśli.

Tego ponurego popołudnia zmrok zapadł już o piątą. Steve wrócił z pracy wcześniej niż zwykle

i zaprosił Rona na happy hour do jednego z okolicznych barów, ale Ron był zbyt przybity, by wychodzić z domu, więc Steve poszedł sam.

Creto leżał zwinięty w kłębek pod grzejnikiem w głębi pokoju. Jim otarł się Ronowi o kostki i z niedowierzaniem przyglądał się, jak jego gospodarz wyciąga na zewnątrz choinkę, zostawiając za sobą ścieżkę igieł. Potem Ron wtaszczył pudła z ozdobami na strych.

Obite boazerią z drewna cedrowego poddasze przypominało przerośniętą saunę. Dla Rona było niczym sekretny domek na drzewie, kryjówka przed całym światem. Przychodził tu czasami posłuchać muzyki albo pomedytować dla oczyszczenia umysłu. Skośne ściany i lukarny wychodziły na przód i tył budynku. Pod jedną ze ścian stały pudła z płytami winylowymi, a nad nimi wisiał oprawiony w ramkę plakat Beatlesów z wczesnych lat sześćdziesiątych. Obok półeczki z czerwoną lampą lava stał statyw mikrofonowy w stylu retro. W każdym kącie czuć było spokojną, przytulną atmosferę.

Naprzeciwko okna na tylne podwórze stał zabytkowy fotel fryzjerski, na który Ron opadł po odłożeniu na miejsce pudeł z ozdobami świątecznymi. Ten wydrążony z orzecha, obity zamszową skórą fotel z metalowymi podkładkami na stopy należał do jego dziadka, który prowadził zakład fryzjerski w St. Johns, malutkim, uroczym przedmieściu w północnym Portland, po drugiej stronie rzeki Willamette. Ron dosłownie dorastał w tym fotelu: mały, pyzaty blondynek strzyżony na żołnierza w staromodnym, zakurzonym zakładzie fryzjerskim swojego dziadka. Zakład, wyposażony w tradycyjny biało-niebiesko-czerwony słupek przed wejściem, sklepione sufity, obite boazerią ściany, na których wisiały żółknące zdjęcia męskich fryzur, i rzadki kolorowych buteleczek balsamu ustawionych wzdłuż kontuaru, był naprawdę przytulnym, miłym miejscem o domowej atmosferze. Oprócz tego tonął w obłokach dymu z fajek należących do rozgadanych, wesołych i towarzyskich wścazy, stałych klientów dziadka.

Ten fotel był dla Rona jak wehikuł czasu. Za każdym razem, gdy w nim siadał, przenosił się myślami do czasów, gdy jako dziecko bawił się pod szaroniebieskimi gotyckimi łukami mostu św. Jana w Cathedral Park. Uwielbiał zaglądać do okolicznych rodzinnych sklepów. Niektóre z nich wciąż działały: na przykład piekarnia Tulip Pastry, dokąd po wizycie w zakładzie dziadka matka zabierała go na drożdżówki z nadzieniem migdałowym i czeremchową oranżadę; zagracony sklep z komiksami o skrzypiących drewnianych podłogach należący do miłej irańskiej rodziny rozdającej czekoladowe cukierki, gdzie Ron wydawał całe swoje kieszonkowe; stare kino, w którym latem 1975 roku po raz pierwszy obejrzał *Szczęki*; Lion's Den Man's Shop, pasmanteria, której zabawna nazwa wywoływała na jego twarzy uśmiech za każdym razem, gdy obok niej przechodził.

Zanim został fryzjerem, dziadek Rona był muzykiem i w latach czterdziestych grał w zespole ragtime'owym. Podarował Ronowi harmonijkę i pierwszą gitarę, wprowadzając go do świata muzyki, od gigantów jazzu począwszy, a na Buddym Hollym i Bobie Dylanie skończywszy. Kręcąc się na fotelu fryzjerskim, Ron pomyślał, że być może teraz jest dobra pora na remont poddasza – mógłby tu urządzić małe studio nagraniowe, o jakim zawsze marzył. To byłaby odskocznia, której tak bardzo potrzebował.

Wyjrzał przez okno na tylne podwórze i zobaczył, że zapadł już zmrok i pojawił się księżyc, wypełniając zimne nocne powietrze swoją szarawą poświatą. Przez ułamek sekundy Ronowi wydawało się, że to druga pełnia księżyca. Ale ostatnie takie zjawisko miało miejsce w sierpniu, w okolicy trzecich urodzin Maty i Creta, więc na powtórkę było raczej za wcześnie. Dla Rona pełnia oznaczała huśtawkę emocjonalną. Teraz z całą pewnością ją odczuwał i pomyślał, że zimny i ponury styczeń stanowił idealne odzwierciedlenie jego depresji. Do urodzin Rona – które, jak lubił się chwalić, przypadają w tym samym dniu co urodziny Elvisa Presleya i Davida Bowiego – zostały trzy doby. Zaczął nagle dygotać, zastanawiając się, gdzie przepadła jego młodość: podjął mnóstwo błędnych decyzji, wchodził w nieodpowiednie związki i zmarnował wiele szans. Jego życie nie zmieniło się zanadto od czasu, gdy był dwudziestopięcioletkiem, poza tym, że teraz został sam, miał depresję i mieszkał obok sadystycznego socjopaty.

W blasku księżyca na podłodze poddasza zamigotały fragmenty lamety. Ron wstał, wziął szczotkę i szufelkę i je zamiótł. Potem zaczął szperać w jednym z pudeł, w którym natknął się na nieotwartą skarpetę świąteczną Maty sprzed roku, gdy kotka zniknęła po raz pierwszy. Widząc wciąż

zapiętą w czerwonej siateczce skarpetę, która wyglądała jak zamrożona w czasie, wrócił pamięcią do tych długich, mroźnych zimowych dni, kiedy Mata zaginęła i błąkała się po lasach.

Przypomniawszy sobie każdy szczegół dnia, w którym odebrał ją z towarzystwa opieki nad zwierzętami w Vancouver. Była bardzo wychudzona i miała kocią gripę. Kiedy przyjechał do schroniska, pracownicy nie mogli jej znaleźć. Została przeniesiona na zaplecze, do celi śmierci. Od uspienia dzieliły ją jedynie godziny, ponieważ została uznana za na wpół zdziczałą i zbyt chorą, by ją leczyć. Schronisko trzymało zwierzęta przez pięć dni, a jeśli w tym czasie nikt ich nie adoptował bądź nie zgłaszał się po nie właściciel, były usypiane, natomiast te zdziczałe i mniej przyjaźnie nastawione do człowieka z miejsca odsyłano do celi śmierci. Życzliwy opiekun zaprowadził Rona do ponurej, przypominającej bunkier sali na zapleczu, w której trzymano wszystkich zwierzęcych skazańców. To było najsmutniejsze, najbardziej chwytające za serce miejsce, jakie Ron kiedykolwiek widział.

Mijał w milczeniu i ze łzami w oczach rzędy metalowych klatek z przerażonymi kotami i kociętami. Niektóre pochowały się w swoich kuwetach, inne stały z błagalnym wzrokiem i płakały. Najsmutniejsze z nich już się poddały, ucichły i tylko siedziały zgarbione w głębi klatek.

Wśród tych ostatnich była również Mata, schowana w samym końcu swojego boks, z główką ułożoną na łapkach. Ale gdy tylko Ron krzyknął jej pieszczotliwe przydomkowanie, „Mruczykicia”, strzygnęła uszami, podnosząc na niego wzrok, i odpowiedziała mu serią smutnych i zawodzących miauknięć.

W drodze powrotnej wystawiła łapkę przez kratkę wiklinowego koszyczka i owinęła ją wokół palca swojego pana. Teraz Ron zapłakał, przypominając sobie, jak blisko był jej utraty.

Zszedł przybity na dół i wziął laptop, by sprawdzić, czy jakimś cudem nie dostał e-maila w sprawie Maty. Potem wrócił z komputerem na poddasze i opublikował na Facebooku swoje ulubione zdjęcie, na którym przytula Matę i Creta. Opatrzył je słowami: „Mato, proszę, wróć do domu. Bez ciebie jest niepełny”.

Zamknął laptop, postawił go na podłodze i ponownie zwinął się w fotelu, chowając twarz w dłoniach. W tej samej chwili usłyszał lekki tupot kocich łapek na skrzypiących drewnianych schodach. Podniósł wzrok i zobaczył wystającą znad szczytu schodów głowę Jima. Imponujący kocur syjamski bacznie mu się przyglądał, co rusz mrugając swoimi oczami jakby nie do pary, z których jedno było niebieskie, a drugie złociste.

– Och, Jim, Jimmy Jim Jim – zagruchał do niego Ron. – Jesteś takim słodziakiem.

Słyszając to, Jim odpowiedział zawodzącym, ochrypłym pomrukiem-miauknięciem. Podeszedł do Rona – dzięki zabawnemu umaszczeniu wyglądał, jakby miał na łapach brązowe rajstopy – i wskoczył mu na kolana niczym mały gimnastyk. Podniósł na Rona swoje hipnotyczne oczy Davida Bowiego, po czym trącił go główką w twarz i poklepał łapą po nodze.

Czyste serce i zabawne, figlarne zachowanie Jima podniosło Rona na duchu. Wreszcie się uśmiechnął.

Chwilę później usłyszał pobrzękiwanie kluczy na ganku – Steve wrócił do domu. Nie chciał, by jego lokator zobaczył go w takim stanie. Podnosząc Jima, Ron wstał i odwrócił się, by posadzić kota na fotelu fryzjerskim. Wyłączył światło, wziął głęboki oddech i otarł łzy rękawem swetra. Odczekał, aż usłyszy, jak Steve tłucze się po kuchni, przyrządzając sobie nocną przekąskę, po czym zszedł na dół, starając się zrobić dobrą minę do złej gry.

Pomyślał, że musi jakoś wziąć się w garść i przetrwać tę zimę. Musi wierzyć, że odnajdzie Matę i raz jeszcze sprowadzi ją do domu.



Rozdział czternasty

Ventura, Kalifornia: dobre wibracje

W połowie stycznia Michael złapał podmiejski autobus na południowe obrzeża King City. Potem z Tabor siedzącą mu na plecaku łapał stopa wzdłuż wybrzeża. Niemal od razu zostali zabrani przez miłego, siwego starszego jegomościa z dłuższymi włosami z tyłu, ubranego w kowbojską koszulę w szkocką kratę, który jechał do Santa Barbara na leczenie onkologiczne. Tylne siedzenie jego samochodu zajmował olbrzymi, łagodny owczarek niemiecki. Tabor, która zdawała się zawsze dobrze dogadywać z psami, najzwyczajniej w świecie zasnęła i przespała całą drogę. Podróż okazała się spokojna – prosta droga stojedynką aż do samego Santa Barbara. Gdy wysiedli przy nadbrzeżnym łuku autostrady ściśle oplatającej Pacyfik, Michael dostrzegł w oddali połyskujące wody zatoczki, w której roilo się od surferów. Ku brzegowi biegły nachodzące na siebie fale, a oceaniczna bryza niosła ze sobą zapach ciepłego kreozotu i soli.

– Chodź, Tabor – powiedział Michael, ruszając prosto w stronę plaży. – Chcę ci pokazać ocean.

Gdy zbliżyli się do krawędzi wody, Tabor wyglądała na wniebowziętą. Jej błyszczące oczy były szeroko otwarte, a nosek drżał, gdy napawała się wszystkimi widokami i zapachami: uderzającymi o brzeg falami, sznurem ptaków nad spienioną wodą, słonym morskim powietrzem, błękitnym przestworem oceanu. Gdy tylko Michael postawił ją na piasku, przycupnęła i zamoczyła łapki w morskiej pianie. W ogóle nie bała się ryczących fal ani wody chlupoczącej u jej łap.

– Tabor, jesteś taka dziwna – poinformował ją, szeroko się uśmiechając. – Koty podobno nie lubią zabaw w wodzie.

Zauważyła stado mew lądujących wzdłuż brzegu. Przycupnęła z rozedrganymi wąsami i wbiła w nie wzrok, kołysząc się w przód i w tył jak gotowy do skoku drapieżca. Spędziła dobre pół godziny, ganiając za mewami, i wróciła cała w piasku i wodzie morskiej, tak brudna, że Michael zabrał ją na kąpiel do miejscowego salonu urody dla zwierzaków.

Zostali w Santa Barbara kilka dni i spotkali się z paroma bezdomnymi przyjaciółmi Michaela, którzy nie mogli uwierzyć, że podróżuje z kotem. Tabor zrobiła furorę na ulicach miasta, jeżdżąc na ramieniu Michaela i witając się z ludźmi za każdym razem, gdy on siadał na chodniku i żebrał.

Jednak Michael chciał ruszyć dalej, dlatego też złapali okazję do Ventury, spokojnej miejscowości rozciągającej się na wschód od oceanu aż do nadbrzeżnego pasma górskiego. Michael ruszył w stronę swojego ulubionego obozowiska w odludnym wąwozie pod akacjami, tuż przy autostradzie, choć z dala od samochodów. Zakątek był również niewidoczny z plaży, ale znajdował się blisko centrum miasta. Michael stwierdził z ulgą, że od zeszłej zimy nic się tu nie zmieniło, co oznaczało, że nikt inny nie odkrył tej kryjówki. I chciał, żeby tak zostało, więc ognisko również rozpałił w niewidocznym miejscu. Musiał wchodzić i wychodzić niezauważony przez okolicznych trampów, którzy mogli go pobić, i miejscowych, skorych do wezwania policji, nawet jeśli nie robił nic złego. Nie zapomniał słów gliniarza, który wlepił mu mandat za włóczęgostwo: „Co z oczu, to z serca”.



Gdy już znaleźli się pod akacjami, Michael z miejsca zabrał się do budowania ich małego domku na plaży. Sklecił szalasy z wyrzuconego na brzeg drewna: zniszczonych kawałków dykty, rozszczępionych gałęzi i plastikowych szczątków rozbitych łodzi. Szalasy nauczył się budować nad rzeką Winchuck w Brookings w Oregonie, która wyrzucała na brzeg mnóstwo drewna. Okazało się to niezbędną umiejętnością, ponieważ ocean był jak wielki tunel powietrzny i potrzebowali osłony przed

naprawdę zimnym wiatrem. Niemniej jednak nawet najlepszy szafas wyglądał tak, jakby go zbudował jakiś rozbitek.

Tego pierwszego dnia na plaży Tabor nie mogła się nacieszyć swoim nowym terytorium – całymi godzinami leżała na grzbiecie, przewracając się radośnie z boku na bok. Wspięła się na kolana Michaela z gulgoczącym mručeniem i usiadła na podwiniętych przednich łapkach jak kura na grzędzie. Głaszcząc kotkę po główce, Michael ułożył jej miękką, aksamitną sierść w kociego irokeza, a ona mruzczała z zadowolenia. W ostatnich promieniach znikającego za horyzontem słońca Michael doznał uczucia bliskiego szczęściu.



Zwykle wstawali przed wschodem słońca, budzeni gruchaniem turkawek. Nocą spali wtuleni w siebie w śpiworze pod stertą wyrzuconego na brzeg drewna. W dzień Michael spędzał czas na słuchaniu programów talk-show w radiu Los Angeles, pisząc w swoich pogniecionych notesach i czytając podniszczone książki w miękkich okładkach, które poznajdował na trawnikach między innymi porzuconymi rzeczami. Oprócz powieści Steinbecka lubił amerykańskie klasyki i książki o historii Stanów.

Podczas gdy on czytał albo gryzmołił w notatnikach, Tabor zajmowała się sobą, często zasiadając na niskich gałęziach drzewa, tuż nad głową Michaela, albo bawiąc się samotnie obok niego. Nabrała niezłej wprawy w robieniu sobie zabawek z liści, piórek i korków od wina, które Michael wyszukiwał dla niej na plaży. Kotka zachowywała się tak, jakby wszystkie te tereny należały do niej; całymi godzinami siedziała ze skrzyżowanymi przednimi łapami, wpatrując się w morze niczym lwica obejmująca wzrokiem swoje dzikie i nieskończone królestwo. Nigdy nie oddalała się zbyt od Michaela, ale i tak zawsze miał ją na oku, gdy boksowała się z ważkami albo tropiła miniaturowe jaszczurki i kraby.

Popołudniami, gdy srebrzysto-zielona pływająca pustoszła, Michael spacerował plażą z Tabor na smyczy, szukając jeżowców, muszelek i drewna na opał. Był to prosty, podnoszący na duchu rytuał, który oddalał od niego widmo depresji, ponieważ ta zawsze czaiła się za rogiem, choć nigdy jakoś nie zdołała opanować jego umysłu.

Pewnego dnia, gdy próbował przypiąć jej smycz, Tabor wywinęła mu się z rąk i uciekła. Z bezpiecznej odległości kilku jardów spojrzała na Michaela figlarnie przez kocie ramię, kwiląc. Poczekala, aż się do niej zbliży, i zaczęła znowu uciekać. Michael biegł za nią z lekkim uśmiechem, potykając się i mrużąc do niej: „Och, Tabor... wracaj”.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak dobrze bawił się bez alkoholu. Gdyby ktoś go wtedy zobaczył, bez wątplenia stwierdziłby, że ten bezdomny brodac z uganianym się po plaży za kotem postradał zmysły.

Gdy kotka się zmęczyła, wskoczyła mu na ramię, oczekując, że zanieś ją do domu.

Kilka razy po przebudzeniu Michael zastawał Tabor bawiącą się w spienionych falach przy plaży. Wtedy gwizdał na nią, a ona przybiegała z powrotem. Ale pewnego ranka, gdy się od niej odwrócił, by rozpalić ognisko i zrobić sobie kawy, Tabor zniknęła. Nie miała pojęcia, że jej małe przechadzki po dziczy mogą skończyć się dla niej nagłą śmiercią w paszczy rysia albo kojota. Michael szukał jej wzdłuż brzegu, wypatrując w piasku śladów jej łapek i rozpaczliwie wołając jej imię. Kiedy już zaczynał panikować, usłyszał skrzeczenie mew i przeciągłe „miauuuu” w oddali. Kotka zapuściła się jeszcze bardziej w głąb plaży, tropiąc mewy.

Przyczaiła się, machając ogonkiem, i podkrađła do nieświadomego niebezpieczeństwa wielkiego ptaka na tyłach stada. Michael spanikował, ponieważ wiedział, że mewy potrafią być agresywne i zaatakować z powietrza koty albo małe psy, kłując je w głowy haczykowatymi dziobami.

Puścił się pędem w kierunku kotki, wołając: „Tabor, co ty wyczyniasz?! Tabor! Niiieee!” Kotka rozumiała znaczenie słowa „nie”, ale tylko na niego spojrzała i dalej przedzierała się przez piasek w kierunku ogromnej mewy, która odfrunęła wraz z resztą stada.

– Tabor, zostaw je w spokoju. I bez twojego nękania mają w życiu ciężko! – besztął kotkę, gdy wreszcie do niej przypadł i chwycił ją w ramiona. Wydała z siebie ciche, gulgoczące burknięcie, zła, że zepsuł jej zasadzkę, a gdy przypinał Tabor smycz, syknęła z wściekłości. Jeszcze nigdy na niego nie syknęła, ale musiała być na smyczy, żeby mógł ją chronić przed drapieżnikami, porwaniem przez fale i milionem innych rzeczy. Gdy uczył ją chodzenia na smyczy, odmawiała współpracy, kładąc się na ziemi. Nie chciała się w ogóle ruszyć, o wskakiwaniu na ramię nie wspominając. Ale znalazła pociechę w ich rytualnych spacerach wzdłuż plaży i teraz bez szemrania poszła za Michaeliem do obozowiska.

Jednak gdy dotarli do swojego domku pod akacjami, odwróciła się od niego obrażona, bijąc ogonem. Gdy próbował ją pogłaskać, posłała mu tylko pełne odrazy spojrzenie i odskoczyła z cichym, marudnym pomrukiem. Ale w porze obiadowej, kiedy podał jej ulubionego kurczaka Fancy Feast, zagrzebała głowę w misce, zapominając o złości.

Michael lubił myśleć, że Tabor umie odróżniać dobro od zła, choć to nie przeszkadzało jej robić tego, czego nie powinna. Jednocześnie uwielbiał tę jej psotliwość, która tylko dodawała Tabor uroku. Niekiedy buntowała się i uciekała w celu przeprowadzenia jakiejś tajnej misji. Starał się niepostrzeżenie ją śledzić, ale zazwyczaj wyczuwała na sobie jego spojrzenie i odwracała się, miaucząc śpiewnie, tak jak robią kocięta przyzywające matkę.

Pewnego późnego ranka poszedł za nią na parking przy plaży. Zdołał nie stracić jej z oczu, dopóki nie wślizgnęła się do jakiegoś otwartego kampera. Droga do samochodu zabrała mu kilka minut, a gdy zajrzał do środka, w kłębach dymu marihuany zobaczył parę surferów na haju. Spojrzał na niego przystojny młodzieniec w mokrych obciętych džinsach, o kościach policzkowych jak nadbrzeżne klify i rozczochranej, wypłowiałej od słońca blond czuprynie.

– Moja kotka chyba tu wskoczyła – powiedział Michael.

– Chyba ma pan rację – odparł z uśmiechem surfer, wskazując na siedzącą za jego plecami Tabor. Leżała rozparta kołami do góry na stercie pianek do nurkowania. Usłyszawszy głos Michaela, odwróciła leniwie głowę.

– Relaksuje się – dodał młodzieniec. – Może pan wejdzie? Kotka jest chyba za bardzo upalona, żeby się ruszyć.

– Mam nadzieję, że jednak nie – odparł Michael, wchodząc do wypełnionego niebieskawą mgiełką vana. Pewnego razu w Portland wściekł się na kilkoro ulicznych dzieciaków, które dla zabawy dmuchnęły Tabor w pyszczek dymem z marihuany.

– Bierzcie sobie wszystkie narkotyki świata – krzyknął na nich – ale nigdy nie odurzajcie mojego kota. Muszę radzić sobie z upartą dorosłą kotką; nie chcę się użerać ze zjaraną dorosłą kotką.

– To prawdziwa kocica – powiedział surfer, zaciągając się skrętem. – Weszła tu, wdrapała mi się na klatkę piersiową i zaczęła lizać mnie po oku. Mówię jej: o rany, mała, nie jesteś moją dziewczyną, ja tu się tylko relaksuję.

Michael zaśmiał się, podnosząc swoją córkę marnotrawną.

– Ona tak ma. Raz, gdy zebrałem, podszedł do mnie policjant ze słowami: „Tu nie wolno zebrać”. A ona podbiegła do niego i zaczęła wspinać mu się po nodze, bo jest przyzwyczajana do śmigania po mojej i myśli, że wolno jej to robić z każdą napotkaną nogą. Mówię jej: „Tabor, nie, to pan policjant”. Musiałem ją z niego ściągać. Przeprosiłem go, a on na to: „Tak, to chyba nie najlepszy pomysł”. Było w nim coś, co jej się spodobało. To się jej zdarza.

W drodze powrotnej do obozowiska Michael zauważył wystający z kosza pognieciony egzemplarz „Los Angeles Timesa”. Na pierwszej stronie zobaczył artykuł o byłym policjancie z LA, który w mściwym amoku zaczął strzelać do ludzi w przykrytych śniegiem lasach Big Bear. Wciąż przebywał na wolności gdzieś w górach San Bernardino, które na szczęście były oddalone o trzy godziny drogi od Michaela i Tabor.

Poszukiwani seryjni mordercy byli ostatnim z jego problemów. Największe niebezpieczeństwo groziło im nie ze strony policji, narkomanów czy miejscowych trampów, ale mieszkających tu kojotów. Michael słyszał je w nocy i bał się, że wcześniej czy później spróbują dobrać się do Tabor. Spędził już kilka strasznych nocy na czuwaniu, zawinięty w śpiwór z kotką w ramionach, nasłuchując każdego

dźwięku. Opracował nawet trasę ucieczki. Ułamał gałęzie przy pniu jednego z drzew, tworząc oparcia na dłonie i stopy, by w razie wizyty kojotów móc szybko chwycić kotkę, wepchnąć ją do transportera i wspiąć się na drzewo. Przeciwiczyli to nawet kilka razy, jak podczas próbnego alarmu przeciwpożarowego.

Michael starał się zachować czujność, ale ciągle pilnowanie Tabor i uczenie jej o czyhających na nią niebezpieczeństwach sprawiało, że stał się nerwowy. By ukoić niepokój, zaczął więcej pić. Oprócz tego martwiła go para zamieszkujących sąsiednie drzewo myszołowów rdzawosternych. Przelatywały jakieś dziesięć stóp nad ich głowami, polując na myszy, ale pewnego wieczoru widział, jak zabijają wiewiórkę, którą zaciągnęły do gniazda.

Kilka razy dziennie Michael mówił: „Patrz, Tabor, patrz”, wskazując w górę, a kotka odchyłała swoją słodką główkę, by spojrzeć w niebo. Nauczył ją nawet przychodzić, gdy zagwizdał, nazywając to „gwizdnięciem Tabor”. „W pewnym sensie”, pomyślał, „to jak posiadanie dziecka: karmisz je, chronisz przed złem, starasz się wyprowadzić na ludzi i jesteś dobrej myśli co do jego przyszłości”.

Uczenie zwierząt zawsze przychodziło Michaelowi z łatwością, zupełnie jakby miał to we krwi. Gdy mieszkali z Mercerem w czynszówce w St. Louis, tresował wystawowe bulmastify właściciela.

Pewnego wieczoru, siedząc pod szalasek, Michael zauważył samotnego kojota na skraju przydrożnej skarpy; jego srebrzysta sierść połyskiwała w świetle księżyca. Kilka dni później, gdy przechadzali się wieczorem po plaży, znikąd pojawił się następny i zbliżył się do nich ze świecącymi w półmroku skośnymi, bursztynowymi oczami. Dołączyły do niego kolejne dwa, okrążając obozowisko. Michael w jednej chwili chwycił Tabor, wepchnął ją do zapinanego na suwak transportera, sięgnął po kilka puszek karmy i wspiął się na drzewo. Gdy był już na bezpiecznej wysokości, rzucił jedną z puszek w największego kojota, który wyglądał na samca alfa, trafiając go prosto w pysk. Kojot zaskowytał i zawarczał, ale się nie poruszył. Michael czuł się źle z tego powodu, ponieważ kojoty próbowały tylko przetrwać we wrogim świecie, ale on z kolei bez względu na wszystko musiał chronić Tabor.

Po pewnym czasie kojoty odeszły. Gdy się upewnił, że już ich nie ma, zszedł z drzewa, narzucił plecak, chwycił transporter i również odszedł. Tej nocy rozłożyli z Tabor obóz przy wejściu do Bank of America w centrum miasta. Jednak Michael wciąż był niespokojny i bezustannie myślał: „Doznałem urazu psychicznego ze strony dzikich psów. Już nigdy nie będę w stanie zasnąć”.

Rano kupił w PetSmart twardy plastikowy transporter, który miał być dla Tabor lepszą ochroną przed dzikimi zwierzętami. Oprócz tego sprawił jej dłuższą, sześciometrową smycz, dzięki której mogła wszędzie swobodnie chodzić, wciąż będąc pod kontrolą Michaela. Jednak pomimo tego ochronnego sprzętu bezdomny i tak zdecydował, że przynajmniej na kilka dni przeniosą się do Thousand Oaks, innego miasteczka w hrabstwie Ventura, by kojoty straciły trop. Thousand Oaks zaopatrzone było w centrum handlowe oraz klub seniora i miało mnóstwo przechodniów, więc Michael liczył, że uda mu się wyżebrać wystarczająco dużo, by przeżyć. Naprzeciwko centrum handlowego znajdował się również szeroki pas trawy usiany palmami, gdzie mogli spędzać noce i gdzie Michael mógł pić alkohol, niezaczepiany przez policję czy kogokolwiek innego.

Znalazłszy się w Thousand Oaks, szybko ustalił porządek dnia. Każdego ranka przed szóstą opuszczał z Tabor na ramieniu trawiasty pagórek okolony palmami i szedł na główną ulicę miasteczka na kawę. Na widok Tabor ludzie zatrzymywali się, wysiadali z samochodów, by ją pogłaskać, i dawali mu pieniądze. Wszyscy zdawali się mieć te same pytania: „Skąd pan ją ma? Jak ją pan nauczył, żeby siedziała panu na plecaku? Jak to się stało, że jest pan bezdomny?”.

Po wypiciu kawy sadzał sobie Tabor na ramieniu, szedł do centrum handlowego i siadał nieopodal klubu seniora. Wymował karton z prośbą o drobne i niemal codziennie ktoś przynosił mu torbę wypchaną kocią karmą albo kawiarnianą kartę podarunkową. Pewien jowialny starszy wielbiciel kotów kupił mu nawet nowe ubrania i zaprosił do siebie, by mógł wziąć prysznic. W pierwszej chwili Michael pomyślał, że wizyta w domu jakiegoś faceta, żeby się umyć, to nieco dziwny pomysł, ale okazało się, że mężczyzna jest wdowcem mieszkającym z trzema przygarniętymi kotami i po prostu chce pomóc bliźniemu.

Trzeciego dnia koło południa przykuśtykała do nich staruszka o lasce. Michael chciał podbiec

i jej pomóc, ale pomyślał, że mogłaby poczuć się urażona.

Kobieta pochyliła się, by pogłaskać Tabor.

– Ma pan taką piękną kotkę. Jak jej na imię?

– Tabor.

Starsza pani wyglądała na zdziwioną, a jej oczy napelniły się łzami.

– Czemu pani płacze? – zapytał Michael.

– Ja też się tak nazywam. Linda Tabor – powiedziała.

„O kurczę, Kobieta-Kot”, pomyślał.

– Przyjechaliście niedawno?

– Od czterech czy pięciu lat spędzam w Venturze zimą.

– Jak to się stało, że nigdy wcześniej pana nie zauważyłam?

– Wcześniej nie miałem kota.

– Ach. – Linda oparła się na lasce, rozważając jego słowa. – Zaraz wrócę. – Powłócząc nogami, poszła do samochodu, a po kilku minutach wróciła z kilkoma banknotami. – Czy miałby pan ochotę skosztować mojej pieczeni? Zайдę tu do was jutro. I przyniosę też trochę jedzenia dla koteczki.

Michaela wzruszyła ta nieoczekiwana hojność i oczy zaszyły mu mgłą. Próbował coś powiedzieć, ale jedynym, co mu przyszło do głowy, było „dziękuję”.

Linda opowiedziała mu swoją historię. Czterdzieści lat wcześniej, po nagłej śmierci męża, wpadła w alkoholizm. Miała pod opieką dzieci i starszą matkę, ale przestała się o nie troszczyć. Często była zbyt pijana, by sięgnąć za kółkiem, a nawet wyjść z łóżka. Wiedziała, że traci kontrolę na własnym życiu, więc postanowiła zatelefonować do miejscowego oddziału AA, którego numer znalazła w książce telefonicznej. Gdy tam zadzwoniła, ktoś poprosił ją o adres i niedługo potem zjawiała się u niej kobieta o imieniu Pat. Zabrała Lindę na spotkanie Anonimowych Alkoholików, spędziła z nią dzień i odwiozła do domu. Linda nigdy więcej nie sięgnęła po alkohol ani nie spotkała Pat, którą nazwała „najważniejszym nieznanym w jej życiu”. Od tamtej pory czeka, by spłacić swój dług.

Przez następne tygodnie Michael co kilka dni spotykał się z Lindą przed centrum handlowym, a ta przynosiła mu różnego rodzaju pyszne pieczenie domowej roboty. Tabor dostała od niej pieczonego kurczaka, kocią karmę i inne smakołyki, a Michael ubrania i trochę pieniędzy. Bardzo chciał wydać całą dodatkową gotówkę na alkohol, ale ograniczył się do sześciopaków piwa od czasu do czasu, ponieważ bezustannie się martwił, że ktoś zobaczy go pijanego i będzie próbował odebrać mu Tabor.

Pewnego dnia zauważył, że witryny sklepowe wzdłuż pasa trawy, na którym spał, są ozdobione wielkimi czerwonymi sercami z tektury, papierowymi różami i metalicznymi balonami. Był luty i zbliżały się walentynki. Poczul falę wzruszenia, zasmucony obrazem z dzieciństwa, który nagle stanął mu przed oczami. Jego nauczycielka z drugiej klasy, siostra Maureen Teresa, dała mu kolorowy papier i kredki, żeby zrobił kartki walentynkowe dla innych dzieci, bo wiedziała, że Michael pochodzi z biednej rodziny, której nie stać na kupno gotowych. Ale gdy pokazał papier i kredki matce, zabrała mu je, położyła na lodówce i powiedziała:

– Nie będziesz robił dla nikogo żadnych kart.

Znowu był zawstydzonym dzieckiem, które jako jedyne nie miało co podarować kolegom i koleżankom z klasy.

Siostra Maureen Teresa umarła kilka lat później. Michael ubrał się elegancko na pogrzeb, ale matka nie pozwoliła mu na niego pójść. Te smutne wspomnienia pogłębiło inne: mniej więcej w tym samym czasie, gdy umarła siostra Maureen Teresa, jeden z jego kolegów z klasy był molestowany przez księdza i powiesił się w domu swoich rodziców.

Michael zaczął rozmyślać o tym, że wyjątkowo druzgocące wspomnienia towarzyszą człowiekowi do końca życia i nigdy się nie zacierają.

Tego popołudnia Linda pojawiła się z kartą walentynkową, na której napisała wiersz. Podarowała ją Michaelowi razem z pieczenią. Otworzył kartę i przeczytał:

Mój nowy przyjaciel Michael sprawia, że czuję radość.

Przemierzył wiele mil ze swoją kotką Tabor.

Jest jej dobrze i bezpiecznie, bo jest kochana szczerze

Przez swojego tatę, Michaela, i anioły w niebie.

Michael był tak wzruszony tymi słowami, że raz jeszcze nie wiedział, co powiedzieć.

– Dziękuję – wyszeptał, spoglądając na Lindę ze łzami w swoich niebieskich oczach. Wstał i ją uściskał.

To było szczęśliwe wspomnienie, które na zawsze pozostanie w jego sercu.



Rozdział piętnasty

Aleja gwiazd

W pewne wyjątkowo ciepłe sobotnie popołudnie w marcu Ron zdołał wykrzesać z siebie trochę energii, by popracować w ogrodzie. Po drugiej stronie ulicy Jack, z pomocą kumpli-neonazistów, ładował swoje sprzęty do wozu meblowego. Wszyscy trzej kompani Jacka byli bardzo krótko ostrzyżeni, a z tyłu nawet wygoleni, co stawiało ich mniej więcej w jednym szeregu z Hitlerjugend, a jeden z nich miał na sobie podkoszulek z flagą konfederatów i wojskowe buty. Gdy Jack zauważył Rona, stanął na krawężniku z wypiętą po koguciemu piersią i zaczął obrzucać go obelgami.

Ron klęczał, wrywając chwasty przy dźwiękach *Rubber Soul* Beatlesów płynących z otwartej kuchni. Zagotowało się w nim, ale nic nie powiedział i ignorował wszystkie te homofobiczne frazesy, podejrzewając, że Jack szuka zwady, by popisać się przed swoimi bandyckimi kolegami. Ale kilka minut później wóz meblowy, zgrzytając hamulcami, zatrzymał się przy domu Rona, a Jack wystawił głowę przez szybę.

– Pewnie się cieszysz, że się wyprowadzam, cioto. Lepiej przestań rozpowiadać o mnie kłamstwa... ty tłusta plotkaro.

Ron podniósł na niego wzrok.

– Słuchaj – zaczął oschle – usłyszałem twoją wersję i w nią nie wierzę. Ale nie chcę się już z tobą kłócić.

– Mów dalej, suko, to i Creto zniknie. Pewnego dnia wrócisz do domu, a jego nie będzie.

Po tych słowach ciężarówka odjechała na pełnym gazie, taranując narożny znak drogowy.

Tej nocy Rona obudził przeraźliwy łomot. Wyrzebał się z łóżka i poszedł do salonu. Na całej podłodze połyskiwały kawałki szkła, a pośrodku nich leżała cegła, którą wybito szybę. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że ktoś napisał sprayem „cholerna ciota” na ścianie frontowej jego domu, a wszystkie opony w jego samochodzie zostały pocięte. Zadzwoił po policję, która odwiozła jego, Steve’a i koty do przyjaciół, u których dla bezpieczeństwa spędzili noc.

Po powrocie trzymali Creta i Jima w zamknięciu. Gdy Ron szedł do pracy, a Steve’a nie było w domu, zabierał zwierzaki ze sobą. Każdej nocy spał z telefonem komórkowym na poduszce i kijem bejsbolowym przy łóżku. Był tak roztrzęsiony z powodu ostatnich ataków, że stawał się coraz bardziej znerwicowany. Rosnący niepokój sprawił, że zaczął myśleć o zmianie domu, a nawet o wyprowadzce z Portland. Jednak nie mógł wyjechać, nie dowiedziawszy się, co się stało z Matą.

Po tym akcie wandalizmu i przestępstwie na tle homofobii jego przyjaciel Miguel przekonał Rona przez telefon, by spędził zbliżający się długi weekend wielkanocny u niego i jego partnera na Sauvie Island. Ron mógłby zabrać ze sobą Creta; zmiana otoczenia zrobiłaby dobrze im obu.

Położona niespełna pół godziny drogi od Portland Sauvie Island była zupełnie innym światem – światem porośniętych trzciną klifów oraz krętych polnych dróg otoczonych sadami jabłkowymi i brzoskwiowymi, polami róż, kukurydzy i dyni. George i Miguel mieszkali na starej farmie przy trawiastej skarpie z widokiem na rzekę Kolumbię. Ich odrapany dom z cedrowym gontem, w którym dawniej mieściła się wiejska gospoda, otaczały bujne, faliste pastwiska. Mieli małą winnicę, uprawiali własne owoce i warzywa, a zamiast psów czy kotów ich pupilami były kury i indyki – i wszystkie miały imiona.

Ron pojawił się u nich z Cretem w koszyku w Wielki Piątek po południu. Za domem znalazł Miguela, który właśnie karmił kukurydzą i ziarnem swoje stado pięćdziesięciu kur i pięciu indyczek – „moje dziewczyny”, jak je nazywał. Niewielkie partie ich pięknych błękitnych jaj sprzedawał miejscowym kupcom z targu rolnego. Ron poznał tego skromnego trzydziestoparolatka o ciemnych, migdałowych oczach i gładkiej, śniadej cerze dwanaście lat wcześniej, właśnie tu, na wyspie. Jego

partner, George, elegancki, srebrnowłosy sześćdziesięciolatek, był właścicielem winnicy i handlarzem win, a swoje limitowane produkty sprzedawał drożym hotelom i restauracjom na Zachodnim Wybrzeżu.

George'a akurat nie było, więc Ron i Miguel zostawili śpiącego Creta w domu i wybrali się na długi spacer po usłanej rdzewiejącymi szczątkami łodzi plaży Warrior Point, połyskującej piaskiem skrawka nabrzeża. Idąc w stronę małej białej latarni morskiej Warrior Rock na północnym cyplu wyspy, natknęli się na małą gospodę, gdzie serwowano lunch. Zająli stolik przy oknie i zjedli rybę z frytkami – danie to przypomniało Ronowi letnie wakacje, które jako dziecko spędzał z dziadkiem w latach siedemdziesiątych, gdy była tu tylko zarośnięta głusza z kilkoma farmami i łodziami rybackimi. Puszczali na plaży latawce, a potem zajadali się owocami morza z budki. Ron miał w zwyczaju karmić swoimi frytkami mewy.

Wrócili do domu, nim zapadł zmrok. Tuż przed nimi zjawił się George i we trzech zasiedli w przytulnym salonie na drugim piętrze zaopatrzonym w szerokie, przeszkolone drzwi na taras. Przeniósłszy się na zewnątrz, słyszeli nawoływania ptaków morskich i szum drzew, widzieli pasące się w trawiastych zaroślach sarny. To było jak mały raj na ziemi.

George otworzył kilka butelek wina na specjalne okazje, które zaserwował z przekąską w postaci talerza serów z kawałkami melona i truskawkami. Pomimo ciszy i spokoju, które go otaczały, Ron martwił się, że jego pozostawiony samemu sobie dom może zostać zdewastowany i zrabowany – Steve wyjechał na weekend do siostry, zabierając ze sobą Jima. Nie mógł spokojnie usiedzieć w miejscu i wciąż zerkał na telefon. Creto rozsiadł się na sofie obok niego, zaprzęgnięty w szelki ze smyczą, na wypadek gdyby Ron musiał powstrzymać jego zapędy względem ptactwa Miguela.

Miguel zauważył, że Ron ma wyblakłe oczy, a pod nimi ciemne obwódki, i starał się jakoś uspokoić jego obawy.

– Nie wiem, co robić – powiedział spięty i rozkojarzony Ron, spoglądając w stronę okien. – Jak w ogóle radzić sobie z psychicznie chorym kryminalistą? Czuję się zaszczuty we własnym domu, z cegłami latającymi mi nad głową. Ale najbardziej przerażają mnie jego pogróżki pod adresem Creta.

– Robisz jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji możesz zrobić: trzymasz Creta przy sobie – powiedział Miguel, dolewając im wina. – Jacka już nie ma.

– Wiesz, że możesz zostać u nas, jak długo zechcesz – dodał George.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi, a gdy się odwrócili, po drugiej stronie szyby zobaczyli gdaczącą kurę, która stuknęła w nią dziobem.

– To Lucy. Chce wejść – wyjaśnił George i wstał, by rozsunąć drzwi przed pierzastą, opalizującą czarną kwoczką. – Każdego wieczoru o zachodzie słońca wchodzi po schodkach na taras i puka w szybę.

Tuż za Lucy do środka wskoczyła mniejsza, rdzawoczerwona kurka z natapirowaną fryzurą i w pierzastych dzwonach.

– A ten mały rudzielec to Helena. Jest niewidoma. Najciekawsze, że pozostałe wiedzą o tym i pilnują jej interesów. Wszystkie upewniają się, że dostaje swoją porcję karmy. Prowadzą ją jak psy przewodniki i kłębią się wokół niej opiekuńczo.

Helena odpowiedziała coś George'owi swoim śpiewnym głosikiem, gdy ten odezwał się do niej, chwając ją za wielką urodę. Najwidoczniej chciała, żeby wziąć ją na ręce i wygłaskać, więc George podniósł małą ślepa kurkę i przytulił mocno do piersi, po czym znowu klapnął na fotel.

– Niektóre z naszych dziewczyn zostały uratowane z fermy drobiu – mówił, karmiąc Helenę kawałkami melona. – I co ciekawe, z reguły to właśnie one okazują się najbardziej przyjacielskie i kochające.

Z wciąż przypiętą do szelek smyczą, Creto siedział grzecznie na sofie, przyglądając się tym dziwnym gdaczącym stworom. Lucy przekrzywiła swoją lśniąca czarna główkę, rzucając kotu zagadkowe spojrzenie, po czym udała się wraz z Miguelem po kolejną butelkę wina.

Gdy wrócili, podeszła bliżej do sofy, pogdakując i zwracając przejrzyste, miedziane oczy ku Ronowi i jego kocurkowi. Creto nigdy w życiu nie widział tak ogromnego ptaka, więc nieco onieśmielony czmychnął na drugi koniec sofy, napinając smycz. Miguel podszedł do niego i podniósł przerażonego kociaka, tuląc go w ramionach.

– Od zeszłego roku, gdy został kopnięty w pyszczek, boi się dosłownie wszystkiego – wyjaśnił Ron.

– To sprawka tego czubka z naprzeciwka?

– Jestem prawie pewien, że tak – potwierdził Ron. – Boją się go wszystkie dzieciaki i koty z naszej ulicy. Pewnego dnia rozmawiałem z moją sąsiadką Ann o wronim tacie, takim staruszką, który karmi krakersami wrony. Chodzą za nim jak za Szczurołapem z Hameln. Od słowa do słowa zaczęliśmy rozmawiać o ludziach, którzy lubią zwierzęta, i o tych, którzy za nimi nie przepadają. Dwójka dzieciaków, które przyjechały na rowerach i głośko kłamały kota Ann, Gordona, wtrąciła się do naszej dyskusji: „Ten pan z brodą i kolczykami na twarzy z naprzeciwka nienawidzi kotów i jest dla nich bardzo podły”. Ann zapytała, dlaczego tak mówią. A dzieciaki na to: „Bo widzieliśmy, jak przeganiał Gordona z podwórka i krzyczał, żeby się wynosił”.

– Biedny Creto – westchnął Miguel. – Nienawidzę ludzi, którzy krzywdzą zwierzęta.

Głaszcząc siedzącą na jego kolanach ślepą kurkę, George uniósł nagle wzrok.

– Może już czas się wyprowadzić z tego miasta.

– Po tym wszystkim zaczynam mieć dość Portland. Ale nie sądzę, żeby ten świr jeszcze kiedyś uprzykrzał mi życie. Przeniósł się do innej narkomańskiej dziury i niech już tam siedzi.

Ron schylił się, by pogłaskać Lucy, która wciąż stała przy sofie. Wskoczyła mu na rękę, więc ją podniósł. Napuszyła piórka i umościła się na jego kolanach, jakby wyczuwała, że coś go dręczy, i w ten sposób próbowała go pocieszyć. Trzymając ją w ramionach, czuł w dłoni bicie jej maleńkiego serca. Jej ciepło i ciche pogdakiwanie były tak kojące, że naprawdę zaczął myśleć o przeprowadzce na wybrzeże. Wyobraził sobie siebie w małym domku rybackim z różnym krzewem u wejścia, duży ogród dla Creta i kury raz po raz zaglądale do kuchni. Siedząc tak w kojącej ciszy i z migotającymi za oknem gwiazdami, łatwo było zapomnieć o Portland i zmartwieniach, które tam zostawił.

Jednak Mata nie znikala z myśli Rona – a dopóki się nie odnajdzie, wiedział, że musi zostać w domu, który znała.



Rozdział szesnasty

Yosemite: spacer po dzikiej stronie mocy

Pod koniec kwietnia Stinson, stary znajomy z Portland Michaela i Tabor, przyjechał do Ventury, by ich zgarnąć i wrócić razem do Portland na lato. Pojawił się ze swoją dziewczyną z Missisipi, ładniutką, spokojną wróżką o ciemnych włosach i imieniu Madison, która podróżowała z gitarą i karmelkowym mieszańcem pitbulla, niejaki Bobby. Ten dorównujący łagodnością swojej pani piesek od razu zaczął się świetnie dogadywać z Tabor. Stinson przywiózł Madison i Bobby'ego wprost z głębokiego Południa.

Dzień przed ich zaplanowanym przyjazdem Michael zwinął obóz i zaszedł do Lindy Tabor w Thousand Oaks, by się pożegnać. Zapytała, czy może jeszcze raz przytulić kotkę, i na odchodne obiecali sobie, że pozostaną w kontakcie. Potem Michael i Tabor wrócili autostopem do Ventury, by zaczekać na Stinsona i spółkę w swoim dawnym obozowisku pod akacjami.

Michael i jego przyjaciele-wędrowcy rozłączali się na całe miesiące, by następnie spotkać się w jakimś dzikim zakątku Kalifornii lub w piaszczystych zaułkach Portland. Stinson, podobnie jak Michael, był niespokojnym duchem. Ten tułacz i obibok służył kiedyś w marynarce, dzięki czemu uzmysłowił sobie, że nie przepada za regulaminem i wojskowym drylem. Cenił sobie wolność, nawet jeśli oznaczało to klepanie biedy. Nie widział sensu w harowaniu po godzinach tylko po to, by móc kupić sobie rzeczy, których nie potrzebował.

Gdy Stinson i Madison pojawili się w plażowym obozie Michaela, powiedzieli mu, że przed powrotem na północ chcą odwiedzić Park Narodowy Yosemite, którym nie mogli przestać się zachwycać. Po wizycie w Yosemite chcieli jeszcze zobaczyć wulkan Mount Shasta.

– Mógłbyś pokazać Tabor świat – zachęcał Stinson Michaela, choć jego przyjaciel wielkiej zachęty nie potrzebował.

Sama Tabor była zachwycona ponownym spotkaniem ze Stinsonem. Powitała go bardzo entuzjastycznie i bezustannie wdrapywała mu się na kolana, mrużąc i ciągnąc go za brodę.

Po kilku dniach wspólnego imprezowania na plaży, słuchania muzyki i wymieniania się opowieściami z drogi Michael stwierdził, że on i Tabor rzeczywiście ruszą w trasę z przyjaciółmi. Pomyślał sobie, że skoro kotce tak bardzo podobało się na plaży, to góry też ją zachwyca.

I tak zaczęła się ich długa, powolna podróż wzdłuż wybrzeża, w której pierwszym przystankiem było San Luis Obispo, stare, romantyczne miasteczko misyjne na środkowym wybrzeżu, wciśnięte pomiędzy oceanem a krainą winnic. Tam odwiedzili pijalnię alkoholi, a Michael dostał kolejny mandat za zebranie na ulicy.

Następnego dnia wyruszyli wczesnym rano, by po czterech godzinach, w porze lunchu, być już w Parku Narodowym Yosemite. Rzeki wezbrały po majowej odwilży, a w parku zaroiło się od biwakowiczów. Bezdomni znaleźli cichy zakątek otoczony granitowymi skałami i olbrzymimi drzewami rosnącymi na krawędzi obozowiska, na wpół schowany za gęstwiną liści i zarośli, choć blisko drogi, przy której zaparkowali. Trzymając się szosy, mieli nadzieję, że unikną bliskiego spotkania trzeciego stopnia z dzikimi zwierzętami, takimi jak drapieżne koty czy niedźwiedzie.

Z popołudniowym słońcem grzejącym w plecy Michael zrzucił buty i oparł się o kamień. Tabor wyciągnęła się obok niego i zasnęła, a Bobby spoczął przy jego stopach.

Stinson uwiecznił całą trójkę na zdjęciu.

– Czy kiedy byłeś dzieckiem, ludzie mieli aparaty fotograficzne? – zapytał.

– Taak, w latach siedemdziesiątych były rozmiarów Rhode Island.

Grupka dziewcząt z sąsiedniego obozowiska nie mogła uwierzyć, że Michael i jego załoga

przywieźli do dziczy kota i że do tego kot i pitbull byli ze sobą w takiej komitywie. Michael tłumaczył sobie, że w otoczeniu tylu ludzi kotce nic tu nie groziło.

Następnego ranka z radością zapoznał Tabor ze strzelistymi sekwojami i sosnami cukrowymi; stwierdził, że skoro podobało jej się skakanie po gałęziach akacji w Venturze, to widząc (zapewne po raz pierwszy w życiu) tak ogromne drzewa, będzie wniebowzięta. Ale ona nawet ich nie zauważyła. Wylegiwała się na trawie, zażywając kąpiele słonecznych, obserwując otoczenie i ziewając, podczas gdy Stinson i Michael zawieszali hamaki. Kiedy już się z tym uporali, Tabor natychmiast wskoczyła na jeden z nich i rozłożyła się na samym środku, biorąc go w wyłączne posiadanie. Madison poszła z Bobbym na długi spacer, a panowie spędzili popołudnie z Tabor, odpoczywając w cieniu drzew. Ze swoich hamaków widzieli upstrzoną kamieniami wstęgę Merced River, rozciągającą się za nią arkadyjskie złociste łąki, a jeszcze dalej El Capitan i inne formacje skalne ponad Doliną Yosemite, wraz z sylwetkami skałkowców wspinających się i schodzących po stromych granitowych ścianach klifów.

Michael leżał w hamaku z Tabor na brzuchu, a jej smycz okręcił sobie wokół nadgarstka. Opowieści innych obozowiczów sprawiły, że dostał paranoi na punkcie kojotów, niedźwiedzi i pum, więc nie zamierzał ani na chwilę spuszczać kotki z oka.

Tabor wykręcała szyję, wpatrując się dziko w koronę jednego z drzew, i zaczęła cicho kłapać szczękami.

Między gałęziami sosny cukrowej przycupnęły dwa kruki i zwróciły lśniące czarne łebki w stronę Michaela i Tabor, kracząc, skrzecząc i nie odrywając od nich błyszczących, głębokich oczu.

– Nie ma mowy, żebym ci pozwolił wspiąć się na to drzewo – oznajmił kotce z uśmiechem. – Potrzebowałbym dźwigu, żeby cię z niego ściągnąć, a poza tym te ptaki raz-dwa sprządy ci tyłek.

Chyba go zrozumiała, bo westchnęła zrezygnowana i zwinęła się w kłębek na jego brzuchu. Jednym okiem czytał *Grona gniewu*, a drugim patrzył, jak główka powoli zsuwa się Tabor na łapy i kotka zasypia.

– A wiesz, że Indianie wierzą, że kruki to święte ptaki? Że potrafią zmieniać postać i są stwórcami wszystkiego, co żyje? – edukował Stinsona, który go nie słuchał.

Tabor obudziła się, by przemyć pyszczek, i co jakiś czas przerywała toaletę, chcąc poprzyglądać się Michaelowi swoimi głębokimi zielonozłotymi oczami. Wcisnęła główkę w książkę i zaczęła ciągnąć ząbkami kartki. Michael ją zignorował, więc lekko trzepnęła go łapką w twarz. Zaśmiał się i przeczytał jej fragment o głównym bohaterze powieści, Tomiem, który wraca autostopem z więzienia na rodzinną farmę.

– Widzisz, Tabor, on też musiał łapać okazję, zupełnie jak my. Pił whisky i kochał małe zwierzątka. Uratował żółwia przed rozjechaniem na ulicy.

Stinson znacząco uniósł brew.

– Czyżbyś zamieniał się w szaloną kociarę czytającą na głos swoim pupilom?

– Tabor rozumie treść, ale woli książki z obrazkami. – Michael czuł, jakby oboje z Tabor mieli swój sekretny język. Kotka zdawała się posiadać nadkocie zdolności odczytywania jego nastrojów i myśli. Czasami ją sprawdzał: wyobrażał ją sobie w jakiejś akcji – na przykład wskakującą mu na ramię – następnie patrzył jej w oczy, a ona robiła dokładnie to, o czym pomyślał.

– Może powinieneś założyć szkołę dla uzdolnionej kociarni – żartował Stinson.

– Koty nie chcą się uczyć, tylko bawić. Tabor ma bardzo złożoną osobowość i jest mądrzejsza od wielu ludzi, których poznałem.

– To jeszcze niewiele znaczy.

Michael zaznaczył liściami miejsce, w którym skończył czytać, i zamknął książkę, a jego uwagę przykuła grupka skałkowców opuszczających się na linie po ścianie góry za strumieniem. Kątem oka zauważył, że z lasu za ich plecami wydostaje się coś ciemnego.

Stinson patrzył dokładnie w to samo miejsce, gdy nagle poderwał się z hamaka.

– Za tobą jest niedźwiedź! Niedźwiedź! Wiej! – krzyknął.

Michael odwrócił się, a ujrawszy wychodzącego spokojnie spomiędzy sosen niedźwiedzia, chwycił Tabor i wepchnął ją do transportera. On i Stinson biegli już ile sił w nogach do samochodu, gdy

w stronę niedźwiedzia ruszył jeden z okolicznych biwakowiczów, potężny facet z krótko przystrzyżonymi włosami i podgardlem buldoga. Biegł jak wariat, wymachując rękami, wrzeszcząc i krzycząc. Niedźwiedź stanął jak wryty, po czym obrócił się na pięcie i pognął z powrotem w stronę kępy niskich, porośniętych jeżynami drzew.

– Co on robi? – zapytał Michael. – Próbuje złapać tego niedźwiedzia?

– To chyba sposób na pozbycie się go – odrzekł Stinson, odprowadzając wzrokiem biegnącego wielkoluda i uciekającego przed nim przerażonego zwierza.

Według Michaela niedźwiedzie czarne rzadko atakowały ludzi; robiły to tylko pod wpływem zaskoczenia albo w obronie swoich młodych. Były po prostu ciekawe ludzi i podchodziły do nich jedynie wtedy, gdy przeczesywały kempingi w poszukiwaniu jedzenia. Tak więc po pewnym czasie Michael i Stinson wrócili na swoje miejsce biwakowe.

Jednak gdy pojawiła się Madison z Bobbym, postanowili zdjąć hamaki i się przenieść. Tuż przy drodze znaleźli inny zaciszny skrawek puszczy, gdzie mogli wyciągnąć się na szerokim, płaskim gładzie na skraju polany. Stinson i Madison usiedli na kamieniu plecami do lasu, a zmęczony długim spacerem Bobby zwinął się w kłębek na trawie przy stopach swojej pani, drzemiąc i głośno chrapiąc.

Michael postawił przed Tabor miseczki z karmą i wodą, otworzył puszkę mocnego piwa i usiadł obok kotki.

Tabor uniosła głowę znad miski, strzygnęła uszami i zaczęła niuchać. Nagle wygięła się w łuk, zjeżyła sierść na grzbiecie i napuszyła ogon. Michael spojrzął za siebie, w kierunku, w którym patrzyła. Zauważył trzęsące się zarośla i usłyszał szelest liści, ale nie widział tego, co dostrzegła Tabor. Gdy zerknął znowu, jakies czterdzieści pięć metrów dalej z gęstwiny wielkich, starych dębów i sosen wyrosła nagle potężna samica niedźwiedzia brunatnego o złocistobrazowych oczach, cynamonowym umaszczeniu i łapach wielkości talerzy. Wbiła wzrok w Michaela i Tabor i zaczęła człapać w ich kierunku.

Siedzący na kamieniu na wprost Michaela Stinson był zajęty skręcaniem jointa i niczego nie zauważył.

Michael tkwił bez ruchu, ale wymienił z Madison przestraszone spojrzenia; ona również odwróciła się i zobaczyła niedźwiedzicę.

– Za tobą jest niedźwiedź – szepnął do Stinsona.

– Nie odwrócę się – zaśmiał się Stinson. – Wiem, że kłamiesz.

– Stary, nie kłamię, tam jest niedźwiedź.

– Ta, jasne, Węszycielu.

– Do cholery, Stinson, on tam naprawdę jest.

Nie spuszczać wzroku z nadciągającego zwierza, Madison nachyliła się do Stinsona.

– Jest tuż za tobą – szepnęła.

Stinson szybko się odwrócił i szybko skoczył na nogi.

– O cholera, niedźwiedź.

Niedźwiedzica była coraz bliżej, a Tabor zaczęła syczeć i fukać, by ją odstraszyć. Bobby też się obudził i zaczął nerwowo szczekać. Madison chwyciła go za obrozę i pobiegła z nim w stronę samochodu.

Michael raz jeszcze złapał Tabor i wsadził ją do transportera. Wiedział, że w obliczu dzikich, drapieżnych zwierząt nie powinno się okazywać strachu i uciekać, ale lęk i instynkt wzięły nad nim górę i on też rzucił się w kierunku samochodu. Stinson biegł tuż za nim.

Ze względnie bezpiecznego samochodu Stinsona patrzyli, jak niedźwiedzica spogląda w ich kierunku, jednym połknięciem kończy obiad Tabor, po czym spokojnie odchodzi i znika między drzewami.

– Cholera, ten niedźwiedź musiał się dopiero obudzić ze snu zimowego, bo chyba umierał z głodu – powiedział Michael. Uświadomił sobie, że karmienie kotki było głupim pomysłem, ponieważ niedźwiedzie potrafią wywęszyć jedzenie dosłownie z odległości wielu mil.

Co więcej, złamali niemalże wszystkie parkowe przepisy bezpieczeństwa. Jedli poza

wyznaczonymi miejscami piknikowymi, nie używali zamykanych metalowych pojemników na jedzenie, a w dzikiej puszczy pojawili się z domowym kotem.

Spakowali się szybko i przenieśli na noc na inny kemping.



Obudziwszy się następnego dnia we mgle przedświt tuż przed szóstą rano, zapakowali się do samochodu i ruszyli z powrotem na wybrzeże. Ale po drodze złapali dwa kapcie i musieli się zatrzymać w King City, by wymienić opony. Wtuleni w siebie, Tabor i Bobby przespali wszystkie te przygody.

Gdy już wrócili na trasę, postanowili, że ich następnym przystankiem będzie Mount Shasta. Czczona jako święte miejsce, w którym spotykają się niebo i ziemia, Mount Shasta jest celem podróży pielgrzymów z całego świata. Ten uspiiony wulkan to też piąty najwyższy szczyt Kalifornii, więc cieszy się także dużą popularnością wśród poszukiwaczy przygód i skałkowców.

Dzień był ciepły i słoneczny, a park pękał w szwach od biwakowiczów, ale tuż przed zachodem słońca bezdomnym udało się znaleźć cichy, zacieniony zakątek przy granicy Parku Stanowego Castle Crag.

Stinson rozpalił ognisko i przyniósł z samochodu sześciopak piwa. Michael odpiął Tabor smycz, żeby mogła pobawić się z psem, a Madison przygotowała skromny piknik z chleba, sera, chipsów kukurydzianych Doritos i piwa. Gdy przelamywała kruchy kawałek cheddara, Michael zauważył, że nie wystarczyłoby go do nakarmienia rodziny myszy, a co dopiero trójki dorosłych ludzi.

– Nie jestem zbyt głodny – powiedział. – Wystarczy mi piwo.

– Nie możesz chodzić z pustym talerzem – odparł Stinson, wiedząc, że Michael chciał się poświęcić, bo tak naprawdę umierał z głodu.

– Tam jest napisane, żeby nie karmić niedźwiedzi i dzikich zwierząt – zaśmiał się w odpowiedzi, wskazując na tabliczkę przybitą do drzewa za plecami Stinsona i Madison.

Michael siedział oparty o pień, popijając piwo i rozwiązując krzyżówkę w „Los Angeles Timesie” znalezionym na śmietniku. Starał się kontrolować picie, odkąd usłyszał od biwakowiczów z Yosemite, że w parku musi uważać na swoją kotkę, ale stwierdził, że teraz oboje są już bezpieczni. Od czasu do czasu odrywał wzrok od gazety, zerkając kontrolnie na ganiających się między krzakami i drzewami Tabor i Bobby’ego. Zabawa polegała na tym, że kotka przyczajęła się po jednej stronie drzewa, a pies po drugiej, po czym jedno z nich (zazwyczaj Tabor) wylatywało jak z procy i oboje śmigali po podszyciu jak para koni wyścigowych na amfetaminie.

W końcu wyczerpani padli z łap, a gdy Michael ponownie uniósł wzrok, zobaczył, że Tabor i Bobby przytulili się do siebie i drzemali już smacznie głowa przy głowie, obejmując się łapami. Michael pociągnął następny duży łyk piwa i poczuł, że serce przepelnia mu radość. Mieszanka alkoholu, cykania świerszczy oraz dalekich odgłosów gwaru, śmiechu i muzyki dochodzących z sąsiednich biwaków ukołysała go do krótkiego, ale bardzo głębokiego snu.

Kiedy niedługo potem gwałtownie się obudził, nie wiedział, ile czasu upłynęło, ale było już ciemno. Stinson i Madison gawędzili sobie po drugiej stronie ogniska, a pies siedział samotnie przy drzewie, w miejscu, w którym spał z Tabor. Ale kotka zniknęła.

– Czy ktoś widział Tabor? – zapytał Michael.

Stinson rzucił okiem dookoła.

– Myślałem, że jest z tobą – powiedział.

Michael podniósł się z trudem i okrążył ognisko.

– Bobby, gdzie Tabor? – zapytał psa, który spojrzał na niego swoimi łagodnymi, karmelowymi oczami. Przekrzywił w zaciekawieniu głowę, po czym zmienił pozycję, układając ją sobie na łapach, i ponownie zasnął.

Spanikowany Michael, zataczając się, wszedł do lasu i zaczął przeczesywać wzrokiem zarośla wokół strzelistych sosen.

– Tabor, gdzie jesteś? – zawołał. Ciągle nic. – Tabor, nie żartuj sobie, gdzie jesteś?

Madison i Stinson przyłączyli się do poszukiwań, a Bobby obudził się i poszedł w ślad za nimi. Weszli w głąb lasu, nawołując i nasłuchując.

Po mniej więcej czterdziestu pięciu minutach spotkali się ponownie w obozie.

– Co ja miałem w głowie, żeby ją tu przywozić? – pytał sam siebie z rozpaczą w głosie. – Chciałem tylko, żeby przeżyła dziką przyrodę, żeby wiedziała, że świat nie kończy się na rogach ulic i autostradach.

– Ja też bałam się zabrać Bobby’ego – przyznała Madison. – Tu aż się roi od pum i niedźwiedzi.

– Cholera – powiedział Michael. Zapomniał o pumach. – No to jesteśmy załatwieni.

Stinson podszedł do niego i położył mu rękę na plecach.

– Spokojnie, Węszycielu. Na pewno gdzieś tu jest. – Stinson był w tym dobry; za każdym razem, gdy Michael wściekał się albo denerwował, on potrafił go uspokoić. – Ale lepiej zacznijmy jej szukać, zanim trafi w czyjaś paszczę.

Ekipa ratunkowa znowu się rozdzieliła. W świetle księżyca Michael spostrzegł na ziemi ślady dużych łap, zbyt dużych jak na domową kotkę. Wszędzie wokół słyszał szelest w zaroślach i drzewach i zdawało mu się, że dostrzega cienie nieokreślonych zwierząt przemykających w ciemności. Poczul, że to w pewnym sensie kara za to, iż w dzieciństwie sam tyle razy uciekał z domu. Różnica tkwiła jednak w tym, że jego rodzice się nie przejmowali i nie chcieli, by wracał, a dla niego Tabor była wszystkim.

W miarę jak wchodził głębiej w las, ogarniała go coraz większa ciemność. Nie miał latarki, a oczy bolały go od ciągłego mrużenia. Raz po raz potykał się o wystające z ziemi korzenie i kamienie.

– Siemka – odezwał się jakiś głos na ścieżce przed nim.

Michael uniósł wzrok i zobaczył niewysokiego, tęgiego mężczyznę w kapeluszu kowbojskim, ciągniętego przez masywnego, czekoladowego labradora. Mężczyzna przypominał kreskówkowego Yosemite Sama z jego zrośniętymi brwiami i krzaczastymi wąsami.

– Przed chwilą widziałem na szlaku ogromną pumę i słyszałem kojoty – powiedział Yosemite Sam. – Mam nadzieję, że znajdzie pan swojego psa.

Michael nie odpowiedział. Nie było sensu wyprowadzać go z błędu czy wdawać się w rozmowy. Minęły już prawie dwie godziny, a on umierał z niepokoju o Tabor. Słyszał nieustanne szelesty wokół i pohukiwanie sów nad głową.

Trzasnęła gałązka, potem druga i nagle wzdrygnął się, czując na ramieniu czyjaś dłoń. To był Stinson. Zaprowadził Michaela z powrotem na ich polanę. Po drodze Michael zobaczył tabliczkę: „Uwaga, pumy na jelenim szlaku”.

Madison już na nich czekała. Siedziała na głazie przy ognisku, głaszcząc Bobby’ego.

– Nic – powiedziała, unosząc na nich wzrok. W jej dużych, ciemnych oczach czaił się niepokój. – Naprawdę mam nadzieję, że Tabor jest cała i zdrowa i tylko się gdzieś schowała.

Po powrocie na polanę Stinson zapalił papierosa, którego zaraz przydeptał.

– Znajdziemy ją – powiedział. – Chodźcie, wracajmy do lasu.

Michael wyobraził sobie, jak bardzo Tabor musiała być przerażona.

– To nie do wiary – zaczął. – Od miesiący ograniczam alkohol, żeby mi jej nie odebrano, a gubię ją w parku narodowym.

– Wszystko będzie dobrze – starała się go pocieszyć Madison.

– Nie będzie – odparł zmęczonym, chrapliwym głosem. – Ona jest wszystkim, co mam.

Nad ich głowami jakiś ptak zapiszczał ostrzegawczo raz i drugi.

– Ciii, stójcie – nakazał Stinson, rozglądając się i uważnie nasłuchując. – Słyszeliście? Jakby miauknięcie.

Poświecił komórką po gałęziach drzewa. Nagle wiązka światła padła na parę błyszczących oczu. To była Tabor – przycupnęła na gałęzi, przyglądając im się spokojnie z góry. Jej rozspane oczy ewidentnie świadczyły o tym, że drzemała tu sobie przez cały czas.

– Ten kot ma chore poczucie humoru – stwierdził Stinson, śmiejąc się.

– Hura! Stinson ratuje nas po raz kolejny – szepnął Michael. To właśnie jego towarzysz znalazł Tabor tej dżdżystej nocy w Portland. Teraz Michael nie czuł nic oprócz radości. Nic na świecie nie miało

znaczenia – liczyła się tylko jego kotka.

Gdy zgramoliła się z drzewa, Michael porwał ją w ramiona i przycisnął twarz do jej puchatych kocich policzków, pachnących jak wiosenne liście i ubrudzona ziemią kora.

– Dzięki Bogu nic ci nie jest – powiedział ze łzami w oczach. Ulżyło mu, że jest cała i zdrowa, i nie posiadał się z radości, że znowu trzyma ją w ramionach, ale był też rozczarowany samym sobą: nie wziął się w garść wystarczająco mocno, by należycie się nią zaopiekować. Jego niedbalstwo już drugi raz naraziło Tabor na niebezpieczeństwo.

Zapewnił kotkę, że ją kocha, a ona trąciła go główką i polizała po twarzy szorstkim języczkiem.

– Pozbieram się – wyszeptał jej do ucha z przekonaniem. – Zobaczysz.



Następnego ranka pojechali do centrum Mount Shasta, by uzupełnić zapasy, a następnie kontynuowali swoją wycieczkę na południe do kolejnego kempingu nieopodal Buddha Hole w południowych widłach rzeki Sacramento.

Krocząc zawiłymi, ledwie oznaczonymi szlakami, zapuścili się w głąb lasu, gdzie natknęli się na zaciszny, zalany słońcem zakątek. Zszedłszy ze skalistego zbocza, rozsiedli się na porośniętym krzewami pagórku przy brzegu rzeki. Buddha Hole był przejrzystym, szmaragdowym basenem wodnym otoczonym gołoborzem i gęstwiną cedrów oraz sosen. Odcinek, przy którym się znaleźli, stanowił ulubione miejsce nagich kąpiei hipisów w drodze na głośny pustynny festiwal Burning Man.

Stinson i Madison zabrali się za rozstawianie obozu, a Michael przypiął Tabor długą smycz, którą przewiązał wokół smukłego drzewka. Ziewając i rozprostowując łapy, Tabor przeniosła się do cienia pod kępą koronkowej paproci, natomiast Bobby zdążył już uwić sobie wygodne gniazdko obok Michaela, gdzie klapnął i zapadł w długą drzemkę. Tego popołudnia, gdy Stinson i Madison pluskali się w płytkiej wodzie, Michael wziął książkę i usiadł przy Tabor i Bobbym, bojąc się, że pumy czy kojoty mogłyby przycząić się na kotkę.

Potem razem ze Stinsonem i Madison zapalili skręta, napili się piwa i siedzieli do późnej nocy, rozmawiając. Po całym stresie i dramatycznych scenach dnia poprzedniego Michael stwierdził, że parę piw dobrze mu robi. Mimo że całymi tygodniami czy miesiącami potrafił nie tknąć nawet kropli alkoholu, to tym razem był pod wpływem marihuany, więc sobie pofolgował.

Otwierając kolejny sześciopak, zaczął opowiadać jedną ze swoich podróżniczych historii: „Zeszłego lata spotkałem na chodniku pewną kobietę, która zapytała mnie, czy piję piwo. »Tak«, mówię. »Ile butelek na wieczór?«, pyta dalej. »Nie wiem, jakieś sześć«, odpowiadam. »Ile lat pije pan piwo?«, pada kolejne pytanie. Ja jej na to, że około trzydziestu. A ona: »Czy zdaje pan sobie sprawę, że gdyby te trzydzieści lat temu założył pan sobie rachunek inwestycyjny o wysokiej stopie zwrotu i zamiast kupować piwo co miesiąc, wpłacałby pan na niego pieniądze, to teraz stać by pana było na zakup samolotu?«. »O cholera... aż tak«, mówię. I pytam ją: »A czy pani pije piwo?«. »Nie«, odpowiada. »W takim razie gdzie pani samolot?«”.

Znad rzeki Sacramento nadciągnął wiatr i zrobiło się chłodno, więc Michael rozpałił ognisko, wyjął kuchenkę turystyczną i przyrządził wszystkim coś na ząb. Gdy ognisko wygasło, rozpałił kolejne.

Relaksując się przy ogniu, patrzył, jak Tabor zapada w głęboki sen. Delikatnie podniósł ją sobie z kolan, opatulił kocykiem z polaru i włożył do jej przenośnego domku. Ziębnięci Stinson i Madison także zdążyli już zasnąć. Czując, że i on zaczyna marznąć, Michael wsunął się do śpiwora w ubraniu i butach – nie miał zamiaru zasypiać, dopóki ogień się nie wypali.

Obudził go dobiegający z transportera płacz Tabor. Rozpaczliwie chciała, by otworzył oczy. Poczul dym, a gdy spojrział w dół, zobaczył, że jego śpiwór przepalił się aż do wysokości kolan.

Zawodzenie i piski Tabor obudziły też Stinsona, który na widok tłącego się śpiwora zerwał się na równe nogi, krzycząc: „Palisz się!”.

– Tak, widzę – odparł otumaniony i wciąż pijany Michael, wyjmując nogi i przydeptując ziemię, by zdławić ogień.

Nie do końca dotarło do niego, że mogło dojść do poważnych oparzeń.

Jednak następnego ranka był cały roztrzęsiony. Prawie stracił Tabor i obudził się w płonącym śpiworze. Zaczął myśleć o tym, że większą część swojego dorosłego życia spędził na upijaniu się do nieprzytomności i zagłuszaniu złych wspomnień. Ale teraz miał kotkę, która była od niego zależna i kochała go całym sercem, a on w podzięce narażał ją na niebezpieczeństwo. Postanowił, że aż do końca podróży powrotnej do Portland nie tknie ani kropli alkoholu.



Rozdział siedemnasty

Oprócz błękitnego nieba... Diabły i pył

Kilka tygodni po wyjeździe z Mount Shasta i powrocie do Portland Michael stwierdził, że musi odwiedzić Waltera w Montanie. To właśnie Walter był jego najbliższą rodziną. Zawsze, gdy Michael znajdował się w rozpaczliwym położeniu, przymierając głodem i chłodem, mógł liczyć na Waltera, który natychmiast przesyłał mu pieniądze na jedzenie czy pokój w motelu. Kiedy Michael był aresztowany za włóczęgostwo albo pijaństwo w miejscu publicznym, Walter płacił grzywny albo kaucję. Przypominał tym Michaelowi, że nie był on bezwartościowy, że ktoś go kochał.

W obozowisku w zatoczce UPS przy Hawthorne Boulevard Michael zaproponował Kyle'owi, by towarzyszył jemu i Tabor w podróży do Montany. Ten zaledwie dziesięcioletni, twardy i bezczelny, a zarazem wrażliwy chłopak przypominał mu siebie sprzed lat. Dzieciaki na gigancie zazwyczaj nie słuchają dorosłych, bo większość tych, których znają, maltretowała ich albo znęcała się nad nimi. Ale Michael też był włóczęgą, więc pod pewnymi względami stanowił dla Kyle'a autorytet: był człowiekiem, który dużo przeżył, chciał go słuchać i chętnie udzielał rad, jak przetrwać na ulicy.

Michaela i Kyle'a łączyło zafascynowanie dziką przyrodą. Błękitne niebo Montany rozciągało się aż za horyzont, a surowe piękno bezkresnych górskich dolin i otwartych, wyboistych prerii było niemalże nie z tego świata. Z drogi dało się niekiedy dostrzec dzikie zwierzęta – bizona, łosie, owce kanadyjskie – pasące się w dolinach albo sunące po dywanach jaskrawożółtych psizębów.

Wcześniejsze wędrówki uzmysłowiły Michaelowi, że ich największym koszmarem będzie podróżowanie przez Idaho. Łapanie autostopu było w tym stanie sprzeczne z prawem. Tak więc przed wyruszeniem z Portland Kyle opublikował na Craigslist Rideshare ich zdjęcia wraz z notką: „Szukamy podwózki”. Wróciwszy niedawno z wielotygodniowej podróży ze Stinsonem i Madison, Michael chciał jak najszybciej dotrzeć do Montany i nie zabawiać nigdzie dłużej po drodze. Ale nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi na Craigslist, mimo wszystko postanowili wyruszyć. Ewentualne podwózki w tym serwisie mogli sprawdzać w trasie.

Już po czterech godzinach od opuszczenia Portland wysiadali w Hermiston, rolniczym miasteczku we wschodnim Oregonie, słynącym na całym Północno-Zachodnim Wybrzeżu z uprawy arbuźów. Boczne drogi opasane były suchą trawą, słupami telegraficznymi i ręcznie robionymi tabliczkami reklamującymi gospodarstwa sprzedające maliny, rabarbar oraz świeże jajka. Michael, Kyle i Tabor utknęli na zakurczonym poboczu pod liniami wysokiego napięcia Hermiston na całe pół dnia.

Widząc, że Kyle zaczyna się denerwować i jęczeć, Michael starał się go uspokoić.

– Po tych drogach jeździ się dość wolno – powiedział.

Koniec końców musieli pokonać na piechotę sześć mil do Stanfield, kolejnego rolniczego bastionu, ponieważ tam łatwiej było złapać okazję. Zatrzymali się przy obiecującym rozdrożu, na którym panował przywoity ruch, tworzony głównie przez ciężarówki, samochody kempingowe i przygodne furgonetki hipisów. Po przygnębiającej, bezowocnej godzinie wystawiania różnych tabliczek – „Na wschód”, „Montana”, „Helena” – napisali nową: „Podwózka rozpaczliwie potrzebna. Z nami kot”, ale nikt się nie zatrzymał.

To była pierwsza daleka podróż autostopem Kyle'a, nieprzygotowanego na długie okresy wyczerpującego czekania, monotonii i nudy. Zabrał ze sobą swoją deskorolkę, więc miał czym wypełnić kilka popołudni, ale było tak upalnie – temperatura oscylowała w granicach trzydziestu stopni Celsjusza – i nigdzie ani skrawka cienia, że nie był w stanie długo tak pociągnąć. Po przesiedzeniu na drodze w Stanfield trzech okropnych dni pod znakiem gapienia się w niebo, kopania kamieni i patrzenia na przejeżdżające samochody, obaj byli sfrustrowani i przygnębieni.

W końcu Kyle miał dość.

– To nuda – powiedział, wstając i narzucając plecak na ramiona. – Skoro mamy nigdy nie złapać podwózki, to ja wracam do domu – dodał i przeszedł na drugą stronę drogi.

Michael był tak samo zmęczony całą sytuacją, ale nic nie powiedział – nauczył się cierpliwości w stosunku do ulicznych dzieciaków, tak jak nauczył się jej wobec Tabor. Przed jej znalezieniem nie przeszkadzało mu zbytnio, że utknął na jakimś pustkowiu, czekając na okazję. Ale teraz bał się, że kotka może być zmęczona upałem. Stale zasłaniał ją przed słońcem swoim kapeluszem, a na najbardziej upalne godziny zamykał ją w transporterze. Na szczęście Tabor była zadziwiająco wyluzowana, zadowolona, że może po prostu wtulać się w ich kolana w ciągu dnia, a w nocy leżeć w ich śpiworach pod zaroślami.

Stanąwszy po drugiej stronie drogi, Kyle od razu złapał okazję; na jego machanie zatrzymał się jakiś niechluj, który wyglądał, jakby mieszkał w samochodzie. Ale po pewnym czasie zaczęło wyglądać na to, że to przygnębiające wiejskie pustkowie porośnięte jedynie suchą trawą nie ma końca, więc poprosił, aby kierowca go wysadził. Przeszedł na drugą stronę drogi i znowu natychmiast złapał stopa.

Jakąś godzinę później, gdy Michael patrzył na oślepiające południowe słońce, które stawało się coraz jaśniejsze i gorętsze, i zaczął rozważać pieszą wędrowkę do następnego miasteczka, zobaczył zbliżający się wolno samochód z Kyle'em na fotelu pasażera. Zabrali Michaela i Tabor z tego samego rozdroża, na którym Kyle ich zostawił, i trzygodzinną jazdę do Idaho odbyli już razem.

Kierowca wysadził ich późnym popołudniem przy wyjeździe z rolniczej krainy, lekko na północ od Boise. Tak oto Michael, Tabor i Kyle znaleźli się na wysoko położonej pustyni Idaho. Po przejściu kilku mil byli zrozpaczeni i prawie dostali udaru. Nawet zamknięta w transporterze Tabor nie ukrywała swojego dyskomfortu. Gdy słońce zaczynało chować się za horyzont, znaleźli kępkę patykowatych drzew i krzaków, pod którymi spędzili noc. Ale wcześniej rano Tabor udało się uciec z transportera; podbiegła do śpiącego Kyle'a i zaczęła go ciągnąć za brodę. Jej głośnie miauczenie i pohukiwania Kyle'a, żeby sobie poszła, obudziły Michaela. Gdy kotka zobaczyła, jak otwiera oczy, przypadła do niego, wskoczyła mu na pierś i teraz jego zaczęła ciągnąć za brodę.

– Daj spokój, jest czwarta rano... – jęknął Michael, strząsając ją sobie z twarzy. – Tabor, nie! Nie! Przestań!

Ale ona nie przestawała, więc Michael i Kyle postanowili wyruszyć wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Michael nakarmił małą i zwinął obóz. Gdy ruszali, powiedział Kyle'owi, że podczas swoich wędrowek po pustyni plemiona koczowników kierowały się położeniem słońca i gwiazd. Jednak Michael i Kyle zgubili się w ciemności, znacznie zbaczając z trasy do Montany. Znaleźli się w jakimś małym miasteczku, które przypominało porzuconą makietę z planu zdjęciowego westernu, wraz z zakurzonymi witrynami sklepowymi opatrzonymi dziewiętnastowiecznymi datami. Boczne uliczki zabudowane były zapadającymi się domami o drewnianym szkielecie i miniaturowymi chatkami z tabliczkami „Obcym wstęp wzbroniony” zawieszonymi na drzwiach wejściowych.

Cały poranek szwendali się po nagranych, zakurzonych ulicach miasteczka, szukając cienia i przyklejając się do ścian pod sklepowymi witrynami w poszukiwaniu osłony przed prażącym białym słońcem. Pot lał się strumieniami z twarzy Michaela i pękała mu głowa. Siedząca mu w ramionach Tabor dyszała. Bał się, że się przegrzeje, ponieważ koty pocą się jedynie przez język i skórę łap, więc co rusz wlewał sobie wodę w złączone dłonie i moczył jej sierść, by ją schłodzić.

Na krańcu głównej ulicy dostrzegł skrawek cienia przed wejściem do opuszczonego sklepu ze starociami. Ta dwupiętrowa drewniana konstrukcja z pstrokatym dachem z fałdowanej blachy przypominała wrak okrętu wyłowiony z dna oceanu.

– Dotarliśmy do drogi donikąd – oznajmił Michael i opadł ciężko na poszczerbione metalowe krzesło ogrodowe w morskim kolorze, wyciągając przed siebie długie nogi. Powiódł wzrokiem po okolicznych przejazdach kolejowych i starych reklamach Coca-Coli oraz papierosów Virginia Slims. Nagle Tabor wyskoczyła mu z rąk i przez dziurę w ścianie wślizgnęła się do zabitego deskami sklepu.

Zgrzany i wyczerpany Michael był w stanie tylko wzruszyć ramionami.

– No cóż – powiedział, opierając stopy o krawędź owalnej wanny w stylu retro. – Chyba chwilowo tu utknęliśmy. Przynajmniej wciąż jest przypięta do smyczy. Nie może odejść za daleko.

Kyle spojrział na niego z z troskanym wyrazem twarzy.

– Jak ją stamtąd wyciągniemy? – zapytał.

– Sama wyjdzie, kiedy będzie miała na to ochotę. Pewnie jak zgłodnieje. Teraz robi sobie sjęstę. Nie przeszkadzajmy jej.

Czekając na Tabor, Kyle wałęsał się po złomowisku zagraconym starymi znakami drogowymi, rozklekotanymi rowerami, rdzewiejącymi częściami samochodów i maszyn rolniczych, turkusowym dystrybutorem paliwa z epoki art déco i innymi podobnymi osobliwościami.

– Nigdy nie widziałem takich dziwactw – powiedział Kyle, przeglądając starocie. Gdy zaspokoił ciekawość, podszedł do budynku i zajrzał do środka przez zamglone, pokryte skorupą brudu okna. Okrążył sklep, zaglądając przez każdą szczelinę w nadziei, że w zagraconym, ciemnym wnętrzu dostrzeże Tabor.

– Lubi wszędzie wściubiać nos – powiedział Michael, zdejmując spod płóciennego kapelusza brązową bandankę, którą wytarł pot z ogorzałej twarzy. – Po prostu chciała uciec ze słońca i trochę się schłodzić. Nie zawsze możemy iść, gdzie chcemy, jeśli ona nie ma ochoty się ruszać. To kot płci żeńskiej, więc muszę traktować ją jak kota płci żeńskiej i pozwalać jej o wszystkim decydować.

Jakieś pół godziny po swoim zniknięciu Tabor wystawiła głowę przez rozszczepione, wyblakłe od słońca deski, tak jak przewidział to Michael. Wywabił ją na zewnątrz kocim smakołykiem, zasłonił dziurę tarką do prania i trzymał ją mocniej na smyczy.

Zarumieniony od słońca i słaniający się na nogach Kyle bał się, że utknęli tu na cały dzień.

– Ale kiszka – stwierdził, siadając po turecku i opierając się o ścianę budynku w jedynym skrawku cienia, jaki udało mu się znaleźć. Zaczął mechanicznie wyrywać rosnące obok chwasty i mleczce. – Nie wiedziałem, że człowiek może utrzymać się przy życiu w takich temperaturach. – Miał spieczone wargi i sucho w ustach. Michael zużył całą ich wodę do schłodzenia Tabor. – To jak wizyta na innej planecie, na przykład Wenus.

– Idaho to rzeczywiście inna planeta – odparł Michael, słuchając jednym uchem, ze wzrokiem wbitym w przebiegającą przy jego stopach solfugę. Nie chciał ściągnąć na nią uwagi Kyle'a i go przestraszyć, ale musiał pilnować bezpieczeństwa Tabor, która siedziała obok z pyszczkiem w misce.

Gdy tylko skończyła jeść, Kyle poderwał się i ruszył wzdłuż drogi. Michael podniósł Tabor, posadził ją sobie na plecaku i poszedł w ślad za nim. Kilka przecznic dalej zatrzymali się przed starym, rozpadającym się sklepem wielobranżowym i kawiarnią, które wyglądały, jakby wciąż działały. Przez drzwi przewinęło się kilku miejscowych.

– Chcesz coś? – zapytał Michael Kyle'a, który klapnął na ławce.

– Wodę.

Wszedł do środka, a Kyle został z Tabor na werandzie. Cieszył się, że ma towarzysza podróży, który pomaga mu jej pilnować. Zazwyczaj gdy wchodził do sklepu, przebiegał nerwowo między półkami i niecierpliwiał się przy kasie, bojąc się, że ktoś zabierze kotkę. Nie mógł zbyt długo zostawiać jej samej również dlatego, że zaczynała miauczeć i płakać jak dziecko, aż nie przyszedł, co mogło ściągnąć na nich niepożądaną uwagę.

W łazience napełnił butelki wodą i zaniósł je Kyle'owi, po czym pobiegł z powrotem po prowiant. Kupił piwo, tytoń, masło orzechowe Skippy, ser cheddar, bochenek Wonder Bread i zdrapkę loteryjną – czyli to, co Szalony Joe nazywał artykułami pierwszej potrzeby białej hołoty.

– Szybko się uwinąłeś – zauważył Kyle, który teraz, kiedy mieli jedzenie i picie, był już w lepszym nastroju.

– Ja się nie guzdram – odparł Michael.

Zjedli lunch, nie ruszając się z werandy, a potem Michael włożył Tabor do jej przenośnego mieszkanca, by ochronić ją przed słońcem. Szli przez kilka godzin w stronę peryferii Boise. Wędrując wzdłuż torów na południe, trafili do kolejnego wymarłego miasteczka górniczego, które wyglądało na jeszcze bardziej nawiedzone i zapomniane niż poprzednie. Nieduże, opuszczone centrum handlowe obejmowało kilka wybebeszonych budynków, szkielet stacji paliw oraz parę pokrytych kurzem, zabitych deskami hoteli obmalowanych graffiti. Na porośniętej bylicą jałowej ziemi wałały się pęknięte opony,

stary, wyschnięty but i skrzące się w piasku odłamki zielonego i brązowego szkła. Przywiane przez wiatr foliowe torebki wisiały na kaktusach i unosiły się wokół jak plastikowe biegacze pustynne.

– To chyba tu foliówki przybywają, by umrzeć – odezwał się Kyle.

– Tak jak autostopowicze, którzy nie mogą złapać okazji i się stąd wydostać – przytaknął Michael, wskazując na niewielki, prosty drewniany krzyż wystający ze sterty kamieni, na której leżały zwiędłe kwiaty i para rozpadających się tenisówek.

W końcu udało im się złapać okazję do Boise, gdzie wysiedli przy Boise Stage Stop, eleganckim przydrożnym zajeździe urządzonym w budynku w stylu Tudorów, przed którym stał stary dylizans. Temperatura zdążyła już przekroczyć trzydzieści stopni Celsjusza.

Zamroczeni i ogorzali, wsunęli się do obitych turkusowym winylem boksów w najdalszym kącie jasno oświetlonej, taniej restauracyjki, która była stylizowana na kawiarnię. Ten swoisty pit stop dla kierowców był pełen oldbojów w dżinsowych ubraniach, kapeluszach stetsonach i porysowanych kowbojskich butach – mężczyzn, którzy większość życia spędzili na powietrzu, o osmaganych wiatrem twarzach i zrogowaciałych dłoniach, wysuszonych w słońcu niczym skóra na siodła.

Dwaj wędrowcy i kotka dogorywali w klimatyzowanej salce nad schłodzoną wodą i wodnistą kawą z lodem, czekając, aż podładują im się telefony. Gdy już się schłodzili, Kyle i Michael z Tabor na plecaku ponownie ruszyli w drogę. Michael wiedział, że nie było sensu dłużej tam zostawać – kierowcy ciężarówek prawie przestali zabierać autostopowiczów, bo było to sprzeczne z polityką ubezpieczeniową zatrudniających ich firm. Poszli wzdłuż drogi, docierając do ruchliwego skrzyżowania przy wjeździe na autostradę wielopasmową I-84, i usiedli przy szosie z tabliczką o treści „Montana”, a przypięta smyczą do plecaka Michaela Tabor wyciągnęła się pod krzaczkiem bylicy. Michael oderwał kilka listków szałwii, roztarł je w dłoniach i wdychał ich orzeźwiający zielony zapach, a następnie sięgnął po kanapkę z serem.

Nagle pędząca szosą furgonetka chevy avalanche zatrzymała się przed nimi ze zgrzytem hamulców, sypiąc spod kół piaskiem i zwirem.

Przez szybę wychylił się siedzący za kółkiem kowboj.

– Dokąd jedziecie? – zapytał z przeciągłym, gęstym zaśpiewem.

– Dokądkolwiek – odparł Michael.

– Do Montany – powiedział w tej samej chwili Kyle.

– Tak daleko was nie zabiorę, ale kawałek mogę – powiedział kowboj, wyskakując z szoferki, by pomóc im wnieść rzeczy do samochodu. Ten wysoki i szeroki w barach mężczyzna ubrany w luźne, niebieskie dżinsy miał włosy niczym wąsy kukurydzy, zarost i podstrzyżoną bródkę i cechowała go surowa, góralska uroda.

– Można jeszcze chwilkę? – zapytał Michael, kończąc pospiesznie kanapkę i chwytając smycz Tabor.

– Nie ma pośpiechu – odparł kowboj, opierając się o furgonetkę i zapalając papierosa. Ze swoimi jasnymi oczami o barwie błękitnego ognia, iskrzącymi się pod brzegiem wytartego stetsona, przypominał kowboja z reklamy Marlboro.

Kyle zajął tylne siedzenie, a Michael podał mu plecaki. Ale gdy odwrócił się po Tabor, ta nie chciała wskoczyć do wozu. Spojrzała na Michaela z oczami, w których malował się opór, i zaczęła ciągnąć smycz, próbując uciec. Myślał, że mocno trzyma jej koniec, ale gdy pochylił się, by podnieść kotkę, ta wymknęła mu się i wyskoczyła na ruchliwą drogę dojazdową, ciągnąc za sobą smycz.

– O Boże, tylko nie teraz – szepnęła do siebie Michael, podążając za Tabor między pędzącymi samochodami. Kątem oka widział, jak ostrożniejsi kierowcy zwalniają, omijając kotkę.

– Tabor, nie! – krzyknął. – Tabor, wracaj!

Uciekała przed nim, jakby wiedziała, że chce ją zabrać gdzieś, gdzie ona nie miała ochoty iść, albo z innych, sobie tylko znanych powodów.

– Nie rób tego – błagał Michael, idąc za nią szybkim krokiem. Wiedział, że nie należy nigdy ścigać ani osaczać przestraszonego kota, bo to go tylko jeszcze bardziej stresuje. Obok nich mknęły wielkie ciężarówki, uderzając silnymi podmuchami powietrza. Tabor zwolniła i truchtała teraz po białej

linii. Nagle stanęła, odwróciła się i spojrzała na niego zalęknionym, udręczonym wzrokiem.

Michael też się zatrzymał, po czym z dudniącym sercem zaczął powoli zbliżać się do swojej przestraszonej, bezradnej kotki.

– Już dobrze, Tabor... Już dobrze – przemówił do niej cichym, uspokajającym tonem.

Tabor spojrzała mu prosto w oczy i zamiauczała.

Po pełnej napięcia minucie zdołał powoli do niej podejść i pochwycić ją w ramiona.

– Niegrzeczna dziewczynka, Tabor – besztął ją, przytulając do siebie.

Kotka wzdrygnęła się i położyła po sobie uszy, ale oparła się o jego pierś.

– Jak mogłaś mi to zrobić? – pytał ją, biegnąc z powrotem do furgonetki. Kyle i kowboj-kierowca obserwowali ich z szoferki.

– Mała dzikuska, co? – rzucił do Michaela kowboj, gdy ten siadał na fotelu pasażera, wciąż mocno trzymając Tabor. – Byłem pewien, że już po niej.

– Na śmierć mnie przestraszyła – odparł Michael. Był tak roztrzęsiony, że drżały mu ręce, gdy ją głaskał. – Nie mogę nigdy pozwolić, by stało się jej cokolwiek złego. To księżniczka z mojego plecaka.

Kowboj błysnął zębami w szerokim uśmiechu, po czym wykręcił i wyjechał na autostradę. Przez przednią szybę przedzierało się gorące południowe słońce, a on zaczął opowiadać o sobie. Był właścicielem rancza, a także przestępcą, który właśnie wyszedł z więzienia. Zerknął na Michaela, uśmiechając się, a w słońcu zapłonął ognisty błękit jego oczu.

– Skąd ma pan tę kotkę? – zapytał.

Gdy Michael opowiedział mu całą historię o znalezieniu Tabor i ich wspólnej wędrówce po Zachodnim Wybrzeżu, kowboj roześmiał się, naprawdę głośno i naprawdę serdecznie.

– O rany, to ci dopiero opowieść!

Zjechał z autostrady, bo chciał wpaść na chwilę do domu. Z papierosem w palcach i ze zgrzytającą skrzynią biegów wioził ich wyboistymi wiejskimi drogami, mijając szachownice pól i małe, urocze miasteczka z witrynami sklepowymi rodem z westernów. Powietrze było przepełnione zapachem koni, dymu palącego się drewna i polnych kwiatów. Przed oczami migwały im nieurodzajne rancza i trawiaste pastwiska upstrzone końmi i krowami.

Zostawiwszy Michaela, Kyle'a i Tabor w samochodzie, po chwili wrócił z torbami pełnymi jedzenia, węgla drzewnego i płynnej podpałki do grilla.

Wysadził ich w pobliżu Indian Creek Reservoir, na przepięknych mokradłach przy trasie do Montany, zaopatrzonych w wiele mil łąk i szlaków wędrownych.

– Palicie trawkę? – zapytał, pomagając im wyjąć rzeczy z samochodu.

– Jasne – odpowiedział Michael.

W prezencie pożegnalnym dostali od niego duży słoik trawki, bibułki i plastikową zapalniczkę.

W parku przed nimi wyblakła od słońca trawa periwowa ciągnęła się aż po horyzont i kołysała na wietrze, falując we wszystkie strony jak wzburzone morze. Żadna przygód Tabor pomknęła przodem, ciągnąc za sobą swoją sześciometrową smycz i Michaela u jej końca. Zwolniła, by powąchać rosnące wzdłuż ścieżki kwitnące dzikie róże, co sprawiło, że Michael zaczął się zastanawiać, czy mała nie zatęskniła za domem, za porośniętym różami Portland.

Wędrowcy postanowili zostać w parku na noc i wyspać się porządnie przed dalszą drogą. Przystanęli, zdjęli plecaki i usiedli w morzu kołyszących się traw, by trochę odpocząć, a Michael przypiął smycz Tabor do swojego tobołka. Kotka natychmiast zaczęła podkradać się w wysokiej trawie, płosząc myszy i ryjówki, a Michael i Kyle wyciągnęli się na ziemi. Tabor podeszła ukradkiem do Michaela z uroczym, wielkookim myszakiem w pyszczku, który darł się wniebogłosy. Uniosła wzrok na Michaela i delikatnie złożyła zdobycz u jego stóp, by pochwalić się swoimi łowieckimi umiejętnościami.

– Och, Tabor – westchnął, patrząc, jak myszak daje dyla i znika w wysokiej trawie. – Wystraszyłaś to biedne stworzonko prawie na śmierć.

Podnieśli plecaki i wspięli się na samotny, obrośnięty sosnami stok, gdzie rozbili obóz, patrząc, jak słońce zatapia się w jeziorze. Przy jego brzegach pikowały nury rdzawoszyje, a schowane w gałęziach jodeł kurki wodne nawoływały się wesoło. Przesuwając wzrokiem po polach, Michael

objaśnił Kyle'owi i Tabor nazwy wszystkich ptaków wodnych, które wracały na noc w przybrzeżne trzciny.

Po zmroku rozpalili ognisko i ugotowali jedzenie otrzymane od kowboja: własnoręcznie złowionego łososia, grzyby, młode ziemniaki i brzoskwiniowy placek.

Gotując, Michael opowiedział Kyle'owi, jak dostał swoją pierwszą pracę w restauracji. Było to podczas jednej z jego ucieczek z domu w 1979 roku, gdy miał czternaście lat i sypiał przy torach kolejowych w rodzinnym miasteczku.

– Właśnie siedziałem w Webster Bar and Grill, gdzie zjadłem placki ziemniaczane z tostem – zaczął. – Otworzyłem stare siatkowane drzwi i już miałem uciekać bez płacenia, stwierdzając, że nie ma szans, żeby stojąca za grillem otyła kobieta mogła mnie dogonić. A jednak pojawiła się w drzwiach lotem błyskawicy. „Gdzie to się wybieramy?“, zapytała, tarasując przejście. „Chcesz uciec bez płacenia rachunku?“. „Tak“, odpowiedziałem. „Masz jakieś pieniądze?“, zapytała. „Ani centa“, przyznałem. „Chce ci się pozmywać naczynia czy mam wezwać policję?“ Postawiłem na to pierwsze, by spłacić swój dług. Kobieta okazała się właścicielką restauracji. Zmywanie szło mi dobrze, a ona być może mi współczuła. Koniec końców tego dnia zostałem zatrudniony. Przez pewien czas pracowałem na zmywaku, by potem awansować do pomocy w przygotowywaniu posiłków – podrzucałem jajka na patelni, piekłem biszkopty i przygotowywałem sosy. I tak wkręciłem się w branżę restauracyjną. Jako dziecko zawsze chciałem zostać szefem kuchni. Już w wieku ośmiu lat potrafiłem robić grillowane kanapki z serem i placek brzoskwiniowy.

– Ładnie pachnie – pochwalił Kyle, gdy Michael podał mu talerz.

– O rany, dziś jemy jak w Ritzu.

Tabor też była wygłodniała. Zanim Michael sam zasiadł do kolacji, napełnił jej miskę karmą Fancy Feast, ale kotka to zignorowała, domagając się jego łososia. Mimo że wołał nie zmieniać jej diety, dał kotce pół swojego fileta, a ona bezzwłocznie przystąpiła do konsumpcji tego niezwykłego rarytasu. Potem zapadła w płytki sen, z drgającymi wąsami i puchatą główką uroczo podpartą na złożonych łapkach.

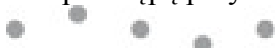
Obserwując najedzoną, śpiącą Tabor, Michael zaczął myśleć o tym, że życie może być bardzo samotne i monotonne, ale znalezienie kogoś, kto pomaga nam przez wszystko przejść, nadaje sens ciężkim próbom.

Michael i Kyle siedzieli do późnej nocy, rozmawiając i paląc trawkę, dopóki komary nie stały się zbyt krwiożercze. Michael włożył Tabor do jej przenośnego domku, wziął transporter i śpiwór i poszedł na niewielki pagórek pod rozłożystą sosną, która miała wchłonać poranną rosę i zapewnić im suchą noc.



Następnego dnia obudził się o pierwszym brzasku i wypuścił Tabor z transportera. Po zaserwowaniu jej śniadania i zaparzeniu kawy dla siebie i Kyle'a zwinął obóz. Zapalili jeszcze jednego skręta, a słoik z resztą trawki zostawili w zaroślach, by znalazł go ktoś inny. Marihuany było w nim tyle, że w Idaho za samo jej posiadanie można było trafić na dwa lata za kratki.

Gdy wrócili na główną drogę, zaczęli łapać stopa, starając się wyglądać jak najbardziej sympatycznie i jak najmniej groźnie. Idaho było wrogo nastawione nie tylko do autostopowiczów, ale i żebraków. W niektórych konserwatywnych, rolniczych miasteczkach zdarzały się wyjątkowo przerażające i gburowate typy, które potrafiły posłać człowiekowi kulkę, jeśli nie spodobałoby im się, jak na nie spojrział, a potem pewnie i kota obdarłyby ze skóry. Po niemalże całym dniu bezowocnych prób złapania okazji wrócili do parku, odszukali słoik z trawką, zjedli resztę jedzenia i zasnęli o zmierzchu pod kępą przydrożnych drzew.



Wyruszyli ponownie bladym świtem i po całym dniu marszu dotarli do Mountain Home. Wciśnięte między pustynię i góry miasteczko mogło poszczycić się wojskową bazą lotniczą,

kilkunastoma kościołami, rodeo i dorocznym festiwalem muzyki country. Nie schodziło ono ze stanowej czołówki miejscowości o najgorszych warunkach bytowych; panowały tu ekstremalnie upalne, suche lata, bezustannie zdarzały się pożary lasów, a stopa bezrobocia była wysoka, choć z drogiej strony miasto było dość ruchliwe.

Michael i Kyle zahaczyli o kilka stacji benzynowych w nadziei na znalezienie podwózki. Dzięki temu kierowcy widzieli ich, wjeżdżając, a podczas płacenia za benzynę mieli czas na podjęcie decyzji, czy zabrać autostopowiczów. Bezdomni napełnili butelki wodą, podładowali telefony i usiedli na zewnątrz ze swoją tabliczką i Tabor na smyczy, grając w karty dla zabicia czasu, aż przy drodze nie zrobiło się zbyt gorąco. Mogli łapać stopa tylko przez dwie godziny bardzo wczesnym rankiem i dwie późnym wieczorem, ponieważ chcieli oszczędzić Tabor tego piekielnego upału. Pili zbyt dużo, jedli zbyt mało, musieli znosić ciągle ukąszenia owadów i noce pod drzewami na pustych parcelach. Minęło pięć dni, a oni wciąż czekali na to, by móc opuścić Mountain Home, gdzie wszystko wyglądało na zakurzone, bezbarwne i wypłowiałe od gorącego, bezwzględniego słońca pustyni.

Szóstego dnia, siedząc w porannym słońcu przed wejściem na stację benzynową, pijąc spaloną firmową kawę i wdychając spaliny, Michael poczuł się do cna wyczerpany. Ze wszystkich podróży autostopem, które odbył w swoim życiu, ta była z pewnością najcięższa.

Gdy dla Tabor było już za gorąco, przenieśli się pod pobliskie centrum handlowe, gdzie znaleźli więcej cienia i przechodniów. Odpoczęli i podładowali telefony na parkingu przy Walmarcie. Kyle sprawdził, czy dostali jakąś odpowiedź w sprawie ich ogłoszenia na Craigslist Rideshare, i zaktualizował ich lokalizację.

Michael wziął kawałek kartonu, na którym spał poprzedniej nocy, i kolorowymi markerami napisał nową tabliczkę: „Ojciec z synem i ich kotka potrzebują podwózki do Montany”.

Tabor nie wyglądała na zbyt przejętą tym, że utknęli tu na tak długo – większość czasu i tak przespała. Leżąc na grzbiecie z zadowoloną miną, odwracała swój puchaty pyszczek do słońca niczym słonecznik. Z przymkniętymi oczami i podwiniętymi przednimi łapkami wyglądała tak słodko, że Kyle zrobił jej zdjęcie i zamieścił je na Facebooku z opisem: „Tabor w Mountain Home w Idaho”. Po chwili zastanowienia dodał: „Pierdol się, Mountain Home. Szósty dzień bez podwózki”.

Resztę popołudnia przesiedzieli, paląc papierosy i wymieniając uprzejmości z ludźmi, którzy zatrzymywali się, by pozachwycać się Tabor. Gdy upał zelżał, kotka obudziła się w iście szatańskim nastroju.

Spojrzała figlarnie na Kyle’a swoimi głębokimi zielonymi oczami zaprawionymi żółtymi plamkami dzikiego kota i ze sztubackim zacięciem zaczęła raz po raz nurkować przednimi łapkami w jego otwartym plecaku. Kyle włożył do środka dłoń i ją wyjął, machając do kotki w geście zapraszającym do zabawy. Przycupnęła z bezwzględnym wyrazem pyszczka, wbijając wzrok w jego rękę, jakby była ona osaczoną myszą. Nagle skoczyła, skubiąc Kyle’a po dłoniach i nadgarstkach, co wyglądało jak wstęp do zapasów.

– Auć, auć... Tabor, to boli – jęknął, próbując uratować dłoń przed jej miniaturowymi, ostrymi jak brzytwa siekaczami. – Tabor, puść.

– Mówiłem, że cię poszarpie. Nie zna różnicy między podgryzaniem a drapnięciem – powiedział Michael. Kyle opatrzył swoje krwawiące rany bitewne. – Przeszła jakąś traumę. Pewnie dlatego jest taka twarda i postawiła się tamtemu niedźwiedziowi. Gdyby nie Tabor, podszedłby bliżej i pożarł Stinsona.

Michael skręcił sobie papierosa, wypełniając bibułkę tytoniem i sklejąc ją językiem.

– Powinniśmy po prostu ruszyć w drogę – stwierdził, podnosząc się. – Nie chcę spędzić tu reszty życia.

Ściemniało się dość szybko i Michael chciał znaleźć schronienie.

– Sądzę, że powinniśmy wskoczyć do jakiegoś pociągu towarowego – zaproponował Kyle.

– Jasne, zaraz wyjmę swoją czarodziejską różdżkę i wyczaruję jeden – odparł Michael, zbierając rzeczy i przygotowując się do drogi. Gdy na parking padały ostatnie promienie zachodzącego słońca, podszedł do nich jakiś jegomość. Miał ogoloną głowę i pierścionki z czaszkami na palcach, a ubrany był w krótkie szorty i coś, co przypominało biały, jutowy worek. Na jego umięśnionych nogach wiły się

wytatuowane niebieskie węże, a wyżej wisiał pas na broń z sześciostrzałowymi rewolwerami przy obu biodrach. Oprócz tego do uda miał przypięty pistolet kalibru dziewięć milimetrów, a przy jego nodze szedł budzący grozę błękitno-szary pitbull.

– Wy z tego ogłoszenia? – zapytał.

– Eeee... Tak, to my – odpowiedział z wahaniem Kyle, myśląc, że facet musiał ich rozpoznać ze zdjęć na Craigslist.

– No cóż, ja nazywam się Jezus Chrystus i dziś jest wasz szczęśliwy dzień. Mam dla was podwózkę – powiedział i odszedł.

Gdy nieznajomy znalazł się już poza zasięgiem słuchu, obaj zaczęli tarzać się ze śmiechu.

– Co to było? – zapytał Kyle.

– Nie mam pojęcia – odparł Michael. – Ale przerażające, nie?

– Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Michael nie wiedział, czy facet próbował ironizować, czy był jakimś uzbrojonym przydrożnym kaznodzieją. Tak czy siak, po pobycie w katolickich szkołach, w których aż roiło się od niecnych księży, miał się na baczności przed religijnymi ludźmi. Ale jakieś dziesięć minut później, gdy już kończyli się pakować, zatrzymała się przed nimi niebieska, czterodrzwiowa toyota corolla.

Zza szyby od strony pasażera wychyliła się głowa Chrystusa.

– A oto i wasza podwózka – skinął w stronę rozchełstanego kierowcy o zapadniętych policzkach i brudnych, rzadkich włosach. – Jedzie dziś do Dillon w Montanie.

– Stary, to by było super – powiedział Michael. Jego brat bliźniak, JP, jedyny z rodzeństwa, z którym Michael nieregularnie utrzymywał kontakt, mieszkał właśnie w Dillon, zaledwie parę godzin jazdy od domu Waltera.

Kyle trochę kręcił nosem, ale po chwili chwycił plecak i poszedł za Michaeliem i Tabor do samochodu.

Michael stwierdził, że apostoł Chrystusa przypomina starego ćpuna, a sam Jezus wygląda, jakby szykował się do morderstwa, ale pomyślał: „A co tam... Wszystko, byle tylko wydostać się z Idaho”.

Większą część tylnego siedzenia zajmował pitbull Jezusa, który nie wyglądał na zbytnio ucieszonego ich widokiem. Patrzył przez szybę na Tabor, ale ze swojej grędy w ramionach Michaela kotka wytrzymała jego spojrzenie. W Portland miała wielu psich przyjaciół, a Michael przypominał sobie tylko jednego psa, którego nie darzyła sympatią i który nauczył się omijać ją szerokim łukiem. Teraz jednak, gdy była zaprawionym w boju kotem podróżnikiem, niestraszne jej były nawet pitbulle.

Jezus wypchnął psa na przednie siedzenie, a z tylnego zrzucił puste puszki po napojach energetycznych i papierki po batonikach. Na podłodze leżała brudna szklana lufka.

– A więc zamierzacie nas zabić czy podwieźć? – zapytał Michael półzartem, gdy ładowali swoje rzeczy do samochodu.

– Nie zabijemy was. Ale jeśli chcecie się załapać na podwózkę, to się sprężajcie – odparł Jezus. Wyjaśnił, że broń nosi dla ochrony, bo zazwyczaj podróżuje samotnie. Żeby wejść do Walmartu, musiał ją ukryć pod jutową narzutką.

Jezus zabrał się z nimi tylko do swojego samochodu, który zostawił dwie przecznice dalej, przed ogromną białą bryłą kościoła. Wieńczący ją niebieski neonowy krzyż błyszczał jak latarnia morska w gasnącym świetle dnia. Przed kościołem stał lśniący cadillac w miętowym kolorze. Tablica rejestracyjna składała się tylko z dwóch liter: „JC”.

– Mam ciarki – powiedział Michael do Kyle’a, bezgłośnie poruszając ustami.

– Mój przyjaciel zabierze was, gdzie chcecie – powiedział Jezus, gdy podjeżdżali do cadillaca, po czym wysiadł razem z psem.

Po zniknięciu Jezusa i jego psa z piekła rodem kierowca raz po raz odwracał się do nich, zadając standardowe pytania o to, skąd pochodzą, i o kota, tu i ówdzie bąkając coś o sobie. Podawał się za farmera z Idaho jadącego z wizytą do mieszkającej w Montanie żony.

Nie wyglądał na żadnego farmera. Michael był pewien, że jest narkomanem uzależnionym od metamfetaminy – miał tik nerwowy, przekrwione oczy, zepsute zęby – a przed nimi było prawie trzysta

mil. Michael powiedział kierowcy, że utknęli w Mountain Home na prawie tydzień, ale ostatni facet, który ich podwoził, sprezentował im trochę trawki.

Słyszając to, amator metamfetaminy nagle się podekscytował.

– Możemy najpierw zapalić – powiedział, rzucając serię szybkich, maniakałnych spojrzeń na tylne siedzenie.

Michael podał mu słoik. Kierowca zrobił skręta, zapalił, kilka razy głęboko się zaciągnął, obsypując się popiołem, i podał go Kyle'owi.

– Wydmuchuj przez szybę – polecił Michael. – Nie chcę mieć kota na haju.

Gdy wszyscy skończyli palić, Kyle przeniósł się na fotel pasażera, a narkomański apostoł Chrystusa ruszył z piskiem opon. Mknął po bocznych drogach przecinających pola ziemniaków, a na autostradzie przyspieszył jeszcze bardziej.

Trzydzieści mil za Mountain Home zdał sobie sprawę, że została mu tylko jedna trzecia baku, a przed nimi była głównie pustynia, więc pospiesznie wrócił do miasta na stację benzynową. Na autostradzie jechał brawurowym slalomem między ciężarówkami i innymi pojazdami. Michael trzymał mocno Tabor, choć ta zasnęła mu na kolanach, zupełnie nieprzejęta całym tym kołysaniem i zapachem palonych opon.

– Wiecie, Jezus też był bezdomny – odezwał się kierowca, patrząc na Michaela we wstecznym lusterku. – I spędził czterdzieści cztery noce na pustyni.

– Ja spędzam na ulicy każdą dobę – odparł Michael. – Nie żebym się porównywał do Jezusa czy kogoś takiego, ale na bank spędziłem na niej jakieś czterdzieści tysięcy cholernych nocy.

Nie zdejmując rąk z kierownicy, narkoman odwrócił się do niego.

– Można powiedzieć, że wszyscy jesteśmy zbłąkanymi owieczkami.

– Uwaga! – krzyknął nagle Kyle. – Królik!

Zamiast ominąć zwierzę, facet z premedytacją skręcił w jego stronę, zjeżdżając z pasa na ciemnej autostradzie. Gdy po drugiej stronie jezdni zauważył kolejnego królika, gwałtownie szarpnął kółkiem, raz jeszcze skręcając, by go przejechać.

Jako osoba, która samotnie przemierzyła autostopem tysiące mil, Michael poległ na swoim instynkcie i rzadko czuł, że był w niebezpieczeństwie. Ale gdy tylko minął mu haj, pomyślał: „Co ja miałem, do cholery, w głowie?”.

Kyle był przekonany, że facet ich zabije, a widząc jego przerażoną minę, Michael zwrócił się do kierowcy:

– Hej, może zmienię cię za kółkiem, żebyś sobie odpoczął?

Nie prowadził już od wielu lat, odkąd parę razy złapano go na jeździe pod wpływem alkoholu w Montanie i Missouri, ale chciał powstrzymać tego ćpuna przed pozabijaniem wszystkich dzikich zwierząt – i swoich pasażerów.

Kierowca wyglądał, jakby mu ulżyło, wcisnął hamulec i zatrzymał się na zwirowanej zatoczce, nie wyłączając silnika. Wysiadł, otworzył po omacku tylne drzwi i rzucił się na siedzenie. Michael oddał Tabor Kyle'owi i zajął miejsce kierowcy. Na początku czuł się dziwnie za kółkiem, jakby nawiedziło go mgliste wspomnienie z poprzedniego życia, ale powoli włączył się do ruchu na opustoszałej, pogrążonej w ciemności dwupasmówce i przejechał ostatnie dwieście mil pustynnego terenu.

Jazda samochodem przypominała Michaelowi jedyne rodzinne wakacje w jego życiu, gdy w połowie lat siedemdziesiątych przemierzał furgonetką z rodzicami i rodzeństwem parne Południe. Przejechali wtedy przez oświetlone blaskiem księżycy hrabstwo Bayou w Luizjanie, a o świcie obudzili się już na słonecznej Florydzie. Gdy wyjechali z Missouri, wydawało się, że wszystko, co przed nimi, będzie lepsze, ale kiedy trafili na miejsce, nic się nie zmieniło: matka Michaela wciąż była surowa, a ojciec emocjonalnie zdystansowany. Jednak Michael nigdy nie zapomniał tego uczucia, tej obietnicy, że wspólna podróż jakoś naprawi ich rodzinę.

Rozciągająca się wzdłuż autostrady I-15 górzysta pustynia Idaho przeszła w wysokie równiny, które z kolei, kiedy wędrowcy przekroczyli granicę z Montaną, ustąpiły miejsca lasom pięknych, stuletnich drzew. Michael widział tańczące w świetle reflektorów ćmy. Tabor spała na kolanach Kyle'a

z drgającymi łapami i wąsami, śniąc o swoich kocich przygodach. Przez uchyloną szybę do samochodu wpadały podmuchy ciepłego wiatru.

Michael włączył radio i zaczął słuchać *Devils & Dust* Bruce'a Springsteena, refleksyjnej, pełnej smutku melodii, która o pierwszej w nocy wydawała mu się zaskakująco radosna. Poczuł, że tak właśnie powinna wyglądać rodzinna wycieczka – z wyłączeniem uzależnionego od metamfetaminy narkomana, który spał na tylnym siedzeniu.

Jadąc autostradą MT-41, dotarli do Dillon, uroczego preriowego miasteczka w krainie hodowców bydła. Wciąż było zbyt wcześnie, by złożyć wizytę bratu Michaela, a JP i tak nie znalazłby miejsca, by ich wszystkich ugościć. Miał chorą żonę, dwa koty i wystarczająco dużo własnych problemów. Tak więc Michael zatrzymał się przed Muzeum Historii Indian, które stało naprzeciwko domu JP. Włożył Tabor do transportera, zabrali z Kyle'em swoje rzeczy, obudzili kierowcę i podziękowali mu za podwózkę.

Pomachali mu na pożegnanie, patrząc, jak tylne światła jego samochodu znikają w oddali. Michael zarzucił plecak na ramiona, podniósł koci domek i poczłapali z Kyle'em bokiem drogi, zmarnowani i wycieńczeni. Postanowili przespać się pod gwiazdami na skwerze nieopodal muzeum, gdzie Michael kiedyś obozował. Musieli przejść przez ogrodzenie, ale na szczęście po obu jego stronach stały drabiny.

Gdy już dostali się do środka, Michael przypiął Tabor smycz i wypuścił ją z transportera na trawę. Z drepczącą u ich boku kotką ruszyli w stronę ogromnego, spróchniałego dębu.

– Możemy spać tutaj – powiedział Michael, spoglądając na księżyc w kształcie rogala. – A rano złapiemy okazję do Heleny.

Zrzucili plecaki i rozłożyli śpiwory nieopodal wydeptanych zarośli. Michael włożył Tabor z powrotem do transportera, a Kyle ściągnął buty, położył się na swoim pościeliu i momentalnie odpłynął, jakby właśnie spadł z nieba. Michael leżał w śpiworze, słuchając chrapania Tabor przy głowie.

Wpatrując się w księżyc, zaczął rozmyślać o słowach narkomana: był jak ta zbłąkana biblijna owieczka. Całe życie uciekał. Wiedział, co było źródłem jego gniewu i niespokojnego ducha, ale nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić. W ciągu ostatnich dziesięciu lat myślał o sobie jako o człowieku samotnym, a przez większość czasu czuł się również zagubiony.

Teraz, z Tabor u boku, chciał zostawić za sobą przeszłość i znowu zacząć żyć, a nie tułać się po kraju jak dusza, która nie zaznała spokoju. Przede wszystkim zaś chciał zapewnić swojej kotce lepsze życie. Jak wspaniale się czuł, mając kogoś, na kim mu zależało i dzięki komu zmieniał się jego nastawienie.

Księżyc był tak jasny, że oświetlał piękne czerwone kwiaty otaczające dąb. Michael był podekscytowany i nie mógł spać. Usiadł w śpiworze, by zapalić, myśląc o następnym dniu i krótkiej wizycie u JP. Tej nocy kilkakrotnie zapadał w sen i nagle się budził; w pewnej chwili usłyszał pohukiwanie, a gdy spojrział w górę, zobaczył ogromnego puchacza. W niezmaconej ciszy mógł złowić uchem wyjące w oddali kojoty i małe nocne żyjątka szeleszczące w zielonym podszyciu.

Gdy ponownie odpłynął w sen, zaczęło już świtać i zaraz potem Tabor rozpoczęła swoje arie, starając się obudzić towarzystwo. Michael i Kyle wstali, zebrali rzeczy i poszli do mieszkającego po drugiej stronie ulicy JP. Spotkali się z nim, jego żoną i kilkoma znajomymi z ich czynszówki. Potem JP podrzucił ich na pastwisko, na którym Michael obozował podczas jednej ze swoich ostatnich wizyt.

Byli na ostatniej prostej w drodze do Waltera – i do długich, odprężających wakacji z dala od wszystkiego.



Rozdział siemnasty

Czarna magia

Tymczasem w Portland Ron spoglądał przez okno ryzalitowe w swoim salonie. Był piękny weekend na początku czerwca. Wrony obsiadły gałęzie jaworów, a magnolia była w pełni rozkwitu. Przez otwarte okna i siatkowane drzwi werandy wpadał ciepły wietrzyk, roznosząc po chodniku płatki i wydymając zwiewne, białe firanki jak żagle.

Ron zawsze był podekscytowany widokiem pierwszych oznak lata, ale teraz rzadko wychodził z domu; wyjątek stanowiły praca w sklepie z gitarami i zakupy na rogu. Zamknął się w sobie i swojej samotności, często za jedyne towarzystwo mając koty. Jego przyjaciele, którzy urządzali grille, chodzili na festiwale, odwiedzali kina pod chmurką w Berkeley Park i robili sobie weekendowe wypadki za miasto, próbowali wyciągnąć go ze skorupy. Tego wieczoru Evanowi udało się namówić Rona na kolację w Pok Pok, jego ulubionej tajskiej restauracji, położonej kilka przecznic od Division Street, czyli centrum kulinarnego Portland.

Pod koniec weekendu, który spędził pod znakiem sprzątanania i zakupów, Rona uderzyła, jak ją nazywał, czarna fala. Dla poprawy nastroju zmusił się do wstania z łóżka i spaceru w parku; chciał odetchnąć świeżym powietrzem i wyjść między ludzi, ale zdołał dotrzeć tylko do końca przecznicy. Koniec końców resztę popołudnia spędził na sofie, słuchając stacji radiowej z klasycznym rockiem. Jednak zawodzenia Bonnie Tyler o złamanym sercu, która przez radio terroryzowała zarówno jego, jak i Creta, wcale nie poprawiły mu nastroju.

– Czy to naprawdę muzyka? – zapytał swojego kocurka, który z przerażenia zagrzebał się w poduszkach sofy. Musiał coś zrobić, żeby dotrzeć do wieczoru i pojawienia się Evana.

Jak na zawołanie przez siatkowe drzwi wślizgnął się Jim, miaucząc chrapliwie. Jego kity zdobily strzępy liści. Jimowi zdarzało się naciskać łapami na klamkę drzwi prowadzących na werandę i je otwierać – była to praktyczna sztuczka, której nauczył Matę i Creta, by mogły wymykać się z domu, kiedy tylko przychodziła im na to ochota. Ron przeliczył, że w swoim krótkim, zaledwie trzyletnim życiu Mata zniknęła łącznie na piętnaście miesięcy. Podniósł rozmruczanego Jima i głaszcząc go, oczyścił mu ogon z liści.

Creto leżał rozparty na sofie obok niego, pochłonięty czynnościami toaletowymi; ścisnął swoją białą łapkę w piąstkę jak bokser, lizał ją, a następnie wkładał sobie do uszu. Ron zawsze uważał to za przekomiczne, ale ostatnio Creto zaczął przesadzać z higieną, wyskubując sobie sierść z brzuszka i łap. Wyglądał, jakby miał parch, ale w rzeczywistości cierpiał na kocie zaburzenia lękowe i rozpaczął po stracie siostry. Weterynarz przepisał mu różne leki i olejki na skórę, ale nic nie pomagało. Od zniknięcia Maty Creto spędzał większość czasu, chodząc za Ronem po domu i ogrodzie, a każdego wieczoru przesiadywał smutny na werandzie w oczekiwaniu na powrót siostry.

Minęło dziewięć miesięcy, a Ron wciąż nie mógł pogodzić się ze zniknięciem kotki. Jej strata była wszystkim, o czym potrafił myśleć. Każdego dnia tęsknił za nią i jej uroczymi zwyczajami: jak oplatała mu się wokół ramion, gdy siedział przy biurku; jak podczas deszczu siadywała pod uniesioną klapką kocich drzwiczek, która służyła jej za parasol; jak lubiła oliwę z oliwek z pierwszego tłoczenia, którą spijała łapką z filiżanki do espresso. Gdzie nie spojrzął, wszędzie pełno było wspomnień o niej. Za każdym razem, gdy Steve wychodził, a Ron zostawał sam w domu, uderzała w niego czarna fala. Czasami chował się na poddaszu, by móc się w spokoju wypłakać. Nie chciał, żeby jego przyjaciele zobaczyli, w jak głębokiej jest depresji, nie chciał, żeby go oceniano, nie chciał słyszeć: „To tylko kot” albo „Czemu nie sprawisz sobie innego?”.

Kilka dni wcześniej zadzwonił ponownie do Rachel, zwierzęcego medium, i zostawił jej wiadomość, że nawiedza go dręczące poczucie, iż Mata gdzieś tam jest, a on sam jest bliski szaleństwa.

Rachel oddzwoniła do niego następnego dnia, mówiąc, że ją z kolei nawiedził bardzo silny sen, który spowodował dwudziestoczterogodzinną paralizującą migrenę.

W tym śnie, jak mówiła, „Mata przyszła do mnie z raju. Powiedziała mi, że jest tam szczęśliwa. Chciała, żebym ci powiedziała, że bardzo cię kocha, tęskni i żebyś się o nią nie martwił. Powiedziała też, że mimo iż krótkie, jej życie z tobą było wspaniałe. Ale są też rzeczy, o których nie chce, żebym ci mówiła, takie jak szczegóły jej śmierci i miejsce, gdzie leży jej ciało”.

Ron słuchał w milczeniu, ale jedynymi słowami, które zarejestrował, były „śmierć” i „ciało”. Krew uderzyła mu do głowy.

– O Boże – wykrztusił, czując zbliżającą się falę paniki. – Przepraszam, muszę kończyć.

Zrozpaczony, natychmiast zadzwonił do Suzy. Nie rozmawiał z nią, odkąd Jack zdewastował mu dom i samochód i się wyprowadził. Ron zrelacjonował jej rozmowę z Rachel, ale Suzy powtórzyła to, co powiedziała mu wiele miesięcy wcześniej: że w tamten długi weekend wyjechali z Jackiem za miasto.

Pomimo złowróbnego wieszczenia Rachel Ron nie mógł pozbyć się uczucia, że Mata wciąż żyje.

Wraz z zapadnięciem wieczoru stał się osobiście rozgorączkowany i nadmiernie podekscytowany. Próbuąc się uspokoić, przypomniał sobie coś, co opowiedziała mu kiedyś babcia: podczas wojny secesyjnej rodziny żołnierzy stawiały dla nich w oknach zapalone świece, które niczym latarnia morska wskazywały okaleczonym wojną mężczyznom drogę w ciemności, przyzywając ich do bezpiecznego domu. Ponieważ Ron znalazł tylko jedną na wpół wypaloną świecę, poszedł do sklepu na rogu i kupił kilka tuzinów czerwonych zniczy, które porozkładał po domu, na parapetach i szklanej ławie w salonie.

Zapalił znicze i wkrótce całą przestrzeń wypełniła czerwona poświata. Gdy kończył, do drzwi zapukał Evan. Creto, który bał się teraz wszystkich i reagował nerwowo na każdy hałas, usłyszał go, zanim jeszcze wszedł na werandę – kocurek pchnął siatkowe drzwi, gnając ile sił w łapach do Rona, by zaalarmować go o zbliżającym się intruzie.

– O mój Boże – powiedział Evan, drobny facecik o krótkich, miedzianobrazowych włosach, bladej irlandzkiej cerze i z dziewczęcymi tatuażami motylków na przedramionach. Stał w progu, rozglądając się po salonie i próbując powstrzymać wybuch śmiechu. – Twoja chałupa przypomina dom z *Egzorcysty*. Próbujesz puścić ją z dymem?

– Dobrze – przyznał Ron, uśmiechając się lekko.

– A czy nie byłoby bardziej logiczne przejść przez ulicę i podpalić dom tego żalostnego drania?... Najlepiej z nim w środku.

Evan zawsze miał rewelacyjne poczucie humoru. Zanim został fotografem, pracował dla jednego z brytyjskich brukowców, wymyślając podpisy do fotek półnagich kobiet, pokroju: „Zdecydowana Debbie... zdecydowanie miseczek C”. Rona przyciągał jego bystry umysł i drobne dziwactwa – potrafił z miejsca rzucić zabawnym komentarzem w stylu: „Wybrali nowego Bonda, który ma tylko jedną brew”.

– A w ogóle to od kiedy jesteś takim mistykiem?

– Odkąd moje życie legło w gruzach – odparł Ron, podnosząc i przytulając Creta. – Tak bardzo za nią tęsknię.

– Słuchaj, wiem, że za nią tęsknisz – powiedział Evan współczująco, przysiadając na oparciu sofy obok Rona. – Ale to zakrawa na wariactwo.

– Creto też za nią tęskni. Wieczorami nie chce wejść do domu i słyszę tylko jego miauczenie na werandzie – odrzekł Ron, stawiając na sofie kocurka, który na powrót zwinął się w czarny, puchowy kłębek. – Spójrz na niego. Łysieje i strasznie chudnie. Skrada się po domu i chowa w materacu, w którym wykopał sobie mały dołek. Za każdym razem, gdy słyszy dzwonek u drzwi, ucieka do zatęchłej piwnicy. Ściągnął tam sobie z półki stary koc i urządził gniazdko. Już nie robi małych awanturniczych wojaży i przestał odwiedzać sąsiadów. Jedynym, co poprawia mu nastrój, są lody miętowe.

– Karmisz kota lodami miętowymi?

– Tak, uwielbia je – potwierdził rozkojarzony Ron. – Może powinienem poszukać zaklinacza kotów.

– Dla Creta?

– Nie, kogoś, kto potrafi komunikować się ze zwierzętami i będzie w stanie odnaleźć Matę.

– Czyś ty rozum postradał? – zapytał Evan.

– Chyba tak. Nie wiem, co się z nią stało, i to mnie dobija. Ciągle mam koszmary, że ją tracę, że huragan wrywa mi ją z ramion. Albo że ją widzę, ale nie mogę do niej dotrzeć. Zeszłej nocy śniło mi się, że jestem w jakieś starej, zrujnowanej rezydencji pełnej pajęczyn i zapieczętowanej jak kapsuła czasu. Idę po niekończących się schodach, podążając za cieniem kota. Im wyżej, tym jest to większa i bardziej tajemnicza ruina. Nagle przenoszę się na jakiś zadrzewiony, postapokaliptyczny teren. Wszędzie jest pełno błota, a ja i Creta szukamy Maty. W oddali ciągle widzę wychudzoną małą kotkę z poranionymi łapkami, która próbuje wydostać się z lasu i wrócić do domu.

– Palenie świeczek nie sprowadzi jej do domu. I musisz się przygotować na to, że może nie żyć.

– Przestań – warknął Ron. – Ona żyje.

Widząc rozpacz w oczach przyjaciela, Evan przytulił go mocno. On też kochał Matę, ale coraz bardziej martwił się o stan psychiczny Rona.

– Jestem pewien, że gdzieś się świetnie bawi – powiedział, by go pocieszyć.



Rozdział dziewiętnasty

Dillon, Montana: święte krowy

Był dziesiąty czerwca, jeden z tych rozlanych letnich dni, gdy powietrze jest nieruchome, a błękit nieba aż kłuje w oczy swoją intensywnością. Michael, Kyle i Tabor znaleźli się za rogatkami Dillon i łapali okazję do Heleny, przemierzając pieszko zakurzone, puste drogi donikąd. Do południa na tym parującym od upału pustkowiu spotkali tylko zająca, który czmychnął w skarłowaciałe krzaki, i stado dzikich indyków wymykających się z pozółkłej, suchej trawy, by podziobać ziemię.

Minęli stojącą przy cichej wiejskiej drodze samotną czerwoną stodołę z przybitą do bramy przekrzywioną tabliczką: „Intruzi zostaną zmiażdżeni na śmierć”.

– To nieco surowa kara – zaśmiał się Kyle. Oparł się o bramę swoim długim, smukłym ciałem, a krople potu kapały mu z twarzy. – Już nie dam rady iść. Mam stopy całe w bąblach.

Ciągnąca się za bramą ścieżka zarośnięta była skąpymi chaszczami i falbaniastymi białymi kępkami ogromnego barszczu. Za stodołą stał zrujnowany dom otoczony topolami.

– Chodź – powiedział Michael, odwracając się. – Jeszcze tylko kilka kroków, zaraz znajdziemy jakiś cień.

– Nie dam rady – jęczał Kyle, przysiadając na kępie miękkiego, poduszkowatego zielonego mchu, wyczerpany upałem i dźwiganiem ciężkiego plecaka. – Czuję, jakby stopy mi krwawiły.

– Nie dotykaj barszczu, bo będziesz miał wysypkę jak od bluszczu.

Michael ruszył dalej i w końcu Kyle podniósł się i poszedł za nim, powłócząc nogami z nadąsaną miną i wzrokiem wbitym w ziemię. Obaj byli zmęczeni i rozdrażnieni, ale nawet jeśli zdarzyło im się pokłócić, to szybko się godzili. Kyle mawiał, że ich przyjaźń jest jak rzeka: można wrzucać do niej kamienie, które robią zmarszczki na wodzie czy nawet przecinają taflę z wielkim pluskiem, ale rzeka nie przestaje płynąć.

Kotka także była marudna i od dobrych kilku mil uskarżała się na swój los z plecaka Michaela.

– Musi dostać obiad – orzekł Michael, gdy mijali pola. – Kiedy jest zbyt głodna i zgrzana, budzi się w niej prawdziwy tygrys.

Kyle stanął w pół kroku, a cała twarz nagle mu spąsowiała.

– O Boże! – powiedział.

Poirytowany Michael odwrócił się do niego.

– O co chodzi tym razem? Stopa ci odpadła?

– W trawie pełza olbrzymi wąż.

Michael przystanął i obejrzał się.

– Jakiego kształtu jest jego głowa?

– Co? Trójkątne. I syczy na mnie.

– Jadowite węże mają zazwyczaj trójkątne głowy.

– Żartujesz sobie, prawda?

– Nie, jestem śmiertelnie poważny. Ale jeśli nie owinął się wokół twojej nogi, to nic ci nie grozi.

Niektóre niejadowite węże też mają trójkątne głowy i naśladują te groźne.

Michael zawrócił, by z bezpiecznej odległości samemu przyjrzeć się gadowi. Wąż był beżowy w brązowe plamy.

– To tylko grzechotnik preriowy – powiedział. – Nie jest agresywny, po prostu go przestraszyłeś. Zachowaj spokój i powoli się cofnij.

Kyle zrobił, co mu kazano, omijając węża szerokim łukiem, po czym zaczął biec, jakby stąpał po rozżarzonych węglach.

– Jest mały, wygląda mi na młodego osobnika – dodał Michael, doganiając Kyle'a. – Najgroźniejsze jest ukąszenie młodych, bo jeszcze nie zdążyły się nauczyć regulować ilości wyplwanego jadu.

– Czemu wszystko na tej prerii chce człowieka zabić?

– Nieprawda. W gruncie rzeczy jest tylko parę zwierząt, które są w stanie to zrobić. Proste: jeśli zostawisz je w spokoju, one zostawią w spokoju ciebie. Grzechotniki są tak naprawdę bardzo pięknymi i ważnymi członkami lokalnej społeczności.

Kyle spojrział na Michaela jak na wariata.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę żadnego węża.

Przeszli przez ogrodzenie i znaleźli się na pagórkowatej łące, na której zeszłego lata Michael rozbił obóz w drodze do domu Waltera. Mijając kamienne koryto dla bydła, Michael postawił Tabor na ziemi, pochylił się, zaczerpnął wody i ochlapał sobie twarz. Potem zmoczył także sierść kotki, by ją nieco schłodzić. Wyglądała na zadowoloną; stała spokojnie przy korycie i mruczała.

Michael zaprowadził ich w swoje sekretne miejsce, gdzie rzucili się na ziemię w cieniu kwitnących topoli, których srebrzystobiałe gałęzie ciągnęły się aż do ziemi. Wypakował kilka rzeczy i zmienił Tabor smycz na dłuższą, po czym przypiął kotkę do ramienia plecaka, by trochę sobie pochodziła, ale nie mogła uciec.

Kilkaset jardów dalej, na grzbiecie wzgórza pojawiła się samotna krowa, do której po chwili dołączyło jeszcze parę koleżanek. Za każdym razem, gdy Michael podnosił wzrok znad plecaka, w którym szukał kocich misek, widział, że stado powiększało się o kolejną krowę.

Dla zabicia czasu przed dalszą drogą Kyle wyjął radio i talię kart.

– Może zagramy w wojnę albo coś? Przegrany rozdaje w następnej partii. Bez stawiania pieniędzy.

– Niech będzie, bo jestem splukany – powiedział Michael. Wyłożył zawartość puszek Fancy Feast do miski Tabor i zajął się skręcaniem papierosa.

– Albo możemy zagrać na grosiki – podsunął Kyle, wyjmując z plecaka garść miedziaków. – Zobacz, znalazłem jeden z datą twoich urodzin... Rocznik 1916.

Michael przypomniał sobie ciepłe letnie noce w swoim domu w St. Louis, które wraz z Mercerem spędzali, grając w pokera z przyjaciółmi. Przez pewien czas dzielili to trzypokojowe mieszkanie z jeszcze jednym lokatorem, a niekiedy ich dom przypominał prawdziwą noclegownię, przez którą przewijało się całe mnóstwo ludzi i różnego rodzaju używek. Michael mawiał, że on i Mercer to współnicy „zbrudni”.

– Nauczę cię prawdziwej gry w pokera – powiedział Michael, skręcając sobie papierosa.

– Fajnie – odparł Kyle, słuchając go jednym uchem. Był zajęty wydłubywaniem z niemalże pustego słoiczka resztki masła orzechowego, którym chciał posmarować im kanapki. – Gdzie nauczyłeś się grać?

– W Montanie.

– Od Waltera?

– Nieee – odpowiedział Michael i zapalił papierosa. – Nauczyłem się grać, kiedy miałem szesnaście lat. Byłem krupierem podczas prywatnej partyjki w pewnym domu. Nie zaszkodziło, że oprócz tego umiałem jeszcze robić drinki. Gdy mieszkałem z Mercerem w St. Louis, co niedziela urządzaliśmy u siebie pokera. Przychodziły nawet różne sławy, na przykład jeden z Hiltonów. Był przyjacielem naszego dawnego gospodarza i nie grał zbyt dobrze. Myśleliśmy, że trochę zarobimy, ale facet był skąpy. Gdy tracił dwadzieścia pięć dolarów, pasował. A ja wygrywałem siedem razy na dziesięć.

– Oszukiwałeś wszystkich?

– Nie, po prostu wiedziałem, jak grać. Jako siedemnastolatek byłem krupierem blackjacka w kasynie w Montanie. Umiałem rozpoznać, którzy gracze są najsłabsi.

Michael zaczął rozdawać karty. Przerzuwając, by zgasić papierosa, spojrział przez ramię i zauważył, że stado krów na grzbiecie wzgórza urosło jeszcze bardziej.

Jednak to Tabor jako pierwsza zrozumiała, że nastroje na wzgórzu zaczynają się zmieniać. Podniosła wzrok znad miski, a gdy spojrzała w dal, wybałuszyła oczy i zaczęła strzyc uszami. Ogon jej się napuszył, a sierść na grzbiecie zjeżyła, przez co przypominała małą kolczatkę. Efektu dopełniły obnażone kły. Widać było, że jest bardzo wystraszona; warczała i prychała jak opętana.

– O cholera – powiedział Michael, raz jeszcze spoglądając przez ramię. Stado zdążyło już urosnąć do ogromnych rozmiarów i zaczęło być niespokojne. Przywódcy z pierwszych szeregów wystawili rogi i gapili się w ich stronę. Był początek lata – okres cielenia się – a w tym czasie krowy potrafią być terytorialne i nadopiekuńcze względem swoich młodych. Michael pracował kiedyś na mlecznej farmie i wiedział, że jeśli krowa wpatruje się w ciebie intensywnie, to na pewno zaraz ruszy i rozpocznie natarcie. A teraz mieli do czynienia z krowami długorogimi, które do najłagodniejszych nie należały.

Michael zerwał się na równe nogi, gdy zobaczył, że stado ruszyło i zbiega ze wzgórza w ich kierunku. Przypiął smycz Tabor, zanim zdążyła czmychnąć, narzucił plecak i nim się obejrzał, kotka wpadła w dziki szal. Próbowwała ściągnąć sobie obrózkę, gryzła smycz, rzucała się na ziemię, ciągnąc, wierzgając i kopiąc gniewnie jak miniaturowy, dziki mustang. Gdy Michael próbował ją podnieść, wbiła pazury w jego przedramię, rozdzierając mu skórę aż do krwi. Ledwie był w stanie ją utrzymać.

– Musimy uciekać! – krzyknął do Kyle'a, ściskając w ramionach kotkę. – Pakuj wszystko najszybciej, jak się da!

– Co, do cholery? – zaczął Kyle, na chwilę nieruchomiejąc jak jakiś leśny stwór. Ich rzeczy były porozrzucane wszędzie. Zaczął gorączkowo wciskać wszystko do plecaka, ale robił to tak szybko, że niektóre rzeczy od razu się z niego wysypywały.

Nagle ziemia się zatrzęsła. Dziesiątki smukłych rogów przedzierały się przez porastające wzgórze drzewa, będąc coraz bliżej. Nacierало na nich ogromne, rosnące w oczach stado, rycząc, zderzając się rogami i ryjąc kopytami ziemię.

Ściskając w ramionach Tabor, Michael ponaglił Kyle'a, a potem ruszył w stronę gęstego zagajnika topoli, myśląc, że krowy nie zaryzykują wplątania się w ich gałęzie. Kotka piszczała i drapała, próbując oswobodzić się z jego rąk i skoczyć na najbliższy konar. Jej małe serduszko biło jak oszalałe. Przerazona wbiła kły i pazury w dłonie Michaela, bezlitośnie je kalecząc. Ale on nie czuł bólu. Za bardzo się bał, że ją upuści i zostanie stratowana przez nadciągające kopyta.

Krowy były już o jakieś pięćdziesiąt jardów od nich i zbliżały się w zastraszającym tempie. Michaela dręczyła myśl, że nie zdążą dobiec do ogrodzenia i uciec z pastwiska. Kyle już prawie go dogonił, gdy Michael przypomniał sobie grubego gościa, który przepędził niedźwiedzia w Yosemite.

– Zawróć i biegnij w ich kierunku, machając rękami i krzycząc na całe gardło, dopóki się nie cofną! – zawołał do Kyle'a.

Kyle'owi ten pomysł się nie spodobał, ale zrobił małą przebieżkę w stronę krów, wymachując rękami i wrzeszcząc wniebogłosy. Nagle stado się zatrzymało. Niektóre z krów nawet cofnęły się na chwilę, dzięki czemu Michael i Tabor mieli czas, by przebiec od zagajnika do ogrodzenia. Po chwili krowy wznowiły bieg w stronę Kyle'a.

– Te cholerne krówska nie chcą się zatrzymać! – krzyknął Kyle.

– Nie przestawaj machać i wrzeszczeć! – odpowiedział Michael. – A kiedy już się cofną, biegnij jak najszybciej na skraj pola!

Kyle robił, co mu kazano, dopóki stado powoli się nie rozpierzchnęło.

Michael przerzucił plecak nad ogrodzeniem, a następnie przeskoczył przez nie z Tabor w ramionach.

– Dalej, pospiesz się! – krzyknął do Kyle'a, który z daleka wyglądał jak rozmyta zbitka włosów i kończyn pędząca przez zagajnik.

Kyle dopadł do ogrodzenia, zrzucił plecak i przecisnął się przez dziurę na drugą stronę. Nie miał czasu na próbę przeskoczenia płotu. Cały był podrapany przez cierniste jeżyny i poparzony pokrzywami, ale zdążył jeszcze sięgnąć po plecak. Gdy wydostał się na drogę, zachwiał się pod jego ciężarem i upadł.

Niektóre większe krowy wciąż były wzburzone i ściagały ich do samego ogrodzenia. Teraz gniewnie na nie napierały, zdeterminowane, by ukarać ich za naruszenie swojego terytorium. Z Tabor

przyczepioną jak rzep do piersi Michael odsunął się od płotu. Otarł krew z rąk o oliwkowozielony podkoszulek i beżowe płócienne spodnie, które już były poplamione piwem, ziemią i trawą.

Cały czerwony i roztrzęsiony, Kyle zgiął się w pół, by złapać oddech. Ten młody mieszczuch rzadko wyjeżdżał z Portland.

– Potrzyj ją na chwilę – nakazał Michael, wciskając mu kotkę w ramiona. – Nie chcę pobrudzić jej sierści. Wyjął butelkę z wodą i obmył dłonie z krwi i brudu. Potem podszedł do najbliższej sosny i zeszkrobał z jej kory mazisty płyn o barwie miodu, który rozsmarował sobie po dłoniach i ramieniu.

– Co robisz? – zapytał Kyle.

– Ty nigdy nie będziesz się nadawał do wiejskiego życia – stwierdził Michael z szerokim uśmiechem. – To sok sosnowy, który powstrzymuje krwawienie i dezynfekuje rany. Chore drzewa produkują go do ochrony przed infekcjami i owadami. Można też pędzić z niego bimber.

– Wygląda dość paskudnie – powiedział Kyle, spoglądając na długą szramę biegnącą od nadgarstka Michaela aż po łokieć.

– A jak boli!

– Te krowy były tak blisko, że mógłbym ich dotknąć.

– Ledwie uszliśmy z życiem – przytaknął Michael, odbierając od niego kotkę.

– Biedna Tabor – westchnął Kyle. Dyszała i śliniła się, leżąc w drgawkach w ramionach Michaela. – Nie wiedziałem, że krowy mogą się tak wściec. Co to było, Węszycielu?

– Najprawdziwsza próba stratowania. Nauka wyciągnięta. Gdy widzisz krowie placki, idź na inne pole.

Krowy naprawdę mogły ich zabić. W tamtej chwili Michael wiedział już, że bez wahania oddałby życie za Tabor.

Gdy przemierzali drogę w poszukiwaniu innego pola, na którym mogliby rozbić obóz i przenocować, po drugiej stronie ogrodzenia bojownicze krowy szły krok w krok za nimi.



Następnego ranka Michael, Kyle i Tabor złapali okazję do centrum Heleny. Dotarli tam dokładnie w chwili, gdy słońce szczytowało nad grzbietami gór Big Belt, połyskując w pustych witrynach sklepowych blade złotą poświatą. Last Chance Gulch, główna ulica i zarazem serce miasta, przez całe dziesięciolecia w ogóle się nie zmieniła; wciąż działały tu cukiernia Parrot ze swoim stuletnim automatem do napojów, lombard Dave'a, połyskujący starą biżuterią i pistoletami, a także kawiarnia w dawnej wieży strażackiej ze swoją lśniącą szafą grającą Rock-Ola w stylu art déco, która jak zawsze stała w oknie.

Ujrzawszy wszystkie te miejsca, które niegdyś odwiedzał, Michael poniekąd cieszył się z powrotu do swojego przybranego miasta rodzinnego w towarzystwie dwojga najlepszych przyjaciół. Każdy budynek, każdy róg i każda wąska uliczka wzdłuż czterech przecznic bulwaru kryły w sobie wspomnienia, tak dobre, jak i złe. Minęli pchli targ, na którym Michael zaopatrywał się w książki i nad którym od lat osiemdziesiątych wisiała niezmiennie ta sama tabliczka: „Życie jest zbyt krótkie, by pić tanie wino”.

Gdy przechodzili obok Rock's Western Bar, Michael podsadził Tabor, żeby mogła zajrzeć przez szybę do środka.

– Właśnie tu kiedyś mieszkałem – powiedział do niej. – Po pracy przychodziłem na późne piwo i partyjkę bilarda i zostawałem, dopóki mnie nie wyrzucili.

Czuł pewną dumę ze swojej pracy w Helenie.

– Rozwoziłem tu mleko. Byłem wtedy mniej więcej w twoim wieku – powiedział Kyle'owi, gdy szli szerokim bulwarem pomiędzy wiktoriańskimi latarniami gazowymi a kamiennymi budynkami z przełomu wieków, zbudowanymi za pieniądze zarobione na ranczach i w kopalniach złota. – Szkoda, że mnie wtedy nie znałaś – zwrócił się do siedzącej mu na ramieniu kotki.

Tabor rozglądała się wokół i patrzyła na wszystko z zaciekawieniem. Michael pokazał swoim

towarzyszom budynek sądu federalnego, w którym odbył się proces Teda Kaczynskiego, znanego jako Unabomber, po tym, jak agenci FBI schwytali go w jego kryjówce – domku w lasach Montany.

Kyle nie znał tej historii, więc Michael mu ją opowiedział.

– To był amerykański terrorysta. W latach dziewięćdziesiątych zabił i okaleczył wiele osób. Ale był bardzo inteligentny. Pisał o tym, jak technologia dehumanizuje ludzi. I teraz widać, że ten stary łajdak miał rację.

Gdy dotarli do następnej przecznicy, Michael dodał:

– Każdej wiosny sadziłem nagietki i firletki przed gmachem stanowym niedaleko stąd. Co roku zarabiałem w ten sposób na letnie biwaki.

– Byłeś ogrodnikiem?

– Tak... Miałem wizytówkę o treści: „Michael King, nadworny ogrodnik: królewska robota za plebejską cenę”.

– Fajnie. Zawsze uważałem cię za mieszczaucha.

– A ja zawsze miałem smykałkę do roślin i interesowałem się naturą. Jako siedmiolatek wrywałem rosące przy torach lilie tygrysie i sadziłem je za naszym domem.

Michael przystanął i wskazał na gargulce oraz skrzydlate jaszczurki u szczytu imponującego kamiennego budynku przy następnej przecznicy.

– Widzisz? To magiczna salamandra, której nawet ogień nie jest w stanie pochłonąć. Bronią jej dwa smoki. Miasteczko wiele razy spłonęło do szczytu, więc władze postanowiły dołączyć te symbole, by chroniły mieszkańców przed żywiołem. W okultyzmie salamandra jest alchemicznym stworzeniem, które pławi się w ogniu, nie umierając. A widzisz ten posąg mężczyzny na budynku? To grecki tytan Atlas, który dźwigał świat na swoich barkach.

Przespacerowali się Euclid Avenue, zabudowaną zgrabnymi rzędami identycznych domków o drewnianym szkielecie. Skręcili w Garrison Street, a przecznicę dalej w Cannon Street. Znaleźli się u podnóża Gór Skalistych, poniżej dzielnicy rezydencji z widokiem na centrum Heleny. Gdy dotarli do skromnego żółto-białego domku Waltera z drewnianą oblicówką, położonego na rogu zacisznej ślepej uliczki, Michael ruszył do tylnych drzwi, a Kyle poszedł za nim. Za kwadratowym skrawkiem podwórka na wytartej trawie stała furgonetka i cała flotylla starych samochodów, blokując zarośniętą chwastami piaszczystą alejkę. Przechodząc przez tylne podwórko, Michael zauważył, że słoneczniki, które zeszłego lata posadził przy siatce, wyrosły na olbrzymy. Ich piękne lwie głowy zwrócone były ku niebu.

– Walter! – zawołał, wchodząc przez siatkowe drzwi i przytrzymując je dla Kyle’a. Ich uszu dobiegły dźwięki muzyki country na stereo.

Z salonu do kuchni wszedł wysoki i przygarbiony Walter. Miał już siedemdziesiąt parę lat, grzywę białych włosów, okulary w srebrnych oprawkach i bezustannie zmarszczone brwi. Ten samotny emeryt wyglądał również na człowieka o dobrym sercu, którego życie wystawiło na niejedną próbę. Gdy zobaczył Michaela z kotką przyklepioną do jego ramienia niczym gąsienica, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– To kot? – zapytał Michaela, zupełnie jakby jego dawnemu podopiecznemu wyrosły dwie głowy. – Przeszedłeś przez pół Stanów z kotem na plecach? To szaleństwo. Czyste szaleństwo.

– Znalazłem ją na ulicy. Była ranna i głodna.

Walter zlustrował go od stóp do głów: zobaczył brud, krew, smugi trawy na ubraniu i strupy na niemiłosiernie pooranych rękach, wyglądające jak po podrapaniu przez niedźwiedzia grizzly.

– Wyglądasz fatalnie – oznajmił i wyszedł z kuchni.

– Dzięki – powiedział Michael, odprowadzając go wzrokiem.

Postawiwszy Tabor na podłodze, Michael spojrzął na Kyle’a i westchnął.

– Przepraszam, Walter ma jeden ze swoich humorów. I nie nazywaj mnie przy nim Węszycielem. On tego nie cierpi. W jego mniemaniu to znaczy bezdomny, zapity i śpiący pod drzewem.

Mimo że bywał zrzędlivy, Walter miał też cięte poczucie humoru. Pewnego razu, gdy Michael zamieścił na Facebooku swoje zdjęcie podczas żebrań z tabliczką: „Potrzebuję dziś drobnego wsparcia”, komentarz Waltera brzmiał: „Michael, Ty nie potrzebujesz drobnego wsparcia, ale dużej

pomocy!”.

Podobnie jak Michael Walter miał słabość do zwierząt i kiedyś w jego domu roiło się od przygarniętych kotów, rannych ptaków i innych skrzywdzonych stworzeń. Wciąż wystawiał też resztki jedzenia dla szopów. Kiedy wrócił z Wietnamu w 1967 roku, zwierzęta stały się dla niego ucieczką przed traumą i okrucieństwami wojny. I to również dzięki nim już od trzydziestu ośmiu lat nie sięgnął po alkohol. Gdy poznał Michaela na spotkaniu AA, powiedział mu: „Zwierzęta uleczą każdego przegranego”.

Kyle usiadł przy stole z pełnym zmęczenia westchnięciem i rozejrzał się wokół. Rustykalna kuchnia była przytulna, sosnowe szafki pękały w szwach od naczyń nie do kompletu, a nad oknami wychodzącymi na tyły domu wisiały zakurzone miedziane kubki. Lodówka o podwójnych drzwiach pokryta była mozaiką wyblakłych od słońca naklejek wyborczych Baracka Obamy i Hillary Clinton, magnesem z amerykańską flagą, napisem „Boże, błogosław Amerykę” i postrzępioną pocztówką przedstawiającą ziewającą wydrę, która płynie sobie na grzbiecie. Nad stołem wisiały zdjęcia siedemnastoletniego Michaela i jego brata bliźniaka, JP, a obok nich fotografie Elliota, piętnastoletniego sieroty koreańskiego pochodzenia, którego Walter zaadoptował po wyprowadzce Michaela.

Michael podszedł do lodówki i wyjął puszkę mountain dew dla Kyle’a, a potem poszedł za Walterem do salonu. W tym przytulnym pomieszczeniu stały ręcznie wykonane drewniane meble, opalany drewnem piecyk i powycierane dekoracyjne dywaniki. Rozluźniona Tabor przytruchtała za Michaeliem. Nagle stanęła jak wryta – na sofie siedział inny kot!

Walter miał dużego popielatego kota himalajskiego o błękitnych oczach i imieniu Gus, który zobaczywszy we własnym domu kociego intruza, syknął na Tabor, jeżąc puszystą kitę. Z płaskim pyszczkiem i chmurną miną ten puchaty kocurek przypominał małego, włochatego staruszka. Tabor wdrapała się po nodze Michaela, wskoczyła mu na ramię i zaczęła przyglądać się Gusowi z bezpiecznej wysokości. Gus zeskoczył z sofy i pobiegł po schodach na dół do sypialni Waltera, swojej zwyczajowej kryjówki.

Walter siedział plecami do Michaela na sztucznie postarzonej, musztardowym szezlongu, gdzie przed pojawieniem się gości pił poranną kawę, słuchając kojącego, tęsknego głosu Johnny’ego Casha.

– Jesteś na mnie zły? – zapytał Michael, tuląc Tabor w ramionach. – Zrobiłem coś złego?

Walter zawahał się, po czym fuknął:

– Po pierwsze przestraszyłeś Gusa. Nie dajesz znaku życia całymi miesiącami, a potem ni z tego, ni z owego zjawiasz się z obcym kotem.

– Przepraszam. Podróżuję i staram się opiekować tą małą.

– Mogłeś do mnie zadzwonić. Chyba że straciłeś władzę w rękach?

– Tak, wiem, masz rację... Przepraszam...

– Nie chcę następnego kota – przerwał mu Walter. – Jestem już na emeryturze.

– Ale ja wcale nie próbuję ci jej wcisnąć. – Michael przez lata przygarniał mnóstwo bezdomnych kotów i sprowadzał je do domu, do Waltera. Jako nastolatek przyniósł w kieszeni urodzone w stodole kocięta, którym nadał imiona Sassy i Kassy. To Walter nauczył go, jak się nimi zajmować, i obie wyrosły na ogromne, szczęśliwe kotki.

– Gdy Gus umrze, pochowam go na podwórku obok Sassy i Kassy i to będzie mój ostatni kot.

Gus, którego Walter nazywał niekiedy „starym druhem”, był już płochliwym trzynastolatkiem. On także został znaleziony przez Michaela pewnego letniego dnia dwanaście lat wcześniej. Oprócz tego Walter adoptował i wykarmił dzikuska, wielkiego kota, któremu nadał imię Michael po tym, jak ten zabłąkawszy się kiedyś na jego podwórko, już go nie opuścił. Dwa razy dziennie zachodził na posiłek pod tylne drzwi kuchni, choć sypiać wołał pod gankiem albo krzakiem.

– Przysięgam, że wpadliśmy tylko z wizytą.

– Nie chcę, żeby ten kot niepokoił Gusa – ciągnął Walter. – Źle znosi zmiany i wszystkiego się boi.

– Ale Tabor jest naprawdę wyluzowaną kotką i z każdym się dogaduje.

– Nie interesuje mnie to – odparł Walter tonem suchym jak pustynny piasek. – Jeśli postanawiasz

wziąć jakieś zwierzę, bez względu na to, czy to pies, kot, papuga czy niedźwiedź, tym samym zobowiązujesz się do opieki nad nim.

– Wiem – przytaknął Michael. – I się staram.

W drzwiach pojawił się Kyle.

– To prawda – wtrącił, broniąc przyjaciela. – Michael naprawdę dobrze się nią zajmuje. Trzeba było ją widzieć tuż po znalezieniu.

Walter nieco spuścił z tonu.

– Wiem, że koty zajmują specjalne miejsce w sercu Michaela. Koty i kociaki od zawsze biegały po naszym domu. Michael był w siódmym niebie. Stawał na podwórku i podrzucał je na dach garażu, a one odwracały się i zeskakiwały z powrotem na niego. Był tu prawdziwy cyrk. W każdym razie teraz mam w domu Gusa, a to już starszek i nie chcę ryzykować. Najlepiej od razu zabierzmy tego kota do weterynarza. Nie wiadomo, jaką kolekcję kleszczy, roztoczy i chorób zebrał podczas waszych wojaży.

– Jest zdrowa – zaoponował Michael. – Tabor na nic nie choruje.

– Nie chcę, żeby Gus się czegoś nabawił – odparował najeżony Walter. – Jest stary i słaby.

– Ale Tabor jest całkowicie zdrowa – powtórzył Michael.

– Robisz z igły widły – powiedział twardo Walter. – Ma iść do weterynarza i kropka.

– Okej – ustąpił Michael i wrócił z Kyle'em do kuchni. Z Walterem nie było dyskusji.



Rozdział dwudziesty

Portland: letnia burza i pełnia księżyca

Była noc, nad dachami północno-zachodniego Portland zbierały się chmury burzowe, a niebo przecięła błyskawica. W oświetlonym neonami salonie na podklejonym plastikiem fotelu pod ekstrawagancką lampą sufitową od Tiffany'ego zasiadała niczym na tronie mała, zgarbiona staruszka ze starannie ułożonymi białymi włosami. Była to Madelaine, medium słynące z odnajdywania zagubionych zwierząt, a przynajmniej tak przedstawiała się w swoim ogłoszeniu na ostatnich stronach czasopisma „Cat Fancy”. Przez okno jej gabinetu wpadało do środka błękitnawe światło ogromnej neonowej strzały reklamującej czytanie z tarota i inne niezemskie usługi świadczone przez Madelaine. Ściany salonu obwieszane były portretami świętych w złoconych ramach, a całe pomieszczenie udekorowano kryształami, celtyckimi runami i mistycznymi bibelotami.

Ron przysiadł na sofie naprzeciwko staruszki. Między nimi był tylko mały stolik do kart. Evan odprowadził Rona, ale teraz poszedł na kawę. Ron powiedział Madelaine o Macie i o ostatnim poranku, kiedy ją widział: przycupnęła na kuchennym blacie, obserwując, jak jej pan robi jajecznicę, po czym udała się na werandę, by złapać trochę słońca.

– Zdarzają mi się dni, kiedy po prostu nie mogę przestać płakać – powiedział, spoglądając przez duże okno, za którym zaczął padać deszcz, a przechodnie spieszyli do domów. – Najgorsze, że nie wiem, co się z nią stało. Nie mogę przez to pogodzić się z jej stratą.

Madelaine wskazała na rosnące za oknem ciemne drzewa.

– Widzisz, że księżyc jest ledwie widoczny? Ludzie i zwierzęta też bywają schowani za innymi.

– Schowani? – Ron wyglądał na zmieszanego. – Co ma pani na myśli?

– Czasami wskazówki są rozsiane wokół nas, pojawiają się na przykład w naszych snach albo przeczeniach.

Wrócił Evan i usiadł obok Rona. Wcześniej wyszedł, bo zobaczywszy makijaż medium, który wyglądał, jakby został nałożony kielnią, musiał w spokoju się wyśmiać, tak z niego, jak i z absurdalności całej sytuacji. Gdy Ron poprosił go, żeby mu towarzyszył, Evan powiedział: „Ty potrzebujesz terapeuty, a nie medium. Świat spirytystyczny to jedno wielkie oszustwo”.

Madelaine zaczęła intensywnie wpatrywać się w Rona.

– Widzę, że ta nieprzepracowana żaloba rani ci duszę.

– Tak – odparł, gapiąc się na obraz Najświętszego Serca Jezusowego i promienie wychodzące z płonącej piersi Zbawiciela. On też czuł, jak ogień bezlitośnie trawi jego złamane serce. – Ten ból nie chce odejść.

– Musisz dać sobie szansę na uleczenie – powiedziała cichym, kojącym głosem. Umilkła i nie spuszczając z niego wzroku, dodała: – Jakie masz parapsychiczne odczucia względem swojej zagubionej kotki?

– Właśnie za te parapsychiczne odczucia on pani płaci – bąknął pod nosem Evan.

Ron posłał mu pełne irytacji spojrzenie.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że znalazła ją jakaś staruszka i Mata wnosi radość do czyjegoś życia, ale wiem też, że na świecie nie brak złych ludzi, którzy okrutnie obchodzą się ze zwierzętami. Po rozmowie z Rachel, medium, które powiedziało mi, że Mata nie żyje, cały czas myślę tylko o tym.

– Medium powiedziało ci, że twoja kotka nie żyje? – Kobieta zmarszczyła brwi.

– Sposób, w jaki opisywała niebo, był jak z proroctwa Ezechiela i Księgi Objawienia i wyglądało ono dokładnie tak, jak je sobie wyobrażam: jak tropikalny raj.

– A więc powiedziała, że twoja martwa kotka jest na tropikalnej wyspie?

– Tak. Na tropikalnej wyspie, gdzie nie tylko ludzie, ale i zwierzęta zaznają szczęścia. Tak nawet mówi Biblia: „Pan ukochał swoje zwierzęta i będziesz z nimi w raju”. – Ron przerwał i wziął głęboki oddech. – Po prostu muszę wiedzieć, czy Mata żyje.

Madelaine przycisnęła sobie dłonie do piersi.

– Czuję w głębi duszy, że pańska kotka nie umarła.

Na dzielącym ich stoliku położyła wysłużoną talię kart tarota.

– Proszę przetasować i wybrać kartę, która do pana przemawia.

Ron zrobił, co mu kazano. Gdy Madelaine odkryła wybraną przez niego kartę, zobaczył, że był to Wisielec, i cały pobladł.

– O Boże, czy to znaczy, że została uduszona?

– Ta karta mówi, że stoi pan na rozstaju dróg. Musi pan pozwolić jej odejść, a wtedy aniołowie panu dopomogą. Wszystko, z czym się żegnamy, odchodzi na zawsze albo wraca do nas uleczone. Na tym etapie sesji ludzie zazwyczaj pokazują mi zdjęcia swoich zaginionych pupili, żebym mogła spojrzeć w ich oczy, nawiązać z nimi łączność i spróbować je zlokalizować.

Ron wyjął z portfela wytarte zdjęcie i podał je Madelaine. Kobieta nachyliła się nad stolikiem, pobłyskując różnobarwną biżuterią jak jaskrawy żyrandol.

– W letnią burzę i przy pełni księżyca, gdy powietrze jest tak naelektryzowane, nawiązanie kontaktu z pańską kotką powinno być łatwe.

Zapaliła białe i czarne świece, na ciemnym, filcowym obrusie przed nimi narysowała pięciokąt, a w kręgu położyła zdjęcie Maty.

– Powiem panu, co widzę – zaczęła. – Czuję, że pańska kotka jest zamartwiona. Wie, że pan i jej brat tęsknicie za nią.

Przymykając oczy, przesunęła palcami po fotografii.

– Widzę przemierzającą pustynię kotkę. Nie jest sama. Wydaje się, że towarzyszy jej ktoś, kto próbuje chronić ją przed niebezpieczeństwem. Jest bardzo daleko od domu, ale stara się znaleźć drogę powrotną – do pana.



Rozdział dwudziesty pierwszy

Helena, Montana: tajemnice kociego serca

Rankiem trzynastego czerwca, dwa dni po przyjeździe do Heleny, Walter zawiózł ich swoim starym białym subaru sedanem do weterynarza. Kyle zajął miejsce pasażera, a Michael siedział wciśnięty w tylne siedzenie z Tabor, która jak zwykle wyglądała na w pełni zrelaksowaną, zwinąwszy się w kłębek na jego kolanach – z wyjątkiem szczyptych przednich łap, które leniwie wyciągnęła i z zadowoleniem przyglądała się przez szybę mijanym sosnom i obłokom.

Ale Michael był niespokojny. Po nocy, która upłynęła mu pod znakiem przekręcania się z boku na bok, obudził się ze strasznym przeczuciem, że starci Tabor.

Gdy parkowali przed wejściem do przychodni, zauważył swoje odbicie w bocznym lusterku. Bruzdy wokół jego ust pogłębiły się, a worki pod oczami szerniały. Pomyślał, że zaczyna wyglądać jak Béla Lugosi.

Przychodnia weterynaryjna znajdowała się w biało-błękitnym budynku w stylu alpejskim, którego przednia ściana ozdobiona była olbrzymim nadrukiem w kształcie łapy. Michael nie wspomniał Kyle'owi i Walterowi o swoim złym przeczuciu, ale gdy weszli do gabinetu, Tabor również zaczęła być niespokojna. Kyle został na recepcji, a Michael i Walter zabrali ją na badanie.

Sala przyjęć pachniała środkiem dezynfekującym. Gdy Michael postawił Tabor na stole ze stali nierdzewnej, cała się spięła i próbowała zeskoczyć. Michael złapał ją w locie, ale wywinęła mu się z rąk i uciekła w kąt sali, gdzie próbowała wcisnąć się do otwartej płytkiej szuflady w szafce z lekarstwami.

Weterynarz, miły człowiek o łagodnym głosie, przerzedzonych, przyprószonych siwizną włosach, pyzatyh policzkach i w okularach „kujonkach”, delikatnie wyjął Tabor z szuflady.

– Wszystko w porządku, słoneczko – powiedział, głaszcząc ją uspokajająco. – Już dobrze.

Doktor Bruce Armstrong zajmował się pupilami Waltera od piętnastu lat. Zanim zamieszkał w Montanie i założył własną klinikę, pomagał zwierzętom na całym świecie, od kalifornijskich rezerwatów dzikiej przyrody po obozy pomocy humanitarnej w Arabii Saudyjskiej. Miał też niewielkie ranczo za miastem, gdzie wraz z żoną prowadził hodowlę koni oraz uprawiał lucernę i siano.

Doktor zapytał o historię Tabor, więc Michael opowiedział mu o tym, jak w deszczową noc znalazł ją na ulicy pod kawiarnianym stolikiem, wspomniął też o pobycie na plaży i ucieczce przed stadem krów. Weterynarz uśmiechnął się, nie przestając głaszczyć siedzącej na stole kotki.

– Wygląda na to, że miała nie lada przygody – skomentował. – Rzućmy na ciebie okiem, młoda damo, i upewnijmy się, czy jesteś zdrowa – zwrócił się szeptem do pacjentki.

Obadał jej stawy, a do serca przyłożył mały stetoskop.

– Jest w świetnej formie. Widać, że bardzo dobrze pan się nią opiekował – oznajmił, otwierając jej pyszczek, by przyrzeć się ząbkom. – Na moje oko ma dwa do czterech lat.

Następnie postawił kotkę na wadze i lekko zmarszczył brwi.

– Pięć i pół kilo, odrobinę za dużo jak na jej budowę.

Michael się zaśmiał.

– Tak, jest trochę pyzata – powiedział, głaszcząc ją po głowie. – To dlatego, że jest leniwa i chce, żeby ją wszędzie nosić. Ale pomyślałem sobie, że skoro mieszkamy na ulicy, niewielka nadwaga jej nie zaszkodzi.

– Powinniśmy zrobić jej wszystkie szczepienia – wtrącił Walter.

Doktor Armstrong skinął głową i zabrał ją ze stołu na zaplecze. Znad ramienia weterynarza Tabor posłała Michaelowi spojrzenie zdradzonego kota.

Michaelowi zdawało się, że szczepienia na zapleczu trwają całą wieczność. Czuł, że coś jest nie

tak.

Kiedy doktor Armstrong wrócił z Tabor w ramionach, miał dziwny wyraz twarzy.

– Zrobiłem jej wszystkie aktualne szczepienia – powiedział, stawiając ją na stole do badań między nimi. – Wynikła jednak inna kwestia.

– Nic jej nie jest? – zapytał zaniepokojony Michael.

– Ma chip.

– Cholera, wiedziałem – powiedział Walter z szerokim uśmiechem.

Michael siedział jak rażony piorunem.

– Chip?

– Tak, ma właściciela – potwierdził doktor Armstrong. – Jej zaginięcie zgłoszono we wrześniu 2012 roku w Portland.

Michael poczuł, jak jego serce rozbija się na drobne kawałki. Do oczu nabiegły mu łzy, więc przeprosił i wyszedł na powietrze. Był jednocześnie zrozpaczony i zły. Musiał zapalić i wziąć się w garść.

Gdy Kyle zobaczył wybiegającego z gabinetu Michaela, wiedział, że coś jest nie tak, i pomyślał: „O nie, Michael straci Tabor”.

Walter włożył kotkę z powrotem do transportera i spojrzał na weterynarza.

– Michael jest bezdomny i ma ciężkie życie. Bardzo się przywiązał do tej kotki.

Doktor Armstrong spisał na kartce numery telefonów kontaktowych do właściciela Tabor i podał ją Walterowi, prosząc o opowiedzenie lokalnej gazecie historii Michaela i Tabor, żeby zachęcić innych do chipowania swoich pupili. Walter uważał, że podzielenie się opowieścią o ich wspólnej wędrówce pomoże Michaelowi uporać się z bólem po stracie kotki.

Potem zabrał Tabor do Michaela i Kyle'a i zawiózł ich do domu.

Tuż po ich wyjściu Maddie Parker, technik, która znalazła chip Tabor, zadzwoniła do firmy, która go wszczepiła, i do właściciela Maty, zostawiając wiadomość na poczcie głosowej Rona Bussa z prośbą, by skontaktował się z kliniką weterynaryjną w Helenie.



Rozdział dwudziesty drugi

Tygodnie astralne

Woda wyglądała tak przejrzysto, że można było zobaczyć ryby i żółwie pływające pod jej powierzchnią. Mata siedziała przy Ronie na drewnianej ławeczce w małej łódce, wpatrzona w zmarszczoną taflę. Nagle stała się niespokojna. Obnażyła kły, zaczęła syczeć i drapać, a potem zgramoliła się z ławeczki i schowała za nogami Rona. Wyglądając przez krawędź łódki, Ron zobaczył ogromny, mroczny cień. Gdy podpłynęli do brzegu, rozpoznał w nim sunącego w porośniętej trzciną płyciźnie krokodyla.

Ron krzyknął, porywając kotkę w ramiona.

Gwałtownie się przebudził, wracając do równowagi po przerażającym koszmarze. Promienie słoneczne wdzierają się do sypialni przez uchylone żaluzje. Chwilę leżał w bezruchu, mrugając sennie, oślepiiony strumieniem zalewającego ściany światła. Potem wstał i poczłapał do kuchni, by dać kotom śniadanie. Creto i Jim siedzieli na blacie obok szklanej misy pełnej pomarańczy, brzoskwiń i grejpfrutów, miaucząc niecierpliwie.

Po nakarmieniu kociego towarzystwa Ron zrobił sobie pomarańczowo-brzoskwiniowe smoothie i włączył radio, śląc na ulicę dźwięki melodii z lat sześćdziesiątych. Siedział we wnęce jadalnej i w otępieniu słuchał *Friday on My Mind*, chwytliwego przeboju Easybeats z 1966 roku. Potem, próbując przypomnieć sobie sen, jaki go nawiedził, zadzwonił na wybrzeże do Miguela.

– Zawsze widzę Matę w lesie albo przy wodzie – opowiadał przyjacielowi swój koszmar. – Wciąż czuję, że żyje, że się zgubiła albo ktoś ją znalazł. Myślisz, że ten ktoś mógł utopić Matę i zakopać w jakimś lesie przy rzece?...

– Posłuchaj, musisz przestać analizować sny – przerwał mu oschle Miguel. – To nic nie znaczy.

– Tak, masz rację – przyznał Ron, by go udobruchać. Cierpliwość jego przyjaciół powoli się wyczerpywała. – Mam dziś rano milion rzeczy do zrobienia. Muszę iść na zakupy, podlać ogródek... i zacząć myśleć o pakowaniu.

Został zaproszony na memoriał przyjaciela, który miał się odbyć za tydzień w Teksasie. Dzięki swojej zawodowej działalności poprzedniego lata zaprzyjaźnił się z zespołem rockandrollowym z Austin o nazwie Ministry. Wielu członków tej popularnej w latach dziewięćdziesiątych kapeli grającej industrial metal słynęło z wystawnego życia, ćpania i picia na umór, więc dla nikogo nie było zaskoczeniem, gdy podczas koncertu jeden z gitarzystów stracił przytomność i umarł na zawał w wieku czterdziestu siedmiu lat. Pół roku później pozostali członkowie zespołu zorganizowali przyjęcie ku jego pamięci.

Ron rozłączył się, wsunął do wieży w kuchni płytę Ministry, otworzył tylne drzwi, blokując je żeliwną figurką sfinksa, i wyszedł do ogródka. Creto i Jim zdążyli się już rozłożyć na dachu garażu, zażywając kąpieli słonecznej. Był z nimi również Gordon, czarny, żółtooki kot twardej sąsiadki Rona, Ann – dach garażu Rona stał się klubem kocich miłośników opalania. Z kuchni płynęły głośne dźwięki *Jesus Built My Hotrod* Ministry, a Ron zaczął rozplątywać węża ogrodowego.

Podlewając grządki truskawek i malin, przypomniał sobie, jak Mata szalała na punkcie ich zapachu. Tarzała się między krzaczkami łapkami do góry, niuchając i ocierając się głową o kwiaty i liście truskawek, jakby to była kocimiętka, a potem śmigła po domu jak odurzona.

Było już południe, gdy Ron wrócił do kuchni z pękiem fioletowych zawilców, które zerwał. Gdy układał je w wazonie we wnęce jadalnej, zauważył mrugające czerwone światełko na swoim smartfonie. Miał dwa nieodebrane połączenia: jedno od siostry, a drugie rozpoczynające się od nieznanego mu numeru kierunkowego.

Na poczcie głosowej odsłuchał wiadomość z przychodni weterynaryjnej w Helenie, z której dowiedział się, że znaleziono jego kota. Wybierając numer kliniki, wybuchnął płaczem. Połączył się z doktorem Armstrongiem, a ten wyjaśnił mu, że bezdomny mężczyzna, który przyjechał do Heleny w odwiedziny do swojego przybranego ojca, przyniósł kotkę na badania i w gabinecie sprawdzono, czy ma chip, jak to jest u nich w zwyczaju w przypadku bezdomnych kotów.

– Nie wierzę, że Mata jest w Montanie – powiedział uśmiechnięty Ron, czując, jak łyzy spływają mu po policzkach. – To najbardziej szalony z jej pomysłów. Jaki jest państwa adres? Czy mogę od razu po nią przyjechać?

– Nie mamy obowiązku zatrzymywać kota, gdy okazuje się, że do kogoś należy – wyjaśnił doktor Armstrong. – Musimy tylko zawiadomić właściciela, że został znaleziony. Osoba, u której jest pańska kotka, mówi, że chce ją panu przywieźć. Mam numer telefonu jego przybranego ojca.

Ron wybrał numer podany mu przez weterynarza, ale nikt nie odbierał. Stwierdził, że spróbuje później.

Skakał z radości i nie posiadał się ze szczęścia. Po wizycie u Madelaine zaszła w nim pewna zmiana. Zarejestrował Creta jako kota do terapii, co od dawna planował, natknąwszy się na plakat o zaginionej alpaccie z afro w stylu Phila Spectora, by jego kocurek dał trochę radości szpitalnym pacjentom.

W ostatni weekend majstrował przy gitarach na poddaszu, słuchając składanki Vana Morrisona. Gdy z głośników popłynęły dźwięki *Astral Weeks*, przeszły go dreszcze. Zupełnie jakby słowa piosenki o wkraczaniu w cień aerodynamiczny i ponownych narodzinach otworzyły przed nim wrota do głębszej świadomości.

Gdy Mata zaginęła po raz pierwszy, zdesperowany Ron modlił się do Boga o pomoc, przysięgając, że jeśli kotka się odnajdzie, on stanie się lepszym człowiekiem i zacznie pomagać innym. Szybko jednak zapomniał o swoim przyrzeczeniu, a ona znowu zniknęła. Tej nocy, jak i każdej następnej, zmówił przed snem krótką modlitwę, prosząc Boga, by miał w opiece Matę, gdziekolwiek była.

Teraz wydawało się, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Rozkojarzony, wyjrzał przez okno, wędrując wzrokiem ku nieskazitelnie błękitnemu niebu. Przypomniał sobie, że tak wcześniej, jak i teraz widział w powrocie Maty rękę Boga. Odwiedzał w Bakersfield w Kalifornii jednego ze swoich przyjaciół, ochroniarza Joego, który po przeprowadzce do Seattle został postrzelony podczas napadu. Na długi czas zapadł w śpiączkę, a kiedy się z niej wybudził, twierdził, że przez cały ten czas przy jego szpitalnym łóżku siedział Bóg, trzymając go za rękę. Ron był w jego domu, gdy odebrał telefon z informacją o odnalezieniu Maty, kiedy zaginęła po raz pierwszy.

Po anulowaniu lotu do Teksasu opublikował na Facebooku zdjęcie swojej kotki leżącej na grzbiecie i mrużącej oczy w jasnym słońcu, opatrując je opisem: „Zaginiona w Święto Pracy w 2012, moja ukochana Mata odnalazła się w Helenie, w Montanie”.

Doznał tak przemożnej, uskrzydlającej ulgi, jakby właśnie znalazł wyjście awaryjne z płonącego budynku. Pobiegł do Ann, by podzielić się z nią dobrą nowiną.

– Chłopaki, Mata wraca! – krzyknął po drodze do opalających się na garażowym dachu kocurków. Trzy małe głowy uniosły się, spoglądając na niego sennie.

Po wizycie u sąsiadki zwałił się na schody prowadzące na tylną werandę, obdzwaniając wszystkich po kolei: weterynarza Maty, swojego przyjaciela z dzieciństwa Randy’ego, Miguela, ojca i Evana, powtarzając im to, co usłyszał od doktora Armstronga.

– A więc jakiś bezdomny zabrał ją do Montany? – dopytywał Evan.

– No cóż, medium mówiło, że Mata zaznaje wielkich przygód daleko od domu.

– A co ta kobieta może wiedzieć? Ma przynajmniej sto lat i nic nie widzi przez nadmiar tuszu do rzęs.

– Mata jest bardzo bystra, a ta jej wścibskość wpędza ją w kłopoty – ciągnął Ron. – Potrafiła maszerować ulicą za starszymi paniami, które ją pogłaskały. Ale na szczęście ze wszystkich bezdomnych świata znalazła tego najlepszego.

Rozdział dwudziesty trzeci

Najpiękniejsza dziewczyno

Walter patrzył przez kuchenne okno na Michaela siedzącego za domem na stercie drewna przy garażu i palącego papierosa za papierosem. Tabor bawiła się w suchej trawie, boksując łapką ćmy, w błogiej nieświadomości, że jej życie zaraz zmieni się po raz kolejny. Walter przekazał Michaelowi numer właściciela Tabor, który dostał od weterynarza – teraz wykonanie telefonu należało do jego przybranego syna.

Dziesięć miesięcy wcześniej Michael nie chciał mieć żadnego kota, a teraz nie wyobrażał sobie życia bez swojej małej iskielki. Długo przed tym, jak pojawiła się Tabor, uważał, że jego życie jest pozbawione sensu, i prawie na niczym mu nie zależało. Jego świat legł w gruzach wraz ze śmiercią Mercera, ale ta maleńka kotka pomogła mu zacząć na nowo go budować. Przegoniła ciemne chmury samotności, które podążały za nim niczym mroczne cienie. Przypomniał sobie smak normalności, a ona wypełniała jego dni ciepłem i śmiechem. Przed jej znalezieniem pożerały go same negatywne myśli; to właśnie Tabor uciszyła je na tyle, że zobaczył światełko nadziei.

Z domu wyszedł Kyle, zapalając połówkę papierosa. Zgasił zapałkę i klapnął na schodkach werandy po drugiej stronie podwórka.

– Zajrzałem na Facebooka z komputera Waltera i ktoś wrzucił wideo z zataczającym się pijanym szopem, który zrobił włam do magazynu pełnego gorzały. Wszyscy mówią, że to pewnie Michael w przebraniu szopa.

Michael spojrział na niego, lekko się uśmiechając, ale nic nie powiedział. Kyle widział, że jego towarzysz nie jest w nastroju do żartów.

– Fatalna sprawa z Tabor – powiedział współczująco.

– Wiesz, że nawet przeszło mi to przez myśl? Gdy wchodziliśmy do kliniki, miałem złe przeczucia. Pomyślałem sobie: „Jeśli ten kot ma cholernego chipa, to się wkurzę”. I okazało się, że go ma.

– Może po prostu jej nie oddawaj.

– Nie mogę. To nie byłoby w porządku. Zasluguje na to, by wrócić do domu. – Michael wiedział, że mógłby zwyczajnie zniknąć i uciec jak zawsze, mógł udawać, że wizyta u weterynarza nigdy się nie odbyła. „On ją zgubił. Ja ją znalazłem”. Ale wiedział też, że i on wpadłby w rozpacz, gdyby Tabor nagle zniknęła. Za nic w świecie nie chciał sprawiać komuś takiego bólu.

Obaj przyglądali się skaczącej za ćmami i świetlikami kotce.

– Jest taka słodka i łagodna – westchnął smutno Michael. – Każdego ranka moją pierwszą myślą jest to, czemu ten kot ciągnie mnie za brodę i liże po powiekach.

– A pamiętasz, jak podczas przechadzek po Hawthorne zawsze skakała między waszymi plecakami?

– Tak, to było genialne. Czasami idąc z dorosłą kotką kołyszącą mi się na plecaku, czułem się jak okręt na oceanie. Potykam się, ludzie na mnie patrzą, a ja mam ochotę powiedzieć: „Nie, nie jestem pijany. Po prostu kotka wierci mi się na ramieniu”.

Walter przyglądał im się przez siatkowe drzwi, a po kilku minutach wyszedł i do nich dołączył.

– Wiem, że to trudne – powiedział, przechodząc przez małe podwórko, by położyć Michaelowi dłoń na ramieniu – i smutne, ale nie do końca... Kotka wraca do swojego domu. Jeśli chcesz, to ja mogę zadzwonić.

Michael skinął głową. Wyjął karteczkę z kieszeni i oddał ją Walterowi.

– Ale chcę sam ją odwieźć. Wyruszyć z nią w ostatnią wspólną podróż.

Gasnące światło wypełniło podwórze purpurową poświatą. Z wnętrza domu płynęły dźwięki

piosenki *The Most Beautiful Girl* Charliego Richa puszczonej na sprzęcie grającym z lat sześćdziesiątych. Michaelowi zdawało się, że to najsmutniejsza melodia świata.



Wieczorem Walter zrobił tonik z limonką i włączył Deana Martina. Słysząc było tykanie starego stojącego zegara.

Michael siedział wciśnięty w sofę, dziękując Bogu za Waltera. Podziwiał go za hart ducha i umiejętność życia w pojedynkę – jego przybrany ojciec nalewał sobie toniku, włączał muzykę i nagle wszystko wracało do normy. Walter zagłębił się w swoim starym żółtym fotelu, który tyle razy padał ofiarą kocich pazurów, że został obszarpany bez reszty. W salonie pojawiła się Tabor i wskoczyła na ławę, a stamtąd na kolana Michaela. Gus rozłożył się w swoim zwyczajowym miejscu, którym było oparcie fotela Waltera, ostrząc pazury i nie spuszczać oka z bezczelnego kociego intruza.

Walter podniósł telefon i wybrał numer do Portland.

– Halo, czy rozmawiam z panem Ronem Bussem? – zapytał, usłyszawszy głos po drugiej stronie słuchawki. – Chyba mamy tu pańską kotkę.

– O Boże, tak się cieszę, że pan zadzwonił! – zawołał Ron. – Dostałem wiadomość od weterynarza z Montany, który mi powiedział, że pan ją do niego przyprowadził. Jestem panu taki wdzięczny, dziękuję. Jeśli to nie kłopot, to mogę od razu po nią przyjechać.

Walter spojrzął na siedzących po drugiej stronie salonu Michaela i Tabor. Kotka przytuliła się pyszczkiem do jego brody, podczas gdy on czule ją głaskał, wpatrując się tępo w pustą przestrzeń.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że żyje, czułem to – ciągnął rozgorączkowany Ron.

– Mike, mój syn, znalazł go na ulicy i zabrał w podróż po Zachodnim Wybrzeżu. Zaprowadziliśmy go do weterynarza na szczepienia, no i to, że ma dom, było dla nas wielką niespodzianką. Ale ja się cholernie ucieszyłem.

Michael zmusił się do lekkiego uśmiechu. To, że Walter nie przestawał mówić o Tabor jako o „nim”, bardzo go bawiło.

– Mike ma okropne wyrzuty sumienia, że zabrał kota – ciągnął Walter – i chce go panu odwieźć.

– Naprawdę nie musicie się panowie aż tak fatygować – odparł Ron nieco nieufnie. Przy zakupie chipa otrzymał ubezpieczenie, które pokrywało koszty jego przelotu. – Jutro mogę wsiąść w samolot i sam ją od panów odebrać.

– To żaden kłopot – wtrącił Walter. – Mike i tak wraca do Portland. Czasami tam pomieszkuje i właśnie w Portland znalazł kota. Chciałby zabrać go w ostatnią podróż. Spędzili razem ostatnie dziesięć miesięcy. Tak nagła rozłąka byłaby dla nich obu zbyt bolesna.

Walter wyczuwał wahanie Rona i próbował go uspokoić, opowiadając historię Michaela.

– Mike to dobry człowiek. Ma wielkie serce. Proszę się nie martwić, na pewno sprowadzi go do domu, ręczę za to.

Przez cały czas, gdy Walter mówił, Ron milczał po drugiej stronie słuchawki.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Po prostu skaczę z radości i czuję ogromne szczęście i wdzięczność, że jest cała i zdrowa. Jeśli Mike chce sam ją przywieźć, to nie mam nic przeciwko temu.

Gdy Walter się rozłączył, Michael wstał z sofy i poszedł do swojej sypialni. Tabor też się podniosła, rozprostowała łapy, ziewnęła, miauknęła i potruchała za nim. Włączył komputer i napisał na Facebooku wiadomość do swoich przyjaciół z Portland: „Właśnie wróciliśmy z Tabor od weterynarza. Ma chip, a właściciele chcą ją odzyskać. Smutny, smutny dzień dla Węszyciela”. Natychmiast zalała go fala wiadomości z wyrazami współczucia, ale nie był nawet w stanie ich czytać. Położył się spać z Tabor przytuloną do jego boku.



Następnego ranka po niebie płynęły rozproszone chmury przepowiadające deszcz. Zarumieniony i otumaniony snem Michael obudził się całkowicie zdezorientowany. Słyszając śpiew Deana Martina,

w pierwszej sekundzie pomyślał, że znajduje się w jakiejś staromodnej włoskiej restauracyjce. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jest u Waltera, a Walter to ranny ptaszek. Widząc, że Michael otworzył oczy, Tabor, która leżała na poduszce przy jego głowie, wskoczyła mu na pierś i zaczęła miauczeć oraz ciągnąć go za brodę.

Michael wstał, czując się jak chodzący trup. Poczłapał do kuchni, a Tabor dreptała mu po piętach i owijała się wokół jego nóg. Miaucząc swoim płaczącym, zachrypłym głosikiem, domagała się śniadania. Michael przywitał się z Walterem, który stał w oknie z kubkiem kawy. Wyłożył Tabor jedzenie do miski i podszedł do Waltera, z którym teraz wyglądał przez okno na podwórko za domem. Na zewnątrz pojawiła się stała bywalczyni tego miejsca, modrosójka błękitna – mały obdartus z piórkami w nieładzie – przysiadając na karmniku. Walter lubił obserwować zarówno ją, jak i poczynania innych dzikuszków zaglądających na jego podwórko.

Popijając kawę, spojrzał w niebo.

– Znosi się na burzę – powiedział i przeniósł wzrok na Michaela. – Nie chciałbyś dać się jej zaskoczyć z kotem pod pachą.

Początek lata w Montanie był zarazem końcówką deszczowej pory, a zmiany pogody potrafiły być nagłe i drastyczne. Michael wiedział, że powinni zostać przynajmniej, aż nie przestanie padać; pocieszała go myśl, że będzie mógł spędzić z Tabor trochę więcej czasu.



Skinął głową i zabrał się za robienie śniadania – naleśników z borowiną i maślanką dla Kyle'a i Waltera. Siedzieli we trzech w kuchni nad kubkami czarnej kawy, słuchając szalejącej za oknem burzy i więziennego bluesa Johnny'ego Casha płynącego ze stereo w salonie.

Ponieważ ich pobyt u Waltera miał się przedłużyć przynajmniej o dzień lub dwa, Michael spędził poranek na szorowaniu domu i małych naprawach. Walter z reguły zlecał mu wszelkiego rodzaju zadania gospodarcze, co w zasadzie obejmowało wszystko. Gospodarz nigdy nie musiał dotykać szczotki czy odkurzacza, ale podlewał i kosił trawnik oraz dokarmał ptaki, króliki, wiewiórki i sarny, które przyfruwały lub przychodziły na codzienną ucztę z chleba, orzechów i ziarna, które dla nich zostawiał.

Gdy Michael skończył swoją robotę, Walter zabrał jego i Kyle'a do sklepu i uparł się, by kupić im nowe plecaki i śpiwory. Jak lubił mawiać: „Mamy obowiązek troszczyć się o uciemienionych i ich chronić”. Podczas służby w Wietnamie natknęli się z kolegami z oddziału na sierociniec i kolonię trędowatych, do której bez wahania wkroczyli, by pomóc w opiece nad chorymi.

Po południu, kiedy chmury się rozproszyły i wyjrzało słońce, Michael chciał oprowadzić Kyle'a po Helenie i pojechać na jednodniowy biwak do Helena National Forest na obrzeżach miasta. Planował kilkutygodniową wizytę, ale teraz jego priorytetem stało się bezpieczne odstawienie Tabor do domu.

Zanim poszli zwiedzać, Michael zadzwonił do Rona, by go uspokoić.

– Bardzo mi przykro, że zabrałem kotkę – powiedział, gdy już się przedstawił. – Kot był ostatnim, czego chciałem, lecz wiedziałem, że muszę jej pomóc. Wiem, że pan mnie nie zna, ale naprawdę potrzebuję tej ostatniej przygody z nią. Będę miał przy sobie telefon komórkowy i postaram się codziennie do pana dzwonić z informacją, gdzie jesteśmy. Ta nasza ostatnia wspólna wyprawa jest dla mnie bardzo ważna. Musi mi pan zaufać.

– Och, ufam panu, bez dwóch zdań – odparł Ron, i mówił prawdę. Wyczuwał szczerść Michaela, słyszał ją w jego głosie.

Michael rozłączył się i opublikował na Facebooku kolejny status: „Rozmawialiśmy z właścicielem Tabor, to naprawdę miły facet. Do wtorku wyjedziemy z Montany, po powrocie do Portland oddaję mu Tabor (Matę). Nie smućcie się, bo czas świętować: Tabor wraca do domu”.

Położony o kilkanaście minut jazdy od domu Waltera Helena National Forest otacza miasto od wschodu, zachodu i południa. Po pokonaniu serpentynowych górskich dróg oplatających gęsto zalesione wzgórze, jakieś piętnaście mil za miastem Michael zaparkował na wysokiej skarpie na skraju szosy, skąd mogli rozpocząć wędrówkę.

Otoczeni bezkresnym błękitnym niebem zachodu i górami Big Belt, przeszli przez pas ziemi uprawnej, a następnie ogrodzenie z drutu kolczastego i zaczęli wspinać się na wysokie wzgórze. Tabor wdrapywała się po stromym, tonącym w kwiatach zboczku na swojej smyczy, truchtając żwawo niczym mała kozica, z krótkimi postojami na obwąchiwanie mysich dziur i boksowanie wiotkich mleczy.

Z reguły podczas wspólnych wędrówek Michael pokazywał Kyle'owi różne gatunki ptaków, drzew i kwiatów, ale dziś był przygaszony i nieobecny myślami. W połowie drogi na szczyt wziął Tabor i wrócił do samochodu, a jego kompan poszedł dalej sam.

Dwadzieścia minut później, gdy Kyle wracał przez pole, Michael siedział na masce samochodu, a Tabor umościła się przy nim, wodząc tęsknym wzrokiem po rozciągającej się przed nimi cichej sosnowej dolinie. Michael nie mógł się nadziwić, że tak dobrze wyczuwają nawzajem swoje uczucia i nastroje. Zrobiłby wszystko dla tej małej, słodkiej koteczki i zastanawiał się, jak poradzi sobie bez niej. Wypełniała niemal wszystkie godziny jego dnia bezwarunkową miłością, o której nie wiedział, że tak jej potrzebuje.

Tabor leżała w słońcu w półśnie, ale poderwała się na równe łapy, strzygąc uszami i wąsami, gdy usłyszała chrzęst żwiru pod stopami zbliżającego się Kyle'a.

– Natknąłem się na takie trzy sterty kamieni na wzgórzu i zrobiłem im zdjęcie – powiedział zziębnięty Kyle, pokazując Michaelowi swój telefon. – Były tak jakby ułożone rzędem... Sterty kamieni do wysokości kolan, przypominające jakieś ołtarze.

– Pewnie są nimi – odparł Michael i na chwilę zamilkł. – Jakieś dwadzieścia pięć lat temu dokładnie w tym miejscu potrafiłem jelenia. Wracalem do domu po robocie w czymś ogrodzie, a on wyskoczył nagle znikąd, wprost pod koła mojego samochodu. Był w strasznym stanie i płakał wniebogłosy jak dziecko, leżąc pośrodku drogi z połamanymi nogami. Musiałem poderżnąć mu gardło szczyrzykiem.

Kyle wyglądał na lekko zszokowanego.

– Nie mogłeś zabrać go do weterynarza?

– Naprawdę był w bardzo złym stanie – wyjaśnił Michael, wyraźnie poruszony tym wspomnieniem. – Nie masz pojęcia, jak krajało mi się serce, że ot tak muszę odebrać komuś życie. Na trzy dni poszedłem w cug.

Potem Michael wyjął ich rzeczy z samochodu. Zapakował trochę jedzenia, wody i piwa. Od przyjazdu do Waltera nie tknął ani kropli alkoholu. Zaprowadził towarzystwo w miejsce, gdzie ostatnim razem rozbił obóz – do zakątka w samym sercu kanionu, tuż przy strumieniu.

Znaleźli polankę przy potoku, otoczoną kokonem świerków, osik i sosen wydmowych, i rozłożyli śpiwory. Michael zawsze dobrze się czuł w otoczeniu drzew, a sypianie pod baldachimem sosen i rozciągającym się nad lasami Montany gwiaździstym niebem nie miało sobie równych. Ostry, intensywny zapach świerków oraz szaławii był upajający i przywodził Michaelowi na myśl piękne wspomnienia z czasów, gdy pracował jako ogrodnik i niekiedy udawało mu się zarobić wystarczająco dużo, by spędzić większość lata na biwakowaniu.

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu, gdy słońce schowało się za koronami drzew, bezdomni wyjęli radio i karty. Gdy zrobiło się już zbyt ciemno, Michael rozpałił ognisko i grali dalej. Rozmarzona Tabor była pochłonięta obserwowaniem świetlików, na które się porywała, nie opuszczając kolan Michaela. Potem Michael usmażył burgery, ziemniaki, fasolę i zieleninę, wyczarowując prawdziwą ucztę, którą jednak nie potrafił się cieszyć. W jego oczach było to jak ostatnia wieczerza. Jeszcze długo siedzieli z Kyle'em i wciśniętą między nich Tabor przy ognisku, patrząc, jak dogasa.

Nic nie mogło podnieść Michaela na duchu. Kyle zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, żeby jego towarzysz przestał tak cierpieć. On też przywiązał się do Tabor, a na myśl o rozstaniu z nią ścisnęło mu się serce. Zasypali ognisko i zwinęli się w śpiwory; Tabor wtuliła się w Michaela, głośno mrucząc.

Obudziwszy się następnego ranka, Michael nakarmił kotkę i zostawił ją leniwie rozłożoną na swoim śpiworze w promieniach słońca, które przedzierało się przez korony drzew. Chciał nacieszyć się ich każdą wspólną chwilą, ale głęboki smutek, jaki odczuwał, przygotowując się psychicznie na rozstanie ze swoją najlepszą przyjaciółką, swoją towarzyszką podróży, nie opuszczał go ani na chwilę.

Szperając w prowiancie w poszukiwaniu kawy i produktów na śniadanie, Michael kątem oka zauważył coś ciemnego i futrzastego, wynurzającego się i chowającego za sosnami po drugiej stronie strumienia.

– O mój Boże – szepnął do siebie. – Przy potoku jest niedźwiedź.

Tabor też go zauważyła, a oczy zrobiły jej się okrągłe jak spodki. Kręcąc głową z boku na bok, zaczęła niuchać i zerkać z zaciekawieniem na ciemny, rozmyty kształt wychylający się zza drzew. Michael temu jej charakterystycznemu spojrzeniu nadał nazwę: „Hej, czuję niedźwiedzia nosem”. Ale podczas gdy on zaczął się denerwować, Tabor nie traciła spokoju i opanowania, nie spuszczając wzroku ze zwierza. Jako zaprawiona w boju znawczyni niedźwiedzi wiedziała, że ten osobnik nie stanowi żadnego zagrożenia.

Zwierz zauważył Michaela i czmychnął za drzewa. Jego połyskująca w słońcu sierść miała czarny kolor i lśniła jak onyks. Był zachwycająco piękny, ale dużo mniejszy i bardziej uroczy od niedźwiedzia brunatnego, którego spotkali w Yosemite – nie był jeszcze dorosły, lecz młode lata też miał już za sobą.

– Musimy stąd iść – odezwał się Michael do Kyle’a, który właśnie wiązał sznurówki. – Jeśli w okolicy grasuje młody niedźwiedź, jestem pewien, że jego matka też jest gdzieś niedaleko.

Mimo że to niespodziewane spotkanie w lesie miało w sobie dreszczyk emocji, stwierdził, że lepiej będzie wrócić z Kyle’em i Tabor do domu Waltera.



Rozdział dwudziesty czwarty

„Ta kotka była tęczą rozweselającą mój ponury świat”

W sobotę po południu, gdy cała trójka wróciła z biwaku, Walter siedział przy kuchennym stole w towarzystwie eleganckiego starszego jegomościa ze srebrzystymi, sumiastymi wąsami.

Opowiadał gościowi o swoim pierwszym spotkaniu z Michaeliem podczas mitingu AA na jesieni 1981 roku. Wchodząc tylnymi drzwiami, Kyle i Michael usłyszeli końcówkę opowieści: „Michael przejeżdżał wtedy przez Helenę i to zapoczątkowało naszą wspólną podróż”.

Zauważywszy Michaela, Walter wyjaśnił:

– Ten pan przyszedł zrobić z tobą wywiad do gazety.

Następnie wstał i przeprosił towarzystwo, tłumacząc, że musi „nakarmić głodnego kota”. I rzeczywiście: nieszczęśliwy Gus płakał wniebogłosem w progu salonu, więc Walter wyjął z szafki puszkę kociego żarętka i napełnił stojącą na blacie porcelanową miseczkę.

Wąsaty reporter nazywał się Al Knauber i pracował dla lokalnej gazety „Independent Record”. Wstał od stołu i uściśnął Michaelowi dłoń. Słyszał opowieść o nim i jego kotce podróżniczce od doktora Armstronga i chciał porozmawiać z Michaeliem przed ich wyjazdem z Heleny.

Kyle wyszedł do ogródka na papierosa. Tabor wskoczyła na stół kuchenny i mrucząc, położyła się na boku, upojona i wyczerpana ostatnią przygodą; nie miała nawet siły podciągnąć zwisającej ze stołu główki, która przypominała teraz przywiędły, puchowy pąk chryzantemy.

– Jest wykończona. Ja i mój przyjaciel Kyle zabraliśmy ją w góry na biwak – wyjaśnił Michael, po czym opowiedział dziennikarzowi historię jej znalezienia. – Widuję koty wszędzie. Nie dlatego ją wziąłem, że chciałem mieć kota. Była po prostu przemoczona, przerażona i wychudzona.

Spojrzał na rozłożoną na stole Tabor, na jej piękną, chryzantemową główkę zwisającą z krawędzi blatu, jej skośne oczy, które były teraz na wpół otwarte i wpatrywały się w niego, i zdusił łkanie.

– Naprawdę potrzebowałem jej towarzystwa – powiedział i oczy napełniły mu się łzami. – Jestem bezdomny, a depresja to jeden z największych problemów ulicy. Ta kotka była tęczą rozweselającą mój ponury świat.

Michael przerwał, gdy Gus wymaszerował z kuchni, ale najwidoczniej szybko zmienił zdanie, bo zaraz wrócił.

– Teraz wraca do swojego domu – dodał po chwili Michael. – To będzie smutny dzień. Jakichś sześciu czy siedmiu dorosłych facetów będzie wtedy płakało. Bardzo się do niej przywiązałem. Mój plecak będzie o te dziesięć kilo lżejszy, ale ta pustka, ta pustka...

Gdy skończyli rozmawiać, Michael odprowadził Alę Knaubera do drzwi, by się z nim pożegnać. Tabor podniosła sennie głowę i miauknęła, wodząc wzrokiem za wychodzącym Michaeliem. Niedługo potem mężczyzna wszedł na Facebooka i zobaczył, że czeka na niego wiadomość od właściciela Tabor, Rona: „Mike, obejrzyj sobie zdjęcia Maty, kiedy była malutka. Są na moim profilu w albumie »Mato, proszę, wróć«. Czas rozłożyć czerwony dywan i zacząć przygotowania do imprezy powitalnej”.

Michael odpisał: „Cześć, Ron. Do mojego taty przyszedł dziś reporter z lokalnej gazety; chcą o nas napisać. Artykuł ukaże się w poniedziałkowym wydaniu »Helena Independent Record«”.

Nie minęła chwila, a od Rona przyszła odpowiedź: „Dzięki, Mike. Już do mnie dzwoniли i rozmawiałem z nimi dziś rano. Nie mogę się doczekać artykułu”.

Zanim Michael zdążył spokojnie obejrzeć zdjęcia Tabor i jej brata, zadzwonił dzwonek do drzwi. Gościem okazał się fotograf z „Independent Record”. Dylan Brown, wysoki, szczupły, gładko ogolony blondyn o krótkich kręconych włosach i niebieskich oczach, był właściwie jedynym sobotnim fotografem gazety i musiał uwijać się jak w ukropie, żeby zdążyć zrobić zdjęcia do wszystkich artykułów. Walter otworzył mu drzwi, a Tabor zeskoczyła ze stołu i potruchała do salonu, do Michaela.

Robiąc kilka szybkich fotek Michaelowi i Tabor, Brown z miejsca zauważył głęboką więź, jaka łączyła kotkę i tego mężczyznę.

A Tabor naturalnie pławiła się w blasku fleszy, pozując i podskakując z największym wdziękiem, na jaki było ją stać.

– Kocham tę kotkę – powiedział Michael, uśmiechając się do niej promiennie i przy okazji pokazując swoje niepełne uzębienie. – Chyba nawet nie powinienem pchać się z nią do zdjęcia. To ją wszyscy chcą widzieć, a nie jakiegoś starego obdartusa jak ja.

Zupełnie jakby odczytywała jego myśli, Tabor wskoczyła natychmiast na stojący przed nosem Browna telewizor i spojrzała prosto w aparat, eksponując swoje ciepłe, głębokie eukaliptusowe oczy.

Dwa dni później, w poniedziałek siedemnastego czerwca 2013 roku, właśnie to zdjęcie ukazało się w „Helena Independent Record” pod nagłówkiem „Ta kotka była tęczą rozweselającą mój ponury świat”.



Tamtego poniedziałkowego ranka Michael siedział przy kuchennym stole, przeglądając gazetę w poszukiwaniu artykułu o sobie i Tabor. Pokazał go pochylonemu nad blatem Walterowi, który właśnie robił kawę.

– Tabor wygląda tu tak pięknie – powiedział, a czytając dalej, doznał małego szoku, gdy z lektury artykułu dowiedział się, że wcześniej kotka wskoczyła do bagażnika obcego samochodu, a Ron odzyskał ją dopiero sześć miesięcy później. – Ooo, będziemy się gniewać – dodał. – Uciezki to dla niej nie pierwszozna.

Dokładnie w chwili, gdy to mówił, Tabor wparowała do kuchni i przebiegła przez kafelkową podłogę, kopiąc łapkami nakrętkę od butelki z wodą. Tuż za nią wszedł Kyle, taszcząc swój plecak.

– Cieszę się, że wzięli to zdjęcie – powiedział Michael, pokazując mu artykuł.

Zaglądając przyjacielowi przez ramię, Kyle się roześmiał.

– Rozmazali twoją sylwetkę w tle.

– Na to właśnie liczyłem.

– Dzień dobry – przywitał się z Kyle’em Walter, stawiając przed nimi na stole dzbanek kawy i talerz gofrów.

Jedli i pili w ciszy, a Tabor biegała im między nogami, dopóki się nie zmęczyła. Następnie wskoczyła na stół i położyła się na boku. Po śniadaniu Walter wstał i zaczął przygotowywać im kanapki na drogę. Zaproponował też, że podrzuci ich do najbliższej autostrady.

Michael natomiast opowiedział Kyle’owi niezwykle realistyczny sen, który miał tej nocy.

– Śniły mi się dwa jelenie kanadyjskie – zaczął. – O tym samym śniłem, gdy byłem u Waltera zimą rok przed znalezieniem Tabor. Tej nocy padał śnieg. Wyglądam przez okno i widzę dwie duże samice jelenia leżące w zaspie pod domem. Dostrzegam, jak układają się na ściółce, a potem sam idę spać. Następnego ranka, wychylając się z łóżka, znowu patrzę przez okno i widzę, że te same dwie samice strząsają z siebie płatki śniegu. Opuszczają podwórko i zaczynają znikać za tęczą, a potem zamieniają się w Indianki ubrane w jelenią skórę.

– Byłeś pijany? – zapytał Kyle, szczerząc zęby.

– Wiesz przecież, że nie mogę pić u Waltera.

– Jak myślisz, co oznaczał ten sen?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Michael wstał bez słowa, uprzątnął talerze i zaczął pakować ich rzeczy do subaru Waltera. Chciał wyruszyć jak najszybciej.

Gdy Walter zawijał kanapki w brązowy woskowany papier, zadzwonił telefon. Gospodarz odebrał, po czym krzyknął przez tylne drzwi do Michaela:

– To Kathleen... Twoja matka.

Michael wszedł do kuchni i posłusznie wziął słuchawkę. Nie pamiętał, kiedy matka ostatni raz do niego dzwoniła, i zastanawiał się, skąd wiedziała, że jest u Waltera.

– Cześć, mam – powiedział do słuchawki.

– Michael! – zawołała ze swoim czystym angielskim akcentem. – Jesteś w gazecie!

Artykuł został sprzedany pismom w całym kraju.

– Sąsiadka przeczytała rano o tobie i kotce – ciągnęła. – A więc ją oddajesz?

– Ee... tak. Dziś – potwierdził, dukając. – Zabieram Tabor z powrotem do Portland... do jej właściciela.

– To bardzo miłe z twojej strony, Michael.

To z kolei była pierwsza miła rzecz, jaką od bardzo dawna od niej usłyszał. I równie miło było to usłyszeć, ale jednocześnie nie potrzebował jej aprobaty. Miał Kyle'a, Stinsona i dużą rodzinę tułaczy rozsianych po całym Zachodzie. Miał Waltera, a chwilowo także kotkę, którą kochał. To właśnie oni dawali mu rodzinne ciepło i poczucie bezpieczeństwa, których nie zaznał od prawdziwych krewnych.

– Dzięki – powiedział. – Cóż, właśnie zbieramy się do wyjazdu.

– Okej, kochany. Bezpiecznej drogi.

Rozłączając się, odwrócił się do Kyle'a i Waltera.

– Zobaczyła artykuł w lokalnym piśmie.

Walter wziął gazetę i kubek kawy i poszedł usiąść w swoim fotelu w salonie, by w spokoju zagłębić się w lekturze artykułu. Gus udał się w ślad za swoim panem. Kyle spojrzał pytająco na Michaela.

– Nie wiedziałem, że się do siebie odzywacie – powiedział.

– Dzwonię do matki raz na jakiś czas, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku – odparł Michael, uciekając wzrokiem, jak zawsze, gdy nie miał ochoty o czymś rozmawiać. – Jest jedyną matką, jaką mam. Muszę jej przebaczyć. Ma siedemdziesiąt osiem lat i została całkiem sama. Zmarnowałem mnóstwo czasu i energii, nienawidząc jej. Wszystko, co mi zrobiła, nie ma już znaczenia.

– Każdy ma swoją historię – wtrącił Walter, wróciwszy do kuchni. – Ważne jest, co zrobimy ze swoim życiem po tym, jak uświadomimy sobie, że było nam ciężko – ciągnął. – Nie ma miejsca na rozgoryczenie. Ja nienawidziłem ojca. Był kochającym człowiekiem, pochodził z Montany. Był najstarszy z piątki rodzeństwa i ojciec go chłostał. Do własnego małżeństwa i własnej rodziny wniósł to, czego się nauczył. Gdy wiele lat później zacząłem się nad tym zastanawiać, uświadomiłem sobie, że w chwili moich narodzin był zaledwie dziewiętnastolatkiem, a zanim dobił do trzydziestki, miał już pięcioro dzieci. Zapewnił mi dach nad głową, wyżywienie i ubranie, posłał mnie do katolickiej szkoły. Starał się, jak mógł, a ja wycierałem sobie nim gębę. Gdy już otrzeźwiałem i przyjrzałem się temu, co udało mu się osiągnąć, było mi za siebie wstyd. Matka Michaela też miała trudne dzieciństwo. I piątkę dzieci, które rodzice musieli wyżywić z policyjnej pensji. To jasne, że się frustrowała – kto by tego nie robił na jej miejscu. I właśnie dlatego zawsze powtarzam, że trzeba na wszystko spojrzeć z właściwej perspektywy: ludzie robią to, co muszą, by przetrwać.

Kyle również postanowił podzielić się swoją historią.

– Oprócz mnie moja matka urodziła jeszcze dziewięć dzieci siedmiu facetom – wyznał. – Nigdy jej nie poznałem ani nawet nie wiem, jak wyglądała. Słyszałem, że zmarła w 2007. Jeden z moich przyrodnych braci, którego przypadkiem spotkałem w domu przyjaciela, powiedział mi, że była z jakimś facetem, który ją zastrzelił, a potem popełnił samobójstwo.

– Przykro mi – odezwał się Michael. – To straszne.

– Nigdy nie była częścią mojego życia, ale po tym, czego się nasłuchałem, może to i lepiej – ciągnął Kyle, zagłębiając się ospale w fotelu. – Masz może zdjęcie swojej matki?

Zostawiając Waltera i Kyle'a przy kuchennym stole, Michael zniknął za drzwiami swojej sypialni, z której przyniósł poźółkły album ze zdjęciami.

– To ona w dniu swojego ślubu w Londynie – powiedział, wskazując na czarno-białą fotografię z lat pięćdziesiątych, przedstawiającą uśmiechniętą młodą parę na tle starego, pokrytego sadzą kamiennego kościoła. Panna młoda miała wysoko zapinaną, ściśniętą szerokim, sztywnym pasem koronkową suknię i włosy ułożone w fale. U jej boku stał dziarski przystojniak o chłopięcym wyglądem, w wojskowym mundurze. Miał gęste, rozczochrane czarne włosy i takie same błyszczące

bladoniebieskie oczy jak Michael.

Michael zamknął album i odniósł go do pokoju.

Wsunął zbiór fotografii z powrotem pod łóżko i włączył komputer, by zajrzeć na chwilę na Facebooka. Udostępnił artykuł z „Independent Record”, żeby wszyscy jego przyjaciele zdążyli się przygotować na rozstanie z Tabor.

Zamieszczając post, zobaczył wiadomość od Rona wysłaną poprzedniego wieczoru: „Mata to bez dwóch zdań mały włóczykij. Właśnie udzieliłem pierwszego w życiu wywiadu, od północy będzie dostępny online na stronie Helena.air.com”.

U siebie na profilu Ron zamieścił tego ranka również wideo, które opatrzył tytułem „Mata Hairi 007”. Gdy Michael je włączył, dowiedział się, że Tabor była w wiadomościach KGW Channel 8, lokalnej stacji telewizyjnej w Portland. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Tabor i Michaela z „Independent Record”, a na pasku w dole ekranu biegł napis: „Powrót Maty Hairi”.

W obiektywie kamery pojawiła się czterdziestoparoletnia prezenterka z lśniącą grzywką.

– Po wielu przygodach na całym Północnym Zachodzie kotka o imieniu Mata Hairi wraca wreszcie do domu – powiedziała. – Takie rzeczy tylko w Portland – dodała, wyglądając, jakby powstrzymywała wybuch śmiechu. – Mata Hairi w kocim wydaniu została znaleziona w Portland przez pewnego obieżyświata, który wziął ją na smycz i razem ruszyli w podróż po Zachodnim Wybrzeżu.

– Kotka wylądowała w Montanie – wtrącił jej współprowadzący, uśmiechając się od ucha do ucha – a za kilka dni wyrusza w drogę powrotną do południowo-wschodniego Portland. Nasza redakcyjna koleżanka Erica spędziła popołudnie z właścicielem kotki.

Na ekranie pojawiła się smukła blondynka o niebieskich oczach stojąca w centrum Portland.

– Musicie państwo wiedzieć, że Mata Hairi ma talent do gubienia się i ponownego odnajdywania. Obieżyświat o przydomku Mike Węszyciel mówi, że znalazł ją rok temu we wrześniu na styku Hawthorne Boulevard i Trzydziestej Osmej Ulicy w Portland. Zabrał ją na biwak do Ventury w Kalifornii, na wycieczkę do samego Yosemite, a na deser do Montany, gdzie poszedł z nią do weterynarza, który odkrył, że kotka jest zachipowana. Weterynarz zawiadomił mieszkającego w Portland właściciela podróżniczki.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie brodatego Rona Mossa siedzącego na sofie z Matą i jej czarno-białym braciszkiem w ramionach. Potem pojawił się sam Ron, mówiąc:

– Przemierzyła z nim trzy i pół tysiąca mil. Pojechali razem do Parku Narodowego Yosemite i... hm, biwakowali w całych Stanach. Mam nadzieję, że kiedy wrócą, nie okaże się, że woli jego ode mnie – dodał z nerwowym śmiechem.

W obiektywie kamery ponownie pojawiła się ładniutka blond reporterka Erica.

– Powrót kotki jest przewidywany na środę bądź czwartek. A tak przy okazji, to nie pierwsza eskapada Maty Hairi. Dwa lata temu po półrocznym zaginięciu odnalazła się w Vancouver.

W studio dwójka prezenterów przerzucała się żarcikami o kotce autostopowicze.

– Aż wierzyć się nie chce – powiedziała reporterka ze lśniącą grzywką, raz jeszcze powstrzymując się od śmiechu.

– No cóż, po takiej przygodzie łowienie myszy będzie jej się wydawało nudne – skwitował wyszczerzony współprowadzący, unosząc brew.

– Łowienie myszy na pewno nie będzie już takie samo – powiedział Michael, po czym powtórzył swoje słowa w wiadomości do Rona, z dopiskiem: „Wciąż jeszcze musimy się dostać do Portland!!!”.

Wrócił do kuchni i ogłosił wszem wobec, że byli z Tabor w telewizji. Trochę szumiało mu w głowie na myśl o tym, że oglądał ich cały Północny Zachód.



Był piękny letni dzień, a jasne słońce połyskiwało na tle szafirowego nieba, gdy Walter wysadzał ich na skraju miasta przy wjeździe na I-90. Na pożegnanie przytulił Michaela, a Kyle'a poklepał serdecznie po plecach.

– Zachowuj się – nakazał Michaelowi, po czym odwrócił się do Tabor i delikatnie zmierzwił jej futerko. – Opiekuj się nim, kocie, i dopilnuj, by dotarł bezpiecznie do domu.

– Tak jest – przyrzekł Michael i uśmiechnął się szeroko, słysząc, że Walter wciąż uważa Tabor za samca. Obiecał, że zadzwoni, gdy tylko dotrą na miejsce.

Walter odjechał, a trójka wędrowców czekała na okazję przy drodze. Kyle zajął się swoją deskorolką, Michael nerwowo palił papierosa za papierosem, a Tabor, mrużąc, położyła się na plecaku Michaela. Jej opiekun zaczął myśleć o tym, jak bardzo będzie mu brakować tej kotki i jej zabawnych zwyczajów: tego, jak lizała go po twarzy, by go obudzić, jak ciągnęła za brodę, gdy próbował złapać jeszcze trochę snu, jak niekiedy nabierała łapką jedzenie. Wszystkie te myśli, które pojawiły się w jego głowie, gdy tak leżała i mrużęła tuż obok, sprawiły, że perspektywa utraty Tabor stała się jeszcze boleśniejsza.

Już po niespełna dziesięciu minutach złapali okazję do Missouli, a tam, gdy tylko wystawili tabliczkę z napisem: „Potrzebna podwózka do Portland”, na ich znak zatrzymał się kolejny samochód. Był to mały kompakt prowadzony przez dwie uśmiechnięte Indianki w towarzystwie siedzącego między nimi ciemnobrązowego szczeniaka, który wyglądał jak miniaturowa wersja psa Madison, Bobby’ego.

– Długo tu stoicie? – zapytała kobieta za kółkiem, opuszczając szybę.

– Wow, czy to kot? – zachwyciła się jej koleżanka na fotelu pasażera, zanim którykolwiek z nich zdążył otworzyć usta, by odpowiedzieć.

Kobiety jechały na północ, do Spokane w stanie Waszyngton, i zaproponowały im podwózkę do samego Portland. Gdy tylko Michael i Kyle wskoczyli do samochodu, kobieta za kierownicą odwróciła się do nich z uśmiechem na twarzy.

– Już w ogóle nie widzimy autostopowiczów.

Michael odwzajemnił uśmiech, a w duchu odpowiedział: „Nie widzicie ich, bo zawsze udaje im się złapać okazję”. Choć po pobycie u Waltera obaj byli czyści i mniej obdarci, bezdomny miał pewność, że to Tabor załatwiła im tę podwózkę.

Z tylnego siedzenia Michael zaczął się przyglądać odwróconym głowom obu kobiet i po chwili nachylił się do Kyle’a z szeroko otwartymi oczami.

– Pamiętasz ten sen o dwóch samicach jelenia, który ci opowiadałem? – szepnęła. – Czy to *déjà vu*?

W pierwszej chwili Kyle nie wiedział, o co chodzi.

– Wow, niesamowite – odparł w końcu przyciszonym głosem.

Kobiety były bardzo rozgadane i przyjacielskie, pytały o kotkę, zaproponowały nawet, że kupią im coś do jedzenia, ale Michael podziękował, zapewniając, że już jedli.

Z Tabor zwinęta w kłębek na kolanach Michael spoglądał przez szybę na bezkresne niebo, kłębiące się nad równinami chmury, promienie słońca przezierające przez gałęzie sosen, pasące się w oddali jelenie kanadyjskie i wirginijskie. Próbował cieszyć się tą ich ostatnią wspólną przygodą, jakby to była dodatkowa rundka honorowa, ale czuł tylko smutek.

– Co pan zamierza zrobić po oddaniu kotki właścicielowi? – zapytała kobieta z fotela pasażera, odwróciwszy się do nich.

– Nie wiem – odparł Michael, zwieszając głowę. Nie był w stanie opisać bólu złamanego serca, jaki odczuwał. – Będzie mi ciężko, bo ostatnie dziesięć miesięcy spędziłem z nią na kolanach. Nie chcę zostać w Portland, płacząc po jej stracie. Myślę o tym, żeby zaszyć się gdzieś z przyjaciółmi w lasach Prineville w Oregonie.

Po godzinie jazdy Kyle zauważył, że Michael stał się niespokojny i chciał wysiąść z samochodu. W zwykłych okolicznościach taka podwózka byłaby na wagę złota, ale teraz jedynie skracała jego czas z Tabor, a on chciał przedłużyć podróż powrotną.

W końcu Michael zapytał kobiety, czy mogłyby wysadzić ich wcześniej, w St. Regis, małej miejscinie schowanej w górach na granicy puszczy w zachodniej Montanie – czyli o wiele godzin jazdy od jakiegokolwiek cywilizacji. Gdy poprosił je, by zatrzymały się na porośniętym lasami odludziu, zanim jeszcze dotarli do Idaho, zobaczył przeblysk strachu w ich oczach. Musiały pomyśleć, że podwożą dwóch

wariatów.

– Tutaj? – zapytała kobieta za kółkiem, zjeżdżając z autostrady, by ich wysadzić. W zasięgu wzroku nie było tu nic oprócz gęstego lasu jodłowego.

– Tak, idealnie – odparł Michael, uśmiechnął się szeroko i otworzył drzwi. – Dziękujemy.

Wyskoczył z samochodu, po czym wyciągnął rzeczy i podniósł Tabor.

Sekundę po tym, jak kobiety odjechały, zostawiając ich na opuszczonej wiejskiej drodze przy zjeździe z I-90, Kyle zapytał:

– Jak sądzisz, co to znaczy, gdy twój sen staje się rzeczywistością?

Michael nic nie powiedział. Przypiął Tabor smycz i postawił ją na ziemi, żeby rozprostowała łapy. Kotka przykucnęła na poboczu, siusiąjąc. Zakopawszy elegancko swoją toaletę, wróciła na plecak Michaela.

Maszerując wiejską drogą otoczoną olbrzymimi sosnami, zobaczyli majaczący w oddali duży, żółty znak z czarnym rysunkiem krowy i ostrzeżeniem: „Teren otwarty. Uwaga na bydło na drodze”. Pojawił się też drugi żółty znak z rysunkiem jelenia kopiającego człowieka, ostrzegający przed dzikimi zwierzętami.

Lekko zaniepokojony Kyle rozejrzał się wokół.

Niebo stawało się coraz ciemniejsze, a nad górskimi szczytami przepływały purpurowe chmury. Letnie burze w Montanie bywały gwałtowne i niebezpieczne, niekiedy powodowały nawet pożary lasów. Zaczęła padać drobna mżawka, która szybko zmieniła się w ulewę.

Tabor marudziła na ramieniu Michaela – nie cierpiała moknąć, więc schował ją sobie pod bluzę z kapturem i zasunął zamek, spod którego wystawała jej tylko głowa. Przyciskając kotkę mocno do piersi, zaczął biec z Kyle'em przez mokrą, grząską trawę, by schować się pod wiaduktem autostrady. Tam rozłożyli prowizoryczny obóz.

Michael pozbierał wszystkie suche gałązki i konary, jakie udało mu się znaleźć w pobliżu, i rozpalił małe ognisko. Potem obaj rozłożyli nowe śpiwory od Waltera i zjedli kanapki, które zrobił im na drogę. Tabor natychmiast zagrzebała się w śpiworze swojego opiekuna.

Padło cały dzień i całą noc – choć nie był to ulewny deszcz jak w Portland – ale bezdomni nie mieli dokąd pójść, więc zostali pod ruchliwym wiaduktem, rozmawiając i nasłuchując dalekich grzmotów w górach. Wypili też dużą butelkę wódki, którą wzięli na drogę.

Michael dziękował za każdą minutę z Tabor, a ta spędziła większość czasu ciepło opatulona, przemieszczając się między ich śpiworami.

– Prawie nikomu o tym nie mówiłem – zaczął Michael. – To była noc w przeddzień śmierci Mercera. Jestem w drugiej sypialni, a po tej stronie mam salon. Idę w kierunku kuchni, skręcam w lewo i wchodzę do pokoju, w którym śpi Mercer. Siedzę przy jego łóżku, dłubiąc przy czymś, i nagle słyszę skrzypienie podłogi, jakby ktoś wchodził do sypialni, ale gdy podnoszę wzrok, nikogo nie ma. Nagle przez pokój przepływają jakieś trzy cienie. Prawie zemdlałem, jak to zobaczyłem. Pierwszy facet miał okulary i kapelusz z rondem. Drugim cieniem była staruszka o kręconych włosach, a za nią stał wysoki mężczyzna w marynarce. Pomyślałem sobie: „Przyszli się pożegnać”. Następnego dnia Mercer umarł.



– To dopiero historia.

– Po pogrzebie opowiedziałem o tym jednej z siostr Mercer, a ona mówi: „Och, to ten a ten wujek, to mama, a to tata”.

– Wow... Nie mogłeś tego zmyślić.

– Tak, i właśnie dlatego nie lubię o tym mówić. Można dostać gęsiej skórki. – Na chwilę umilkł.

– Boli mnie samo wspomnienie... – Michael urwał z drżącym głosem. Nawet wypowiedzenie imienia Mercera wydawało mu się swego rodzaju zdradą.

Niemal dziesięć lat po stracie Mercera, będąc do tego blisko rozstania z Tabor, Michael poczuł, że nie ma dla niego ucieczki przed samotnością i pustką. Tej nocy pod wiaduktem nawiedzały go

koszmary. W jednym z nich było tuż po pogrzebie Mercera, a Michael siedział sam w ich domu w St. Louis, przygotowując się do opuszczenia go na dobre. Chciał z kimś porozmawiać, więc zadzwonił do matki i szlochając, powiedział jej, że Mercer umarł.

Roztrzęsionego Michaela obudził nagle łomot przejeżdżających wiaduktem samochodów i ciężarówek. Brzeg jego śpiwora był mokry od łez. Dzień miał się już ku końcowi i Michael uzmysłowił sobie, że przespał poranek i większość popołudnia.

Następnego dnia pod wiaduktem nie mógł przestać myśleć o wszystkich smutnych rzeczach, jakie go w życiu spotkały. Chciał po prostu zniknąć. Pałac skręcanego papierosa i głaszcząc Tabor wolną ręką, wpatrywał się otępiąłym wzrokiem w padający deszcz i mokrą drogę, w której odbijały się światła reflektorów. Wyczuwając czarne chmury, jakie zbierały się w jego duszy, Tabor zajrzała mu głęboko w oczy. Wstała z wymoszczonego gniazdka w śpiworze, rozprostowała łapy i przytuliła się do Michaela.

Gdy weszła mu na kolana, mierzwiąc sobie futerko, zaczął płakać. Wiedział, że nikt inny nie jest w stanie pojąć bólu jego złamanego serca i pustki, jaką czuł w środku. Ta mała, przyklepna koteczka ze swoją barwną osobowością, żywiołowością i serdeczną przyjaźnią była jak futrzasty balsam przynoszący ukojenie, jak pociecha przepędzająca niepokój i czarne myśli. Bez jej ciepła i stałej obecności nic już nie będzie takie samo.

Mimo że nie wahał się ani chwili, by oddać Tabor właścicielowi, w głębi jego duszy toczyła się walka pomiędzy poczuciem tego, co słuszne, a wielką miłością, jaką darzył tę drobną kotkę. Raz jeszcze pomyślał o tym, co powiedział mu Walter, gdy Michael jako nastolatek przyniósł do domu ze stodoły chore i wygłodzone kocięta: „Opiekując się innymi, odnajdujemy siebie”.

Potem jednak chciał się napić, by zagłuszyć uczucia i myśli. Kiedy Tabor ponownie zasnęła, delikatnie ją podniósł i włożył do jej przenośnego domku. Zerknął na Kyle'a, który słuchał radia i grał w kości sam ze sobą.

Wstał i narzucił bluzę z kapturem.

– Idę kupić piwo... Zaraz wracam – rzucił i zniknął w strugach deszczu. Kyle wiedział, że gdy Michael jest w złym nastroju, to nie przemawiają do niego żadne argumenty.

Michael ruszył szosą odchodzącą od wiaduktu, mając nadzieję, że po drodze natknie się na jakiś monopolowy. Nagle zobaczył migoczący na biało i czerwono neon, reklamę baru z „pokerem, grami liczbowymi i piwem Miller Light”.

Gdy kilka godzin później wrócił do obozowiska, był kompletnie pijany i nie miał przy sobie ani grosza. Wydał wszystkie wspólne pieniądze – całe osiemdziesiąt dolarów.



Następnego ranka wstali razem ze słońcem. Niebo jaśniało przepyszny błękitem, a powietrze było przesycone świeżymi, leśnymi zapachami sosny i szalwii. Gdy tylko spakowali się i przenieśli spod wiaduktu na wjazd na autostradę, wystawili tabliczkę z napisem „Portland, Oregon” i dość szybko udało im się złapać okazję. Na ich znak zatrzymał się zakurzony kompakt na waszyngtońskich blachach kierowany przez młodego mężczyznę o sympatycznej twarzy i zmierzwionej czuprynie.

– Macie szczęście, jadę do Seattle – powiedział, wyskakując z samochodu, by pomóc im załadować rzeczy.

Powiedział Michaelowi, że zatrzymał się, ponieważ kocha koty, i podrzucił ich aż do centrum Seattle.

Czterysta mil później, kiedy Michael skończył opowiadać mu całą historię Tabor, mężczyzna powiedział:

– Tutaj się rozstajemy, ale kupię wam bilety autobusowe do Portland, żebyście bezpiecznie dotarli na miejsce.

Przy następnym skrzyżowaniu zjechał na pobocze, wyjął telefon i kartę kredytową i kupił im bilety na Greyhounda. Gdy jednak dotarli na dworzec, okazało się, że zapłacił tylko za jeden bilet.

– Wsiadaj, ja coś wymyślę – powiedział Kyle, wzruszając ramionami. Pomachał im na

pożegnanie i ruszył w swoją stronę.

Wykończony Michael wszedł do autobusu i zajął miejsce, trzymając transporter z Tabor na kolanach. Miał rozdarte serce, ale był gotów zakończyć ich wspólną podróż.



Rozdział dwudziesty piąty

Długa i kręta droga

Kiedy dwudziestego czerwca Michael i Tabor dotarli do Portland, miasto było w rozkwicie. Bujna zieleń, uderzająca do głowy woń sosen i róż, owoce zwisające z gałęzi drzew wzdłuż chodników i ciepłe, parne noce nawet tułaczom pozwalały odczuć, że żyją oni pełnią życia.

Wysiadłszy wczesnym wieczorem na dworcu w centrum, Michael szedł uroczystym krokiem przez miasto z Tabor przycupniętą na plecaku. Ramiona miał zgarbione, a pod oczami rysowały mu się głębokie cienie. Pustka i smutek, które poczuł pod wiaduktem, wciąż go nie opuszczały.

W ostatecznym rozrachunku powrót do Portland pochłonął trzy dni, cztery podwózki, galon wódki, kilka sześciopaków piwa i bilet autobusowy.

Michael wędrował ulicami zalanymi pomarańczową poświatą wczesnowieczornego światła, w której wszystko traciło ostrość. Centrum Portland było opanowane przez przejezdnych, narkomanów, dzieciaki na gigancie i młodociane prostytutki. Wielkie połacie miasta zamieniły się w dzielnice kartonowych domów, namiotów i wózków na zakupy z dobytkiem koczujących w nich ludzi. Mostem Burnside w zwolnionym tempie płynęła fala bezdomnych.

Michael szedł Hawthorne Boulevard, mijając rzędy witryn w stylu art déco, eklektycznych kawiarenek, księgarni i sklepów muzycznych. W bramie przed sklepem Crossroads Music siedziała para młodych ludzi ubranych w ciuchy w stylu vintage, śpiewając jakąś indiefolkową piosenkę o – stosownie do sytuacji – podróży dookoła świata. Kilka numerów dalej przystojny, samotny grajek uliczny z długimi czarnymi dreadami i ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi grał na elektrycznych skrzypcach, z których płynęły dźwięki nastrojowej bluegrassowej melodii.

Z Tabor wciąż przycupniętą na ramieniu Michael kierował się w stronę swojej starej miejscówki przy zatoczce UPS. To był słodko-gorzki powrót. Kochał Portland, z którego wyganiały go jedynie surowe zimy. Ale teraz miasto wydawało mu się skażone i przytłaczające. Przedzierając się przez falę turystów i przyjaznych miejscowych, zauważył, że większość przechodniów wciąż uśmiecha się na widok kotki. Zobaczył swój przydomek wypisany sprayem na hydrancie przed supermarketem, pod którym on, Kyle i Stinson zazwyczaj żebrali – wciąż tam był, nie zatarł się.

– No cóż, Tabor, jesteśmy na miejscu – powiedział, gdy dotarli do zatoczki. – Znowu w naszym pierwszym wspólnym domu.

Kotka otworzyła oczy szeroko ze zdumienia, kiedy zobaczyła, gdzie są. Zeskoczyła Michaelowi z ramienia i niuchając, przeprowadziła kontrolę zarośli oraz otarła się główką o wszystko, co spotkała na drodze, by zostawić swój zapach, zupełnie jakby odzyskiwała władzę nad utraconym królestwem. Gdy zaznaczała terytorium, ostrząc pazurki o korę klonu, Michael powędrował pamięcią do wszystkich nocy, które upłynęły mu na czuwaniu, bo mała nie mogła spać, spłoszona ulicznymi światłami i syrenami radiowozów, i do wszystkich chwil, kiedy bawili się razem w chowanego, co polegało na tym, że Tabor znikwała za drzewem albo krzakiem, zza którego wystawał jej ogon, i myślała przy tym, że jest świetnie schowana. Zastanawiał się, czy koty przywołują wspomnienia w podobny sposób jak ludzie.

Dał małej puszkę jej ulubionego kurczaka Fancy Feast i usiadł w bramie, by zapalić. Kotka chwyciła ząbkami kawał jedzenia i położyła mu je u stóp, żeby mieć towarzystwo przy kolacji. Zjadła i wszystko dookoła porządnie wylizwała, po czym zasnęła na jego plecaku z uroczym wystawionym języczkiem – ten widok zawsze go bawił.

Tabor uchyliła przed nim drzwi do innego świata i nauczyła go dostrzegać piękno w najmniejszych rzeczach.

Po jej drzemce przespacerowali się do końca Hawthorne, mimo że było już ciemno. Spotkali kilku przyjaciół, którym Michael opowiedział, co się stało, i razem rozłożyli obóz w parku. Kyle wysłał

esemes, że jest w drodze, a Ron napisał do Michaela z informacją, że po ich powrocie urządzi przyjęcie powitalne. Michael chciał oddać Tabor, gdy przyjedzie Kyle, i pragnął to zrobić razem z przyjaciółmi.



Obudziwszy się następnego ranka, zadzwonił do Rona i powiedział mu, że są w Portland i przyjdą około trzeciej po południu. Potem z Tabor na ramieniu wrócił do swojej zatoczki, gdzie chciał poczekać na Kyle'a. Przesiedział tam cały poranek, paląc i użalając się nad sobą. Tabor zdawała się wyczuwać jego smutek, bo bezustannie skakała między jego kolanami a stojącym obok plecakiem. Kyle zjawił się późnym rankiem, zastając Michaela skurzonego w bramie, ze wzrokiem wbitym w przysypiającą mu na kolanach kotkę. Jedną łapkę położyła sobie na oczy, chroniąc się przed słońcem, którego promienie rozjaśniały postać Michaela jak światło padające na ruiny domu.

– Szybko dotarłeś – odezwał się Michael. Miał przekrwione oczy i był cały wymięty.

– Nie było tak źle. Zadzwoniłem do taty i kupił mi bilet autobusowy – wyjaśnił Kyle i klapnął obok niego. – Masz fajkę?

Michael wyjął z kieszeni dwa niedopałki, zapalił je i podał jeden Kyle'owi.

Zaciągnął się głęboko dymem w zamyśleniu.

– Parszywy los – powiedział, patrząc na rozplywającą się w powietrzu chmurkę błękitnego dymu.

– Gdybym kochał tę kotkę tylko odrobinę bardziej, to teraz bym chyba eksplodował i padł. Kyle, jeśli kiedykolwiek pokochasz tak jakiegoś kota, to złoję ci skórę.

– Postaram się zapamiętać.

Siedzieli w milczeniu, dopóki Tabor się nie obudziła. Rozprostowała przednie łapy, mrużąc sennie oczy, wydała z siebie przeciągłe, leniwe ziewnięcie i zgramoliła się Michaelowi z kolan. Następnie spojrzała na niego wyczekująco, jakby pytała: „To gdzie teraz?”.

Michael postawił ją na ziemi i wstał, narzucając plecak.

– Okej, Tabor – powiedział, podniósł ją i zakołysał w ramionach. – Pora iść.

Tabor przytuliła mu się do piersi, mrużąc głośno jak traktorek, zwarta i gotowa na nową przygodę. Michael prawie nie czuł ziemi pod stopami, wiedząc, że zostało im zaledwie kilka wspólnych godzin.

Poszli z Kyle'em Hawthorne Boulevard w stronę Colonel Summers Park i ogródków społecznych, aż dotarli do starego pawilonu wojskowego z czerwonej cegły, gdzie czekali już na nich Stinson, Kozioł, Jane i reszta przyjaciół. Tabor zdawała się najbardziej cieszyć na widok Stinsona. Wskoczyła mu na ramię i zaczęła boksować w jego płataninę włosów.

– Słyszałem, że utknęliście na pustyni w Idaho – zwrócił się do Kyle'a, uwalniając włosy ze szponów Tabor i biorąc ją sobie w ramiona.

– Taa – potwierdził Kyle. – Siedzieliśmy przy drodze jakieś dwanaście dni i nic, żadnej podwózki.

– Serio?! – Stinson wybuchnął dzikim śmiechem. – Miewałem już długie okresy posuchy, jak wtedy w Utah ze względu na miejscową policję, która rzucała mi kłody pod nogi, i powiedzmy, że ruch drogowy nie był najlepszy, ale gdybym miał czekać na podwózkę bite dwanaście dni, to chyba bym się zabił.

Michael rzucił się na trawę obok Madison, Bobby'ego, Kozła i Jane. Jego przyjaciele nie mogli uwierzyć, że oddaje Tabor. Wszyscy chcieli, żeby ją zatrzymał.

Należała do paczki, była ich kotem wspólnotowym. W tej małej, pogodnej pręgusce drzemał tak wielki duch! Była najjaśniejszym promykiem słońca w ich życiu.

Gdy jednak przyszedł czas, wszyscy założyli plecaki i zamienili się w świtę, pośród której Michael szedł z kotką w ramionach. Chcieli go wspierać, ale liczyli też na imprezę, darmowe jedzenie i alkohol. Mimo to przez całą drogę do domu Rona te uliczne dzieciaki próbowały przekonać Michaela, by zatrzymał Tabor.

– Zawracamy – oznajmił Stinson, obstawiając go z Kyle'em. Madison, Kozioł, Jane, jeszcze

jeden przyjaciel i trzy psy ubezpieczali tyły. – Spędziłeś z nią prawie rok. W zasadzie jest twoja.

– Mogłem być palantem i powiedzieć: „Nie, zatrzymuję Tabor”, i dać dyla na Wschodnie Wybrzeże – powiedział Michael, patrząc prosto przed siebie. – Ale to nie moja kotka.

Dogonił ich Kozioł.

– Ale, Węszycielu, spędziliśmy z nią przy Hawthorne trzy miesiące – oponował. – Przez cały ten czas paradowaliśmy z nią po mieście, a on nigdy jej nie zauważył. Nie zasługuje na nią.

Kyle próbował przemówić im do rozsądku; widział, że ich protesty jeszcze bardziej przygnębiają Michaela.

– Nie wiem, czy Michael mógłby ją zatrzymać, nawet gdyby chciał. Przecież teraz cały świat o niej usłyszał – uspokajał towarzystwo. – Wszystkie gazety i telewizja o niej trąbią.

– A poza tym koty nie mają właścicieli – wtrącił Michael. – Jestem tylko jej opiekunem, który dba o to, by bezpiecznie wróciła do domu.

Wyczuwając jego niepokój i napięcie wokół siebie, Tabor raz po raz zaglądała mu w twarz, próbując dociec, co jest nie tak. Gdy dotarli do Berkeley Park, raptem kilka przecznic od domu Rona, niespodziewanie wbiła pazury w koszulę Michaela. Przypomniawszy sobie, jak przedzierali się razem przez śniegi Oregonu, kiedy niósł kotkę zasuniętą w swojej bluzie z kapturem, chroniąc ją przed zimmem. Poczł teraz gulę w gardle, ale nie zatrzymywał się.

– Zawsze możesz przygarnąć innego kota – powiedział Kozioł dla rozładowania atmosfery.

– To już nie byłoby to samo – wtrącił Kyle. – To jak powiedzieć: „Och, dziewczyna mi umarła. Idę znaleźć następną”. To tak nie działa.

Na rogu przy Bagdad Theatre, wielkim, starym kinie z epoki jazzu, skręcili w prawo i przeszli kilka przecznic SE 37th Avenue, gdzie na chodnik wylewały się ładne, ukwiecone kawiarenki, przed którymi przezornie wystawiono miski z wodą dla psów. W głębi ulicy pojawiły się jaskrawo pomalowane stare domy parterowe z okiennicami, siewnikami, pelargoniami w skrzynkach z ziemią i wypielęgowanymi trawnikami.

Byli coraz bliżej domu Tabor, a kotka zwinęła się w małą kulkę przy piersi Michaela. Reszta pochodu bezdomnych szła za nimi, powłócząc nogami. Zatrzymali się przed niewielkim, białym, dwupoziomowym domkiem z pomalowanymi na złoto filarami, który był na wpół schowany za pięknym, starym jałowcem.

„Całkiem normalny dom jak na tak magiczną kotkę”, pomyślał Michael.

Ron zauważył z okna nadciągający tłumek obdartusów i pomyślał: „O nie, przyprowadził ze sobą wszystkich znajomych”. Spodziewał się tylko Michaela, i to godzinę później. Niemniej jednak zbiegł po schodkach werandy i przywitał się z nimi ze łzami szczęścia w oczach.

– Mata! – zawołał.

Zanim Michael w ogóle zdążył się przedstawić, Ron wsunął dłonie pod łopatki Tabor i pochwycił ją w ramiona.

– Och, Mata, Mata, moja malutka włochata. Jakże tęskniłem, jak się modliłem – śpiewał kotce, kołysząc ją w zgięciu łokcia. – To piosenka, którą dla niej napisałem. – Uniósł wzrok na Michaela. – Koty uwielbiają, gdy im się śpiewa.

„Wygląda, jakby dostała choroby morskiej”, pomyślał Michael.

Przez chwilę wszyscy stali wokół Rona przymilającego się do kotki, która pierwszy raz w życiu zdawała się przytłoczona nadmiarem uwagi.

W ogródku przy domu pojawił się inny kot, długonogi elegant o lśniącem czarno-białym futerku. Miał przekrzywione wąsy i srebrnozielone oczy w kształcie liści, jak Tabor. Za nim zmaterializował się dorodny płowozółty kot syjamski o czekoladowym pyszczku i różnokolorowych oczach. Jednak gdy Creto i Jim zauważyli przed domem psy, przestraszyli się i czmychnęli do ogródka sąsiadów.

– Czarno-biały kot jest mój – wyjaśnił Ron. – To brat Maty.

Ni z tego, ni z owego Tabor, która próbowała wywinąć się z ramion Rona, syknęła na niego i skoczyła na nogę Michaela, po której wspięła się na jego ramię. Ron nieco posmutniał, ale jego lokator, Steve, wyszedł z domu, by przywitać się z Matą, i zmierzwił jej futerko, gdy leżała w ramionach

Michaela.

Ron przedstawił wszystkim Steve'a, a ten uśmiechnął się i poszedł w swoją stronę.



– Wejdźcie do środka – powiedział do gości Ron z zapraszającym gestem. Przyjaciele Michaela pognali do werandy nieskazitelnego domu Rona, a za nimi potruczały psy.

Wciąż trzymając Tabor w ramionach, Michael niechętnie do nich dołączył. Czuł swego rodzaju zażenowanie. Co miałby powiedzieć? „Oto twoja kotka, Ron, przepraszam, że zabrałem ją do Kalifornii i Montany”? Mijając na werandzie osłoniętą jaśminowym treliżem huśtawkę, wyobraził sobie odpoczywających na niej w ciepłe, letnie wieczory Tabor, Rona i pozostałe koty, obserwujących otaczający ich świat i ludzi.

Ron powitał wszystkich w swoich progach z niewymuszonym wdziękiem i uprzejmością.

– Kupiłem pizzę i colę na małą balangę na cześć Maty.

Szwadron bezdomnych z trzema psami pomaszzerował ochoczo do kremowobiałego salonu i rozsiadł się wygodnie na miękkich sofach Rona. Stinson zajął miejsce pomiędzy kamiennym kominkiem a szklaną ławą, siadając po turecku na wypastowanej podłodze z drewna w kolorze miodu. Wokół niego kręciły się dwa większe psy, brązowy kundel i szary, pręgowany mieszaniec pitbulla.

Z wazonu na kominku unosiła się woń świeżo ściętych frezji. Nad otwartym oknem pobrzękiwały dzwonki wietrzne, a sam salon pełen był kocich bibelotów: pod błyszczącym, zielonym szparagiem pierzastym, którego bujne liście wylewały się z półki, stały srebrne figurki lwów i gepardów, na ścianie wisiały reprodukcje dziewiętnastowiecznych paryskich litografii „Le Chat Noir” i zdjęcie Maty w srebrnych ramkach. Była na nim pulchniejsza i młodsza, ale miała ten sam błysk w oku.

Michael usiadł na sofie w wykuszu.

– No, mała, jesteś w domu – powiedział do kotki, stawiając ją na podłodze. Wyglądała na zdezorientowaną i schowała mu się za nogami.

Podeksycytowany Ron krzątał się przy gościach, rozplływając się w uśmiechach. Poszedł do kuchni po colę dla nich, ale nagle się zamyślił, martwiąc się, że kotka już go nie poznaje. Zadzwoił szybko do swojej przyjaciółki Stephanie, dawnej sąsiadki, która kiedyś znalazła na swojej werandzie Matę i jej rodzeństwo i przygarnęła jednego z jej braci, pręguska Henry'ego.

– Przyjeżdżaj, impreza zaczęła się wcześniej – szepnął do słuchawki. – Czuję się, jakbym był na prochach. Mata mnie nienawidzi. A w moim salonie siedzą wszyscy bezdomni Portland i ich psy.

Ron wrócił bez coli, o której zapomniał.

– To może podzielcie się ze mną waszymi opowieściami – zwrócił się do gości. – Gdzie Mata była przez cały ten czas?

– Jestem tak zamroczony, że nie mogę myśleć – powiedział Kyle, opadając na podłokietnik stojącego w kącie przy kominku fotela. Kozioł siedział na drugim fotelu z Bobbym na kolanach, a Madison oparła się o jego zagłówek.

Michael nie był w stanie mówić. Wpatrywał się w kotkę na podłodze, ze wszystkich sił tamując napływające do oczu łzy.

Stinson widział, że jego przyjaciel cierpi, więc odpowiedział zamiast niego.

– No cóż, pewnej nocy szliśmy Hawthorne do naszej noclegowni i nagle zobaczyliśmy pod stołem piknikowym jednej kawiarni kotkę. Gdy ją znaleźliśmy, była cała roztrzęsiona. Złapałem ją, myśląc, że jest bezdomna i że moja przyjaciółka, która straciła kota, może chciałaby ją przygarnąć. Mała została z nami, a my zamieściliśmy jej zdjęcie na Craigslist, w dziale zaginionych zwierzaków.

– Jedyńm, którego nie sprawdziłem – odparł Ron. – Czy to nie dziwne?

W tej samej chwili Tabor wystawiła łebek zza nóg Michaela, niespokojnie rozglądając się po salonie, po czym wskoczyła na niski kredens z połowy wieku stojący w korytarzowej wnęce naprzeciwko frontowych drzwi. Siedziała tam lekko podenerwowana, obserwując dwa psy, które wciąż kręciły się wokół Stinsona.

Michael podszedł do niej i zaczął ją uspokajająco głaskać.

– Przez pierwszy tydzień czy dwa z Tab... z Matą – powiedział Kyle – spaliśmy na parkingu przy Hawthorne, a ona przez kilka dni znikwała na noc i pojawiała się rano.

– Znam to – zaśmiał się Ron. – Tu wędrowała w promieniu trzech przecznic od domu, zaprzyjaźniając się ze wszystkimi i rozsiewając swój czar.

– Kiedy spotkałam Węszyciela raptem kilka tygodni po tym, jak ją przygarnął, zachowywała się, jakby od zawsze była jego kotem – wtrąciła Jane. – I stała się prawdziwą gwiazdą Hawthorne. Wszyscy ją uwielbiali.

– Och, Mata, mój ty cukiereczku – zagruchał do kotki Ron.

– Michael dobrze się nią opiekował – dodał Kyle. – Po naszym przyjeździe do Montany jego tata, to znaczy przybrany tata, zabrał nas do weterynarza na badania kotki. Doktor powiedział, że to koci okaz zdrowia. Może poza zębami, które były trochę brudne.

Odwracając się w stronę kredensu, by spojrzeć na kotkę, Ron zauważył, że Michael coraz bardziej smutniał. Na ułamek sekundy nawiedziła go szalona myśl, że jeśli Mata miałaby być nieszczęśliwa i wolała zostać z Michaelem, to by mu ją oddał. Ale zaraz potem pomyślał sobie, jak bardzo Creto za nią tęsknił, jak on sam mocno ją kochał, i stwierdził, że kotka potrzebuje po prostu trochę czasu, by przypomnieć sobie, gdzie jest, i na powrót się u niego zadomowić.

– A co do Węszyciela i Maty – powiedział niespokojnie Ron, starając się zwrócić uwagę Michaela – to rozbawiły mnie twoje opowieści o tym, jak ciągnęła cię za brodę i całowała w usta.

– Stinsona i Kyle’a też ciągnęła za brody i całowała – odparł Michael, nie odrywając oczu od Tabor.

Stinson roześmiał się.

– Czasami budziłem się z jej łapkami w dłoni.

– Ktoś jeszcze ma jakieś historyjki? – zapytał Ron. – Słyszałem, że pojechaliście pod namiot do Yosemite. Jak było?

– Całkiem fajnie – odparł Stinson, który wciąż tkwił na podłodze, bawiąc się z psami. – Byli z nami Madison i Bobby – dodał, wskazując na siedzącą na fotelu w rogu parkę. Madison uśmiechnęła się do Rona i mu pomachała. – I widzieliśmy niedźwiedzia. Michael zaczął wrzeszczeć: „Niedźwiedź!”, ja na to: „Wkręcasz”, a Tabor i Bobby zaczęli panikować. Ale wszystko dobrze się skończyło, misiek nas nie pożarł.

– A z miejscówki w Montanie przepędziło nas stado wściekłych krów – powiedział Kyle.

Ron spojrział na stojącego w milczeniu po drugiej stronie salonu Michaela, który nie przestawał głaskać Tabor.

– Nie wiem, jak ci dziękować – zwrócił się do niego. – Zawsze będę ci wdzięczny za tak cudowną opiekę nad Matą.

– Ona też była dla mnie cudowna – odparł Michael, nie podnosząc wzroku. – Przemierzyłem z nią na plecaku prawie cztery tysiące mil: Oregon, Kalifornia, Idaho, Montana. Na własnych łapach przeszła może pół mili. Była jak królowa Saby.

– Królowa Saby, podoba mi się – powiedział Ron i się uśmiechnął. – Świetne. – Był dumny ze swojej pięknej, szalonej kotki.

– Czytałem, że już kiedyś uciekła i schowała się w bagażniku jakiegoś samochodu – odezwał się Stinson.

– Została uprowadzona przez jednego z moich sąsiadów – wyjaśnił Ron i opowiedział im całą historię. – Najbardziej niesamowite jest to, że dziś jest dwudziesty pierwszy czerwca. Mata zaginęła po raz pierwszy dwudziestego grudnia 2011, a dwudziestego pierwszego czerwca następnego roku odebrałem telefon ze schroniska w Vancouver z informacją, że się odnalazła. Biedna Mata przez pół roku mieszkała sama w lesie.

– Jak udało jej się tam przeżyć tak długo? – zapytał Kyle.

– Pewnie łowiła myszy.

„To musiały być jakieś myszy z artretyzmem”, pomyślał Michael. Nigdy nie widział, żeby Tabor

polowała – poza napastowaniem ptaków morskich i myszaka, którego złapała w wysokiej trawie i zaraz wypuściła. Nie wyobrażał sobie, by była w stanie przeżyć sama w dziczy dłużej niż dzień.

– A najbardziej niewiarygodne jest to, że uniknęła szponów jastrzębi, kłów kojotów i Bóg wie czego jeszcze – ciągnął Ron. – Po drugiej stronie ulicy mieszkał kiedyś taki czarny kocurek o imieniu Raoul, z którym moje koty się przyjaźniły. Jego właścicielka się wyprowadziła i wróciła z nim do swojego miasta rodzinnego nieopodal parku Yellowstone. Raoul jej uciekł i został pożarty przez kojota. Dziewczyna znalazła jego głowę.

Michaelowi ciarki przeszły po plecach i przypomniał sobie noc w Venturze, kiedy on i Tabor zostali osaczeni przez kojoty.

„Tu jest zdecydowanie bezpieczniejsza”, pomyślał.

Jane, która siedziała cicho na końcu sofy, wyglądając przez okno, zauważyła, jak pod dom podjeżdżają trzy telewizyjne furgonetki. Nagle wstała.

– Musimy iść – powiedziała.

Inni też wstali i pospiesznie stłoczyli się przy tylnych drzwiach, ciągnąc za sobą psy.

– Po prostu nie chcę rozmawiać z tymi ludźmi – wyjaśnił Ronowi Michael.

Tabor zeskoczyła z kredensu i przysiadła w progu salonu. Spojrzała Michaelowi prosto w oczy, jakby wyczuwała, że się z nią zegna.

W jednej chwili uderzyła go fala sprzecznych uczuć. To było jak wypuszczanie na wolność ptaka, którego przywrócił do zdrowia, i teraz patrzył, jak odlatuje – napawał go smutek, ale był pewien, że tak właśnie należy postąpić.

Podniósł ją po raz ostatni, chowając twarz w jej jedwabistym futerku. Gdy całował kotkę na pożegnanie, nie mógł powstrzymać łez.

– Bądź grzeczna, Tabor – szepnął z ustami przy jej futerku. – Kocham cię.

– Hej, możesz odwiedzać ją, kiedy chcesz – powiedział wzruszony Ron. – To żaden kłopot.

– Dziękuję, chętnie – odpowiedział Michael, zerkając na Rona. – Niedługo wyjeżdżam z miasta, ale przedtem chciałbym ją jeszcze zobaczyć.

Gdy podał ją Ronowi, syknęła na swojego właściciela, a kiedy po wyjściu Michaela do pokoju zajrzał Creto, na niego też syknęła i dała nura pod sofę, spod której widać było tylko jej oczy. Odprowadziła wzrokiem Michaela, który wymknął się tylnymi drzwiami.

Tuż po wyjściu całego towarzystwa Mata uciekła z kryjówki i schowała się w zaciszu sypialni Rona, znajdującej się w głębi małego korytarza między kuchnią a jadalnią. Ron zasunął zasłony, żeby miała ciszę i spokój, a na podłodze zostawił miski z kocim mlekiem i jedzeniem. Przyrządził jej ulubioną przekąskę, zmielonego surowego kurczaka z żółtkami jaj i witaminami, którą karmił swoje koty, gdy były małe, ale ona nawet jej nie tknęła.

Kiedy wystawił jej kuwetę, natychmiast w niej usiadła, spojrzała na niego smutno, zagrzebała się głębiej w piasku i schowała główkę w łapkach. Okazywała oznaki wycofania – rozpacziała po odejściu Michaela. W drzwiach ukazała się głowa Creta, który ostrożnie obwąchiwał okolicę. Za nim przytrucał Jim i przepychając się obok kolegi, podszedł do Maty z podejrzliwym i wyzywającym spojrzeniem. Mata wstała, splunęła i obnażyła kły, a on zaczął zawodzić. Następnie wdali się w krótki pojedynek na wycie.

– Jiiiim, przestań! Nie bądź takim prymitywem – zawołał Ron, łapiąc go, zanim kocur zdążył wystawić pazury, i wypchnął z sypialni, po czym zamknął drzwi.

Później zaczął przerzucać swoją kolekcję płyt długogrających. Jego koty uwielbiały słuchać muzyki. O kocich gustach się nie dyskutuje, ale wszyscy jego dawni i obecni podopieczni zdawali się szczególnie lubić melodyjne kawałki z lat sześćdziesiątych, szczególnie Beatlesów. Inną ich ulubioną piosenką była *Kind of Blue* Milesa Davisa, którą Ron nastawiał w pętli dla Creta i Maty, kiedy byli kociętami, za każdym razem, gdy zostawiał ich samych. Wybrał płytę z piosenką Beatlesów *And I Love Her*, którą włączył na gramofonie ze słowami: „To dla ciebie, cukiereczku”. Słyszac trzeszczący odgłos igły na winylu i lekkie uderzenia strun gitarowych, kotka podniosła na niego wzrok, jakby coś sobie przypominała.

Creto wskoczył na łóżko, mrużąc i przyglądając się jej w milczeniu swoimi ogromnymi, badawczymi oczami. Mata odwzajemniła jego spojrzenie z kuwety, a w jej oczach pojawił się rozpoznawczy błysk.

Ron usiadł na łóżku obok Creta.

Po chwili i Mata na nie wskoczyła, a już po kilku minutach ona i biało-czarny kocurek zaczęli się obwąchiwać i trącać noskami. Spojrzała na Rona, wyglądając, jakby nagle przypomniała sobie, że jest w domu. Przekręciła się na grzbiet i zaczęła mrużać.

Nareszcie wróciła. Ron chciał podzielić się tą radosną nowiną z całym światem. Wyjął telefon z kieszeni szortów i zrobił kotce zdjęcie na łóżku, po czym opublikował je na Facebooku z opisem:

„Zaginiona 20.12.2011 – Odnaleziona 21.06.2012

Zaginiona 1.09.2012 – Odnaleziona 13.06.2013

Dzięki niebiosom za chipy”.

Patrzył na swoje dwa koty przytulone na łóżku, myśląc, że to najlepsze lato w jego życiu. Potem opublikował jeszcze stare zdjęcie Maty i Creta, na którym oboje patrzą w obiektyw spod krzaczka szkarłatnych róż w jego ogrodzie. Krótki opis brzmiał: „Mata Hairi, Creto von Bruiser i ja dziękujemy wszystkim za modlitwy i życzenia, by kotka szybko wróciła do domu. Nasza trójka znowu jest zgraną drużyną”.



Rozdział dwudziesty szósty

Z powrotem w Portland: słodkie doznania

Dziewięć miesięcy po tym, jak Tabor ponownie stała się Matą, Michael wrócił do Portland, tym razem pociągiem. Był marzec 2014 roku, a on spędził zimę w Montanie u Waltera. Wróciwszy, zamieszkał z Kyle'em i jego dwoma współlokatorami. Zajął wolną sypialnię w walącym się domku ze zniszczonymi meblami i z zarośniętym chwastami ogródkiem, który zamieszkiwała rodzina szopów. Ale miejsce było ciche, spokojne i w sam raz na rozpoczęcie nowego życia.

Jednak pierwszą rzeczą, jaką Michael zrobił po przyjeździe, była wizyta w domu na rogu SE 37th Avenue, gdzie mieszkała Tabor. W połowie ulicy zobaczył ją rozłożoną na stole piknikowym i wygrzewającą się w promieniach słońca, które próbowała pochwycić w łapkę, a jej tygrysie prążki lśniły przy tym w porannym świetle.

Spojrzała w jego kierunku i zaczęła się mu intensywnie przyglądać. Widział, jak strzyże przy tym uszami.

– Ta-bor... Ta-bor! – zawołał, a gdy dotarł do rogu ulicy, gwizdnął na nią, jak dawniej. Fiknęła ze stołu i mrużąc, wybiegła mu na spotkanie.

Zanim zdążył zdjąć plecak, skoczyła mu na ramię, jak to miała w zwyczaju, wciąż przy akompaniamencie kociego mrużenia. Po policzkach zaczęły mu płynąć gorące łzy, gdy tak trącała go noskiem, lizała po policzkach, chowała pyszczek pod jego podbródkiem, wciąż nie przestając mrużać. Płakał z radości, że go nie zapomniała.

Tulił ją do siebie jak niemowlę. Gdy tak patrzył na nią, skąpaną w słońcu, podziwiając jej srebrzysto-zielono-złote oczy błyszczące niczym klejnoty, pomyślał, że nie ma na ziemi piękniejszego stworzenia.

Po tym, jak rok wcześniej oddał Tabor Ronowi, kolejne dwa tygodnie spędził w większości nieprzytomnie pijany. Przez wiele bezsennych i przepłakanych nocy w zatoczce UPS wyobrażał sobie, jak mała wyskakuje z zarośli z ogonem w górze, wyśpiewując swoje trele.

Przeżył te mroczne dni i mimo że wciąż za nią tęsknił, był wdzięczny, że wzbogaciła jego życie, jednocześnie zmieniając jego samego – był teraz spokojniejszy oraz bardziej pogodzony ze sobą i ze światem.

Usiadł przy stole piknikowym na trawniku. Tabor natychmiast wskoczyła mu na kolana, cicho pomiaukując i delikatnie ugniatając mu brzuch. Zauważył, że ciągle nosi psią obróżkę w pomarańczowo-czerwonej kratce, którą jej sprawił, ale dawną adresówkę w kształcie serca zastąpiła nowa, miedziana. Znowu była Matą Hairi.

Jej brat, Creto, gapił się na nich pośród feerii płomiennie pomarańczowych kwiatów polnych w narożnym ogródku. Za nim jak cień podążał zółtooki, nakrapiany kociak o pięknym pomarańczowo-brązowo-czarnym umaszczeniu. Ta mała, wiotka niczym mlecz marmurka wyglądała jak maleńki zbitek oczu, sierści i łapek. Z wysokim, dziecięcym piskiem wskoczyła na ławkę obok Michaela i zaczęła bawić się paskiem od jego plecaka. Tabor polizowała małą po główce i położyła jej opiekuńczo łapkę na karku, gdy ta też próbowała wgramolić się na kolana Michaela.

Bezdomny uznał, że Ron sprawił sobie następnego kota. Nie mógł uwierzyć, że powiększył swoje stadko po tym, jak Tabor dwa razy mu zginęła, i mimo że Michael był szczęśliwy na jej widok, zaskoczyło go, że Ron wciąż pozwala kotce na samotne wędrówki na zewnątrz.

– Ma na imię Układanka – odezwał się głos za jego plecami.

Michael uniósł wzrok i spojrzał na ganek, gdzie stał Steve, którego rozpoznał z ich przelotnego spotkania przed domem Rona w dniu powrotu Tabor. Najwidoczniej pilnował kotów i być może

podejrzewał, że Michael chciał zabrać Tabor.

– Przyszedłem się tylko przywitać z małą – odparł ze znużeniem Michael, niemal czekając, aż młody kochanek Rona, czy kim tam był, wyciągnie sztucce i zacznie nimi w niego rzucać.

Steve uśmiechnął się.

– To nasz nowy nabytek. Ktoś, wyprowadzając się, zostawił tę małą w pustym domu, więc przygarnąłem ją, żeby i Jim miał siostrzyczkę – wyjaśnił.

Przekręcając się na ławce, Michael uśmiechnął się i postawił Tabor z powrotem na stole w promieniach słońca. Wstał i ruszył, skąd przyszedł, ale na ulicy jeszcze raz się obejrzał. Tabor szła za nim, a za Tabor dreptała mała marmurka. Steve dogonił jednak kotki na bosaka i zgarnął je z ulicy, biorąc obie pod pachy.

Michaelowi wystarczyło, że widział Tabor szczęśliwą w jej domu.



Rozdział dwudziesty siódmy

Siedem stopni do raju

Następnej jesieni, tuż po siódmej rano piętnastego października 2015 roku Michael stał przed tuzinem bezdomnych młodzieńców rozłożonych na trawie przy starym pawilonie wojskowym w Colonel Summers Park. Stinson porzucił bezdomność, mieszkał teraz ze swoją dziewczyną i pracował w azjatyckiej przetwórni żywności. Koziół i Jane także wiedli szczęśliwe życie, mieli dom i pracę. Ale na ulicy wciąż mieszkało wiele dzieciaków, które jak Michael przeżywały trudności i były zagubione, a on nie mógł się od nich odwrócić.

Odkąd oddał Tabor Ronowi, minęły dwa lata, trzy miesiące i trzy tygodnie. Gdy teraz ją wspominał, uśmiechał się, a w oczach stawały mu łzy, ale zawsze się opanowywał, mówiąc: „Wszyscy za czymś tęsknimy”.

Jednakże tego dnia z radością witał barwną załogę na – jak to nazwał – ich „kursie 707”.

– Dzień dobry – powiedział, wodząc wzrokiem po twarzach ulicznych dzieciaków.

Dwa lata wcześniej, po długim okresie picia spowodowanym oddaniem Tabor, znalazł się przed sklepem monopolowym przy Hawthorne Boulevard, czekając, aż o siódmej rano otworzy on swoje podwoje. Wraz z nim czekała grupka pijaków i narkomanów, ponurzy towarzysze jego niedoli. Od razu jak otworzono sklep, włali się do środka, kupili, na co było ich stać, i zaczęli przygotowania do zalania się w trupa.

Ale tego dnia Michael zaproponował, żeby zrobić coś nieco innego – by po alkoholowych zakupach przejść się razem do Sewallcrest Park i porozmawiać. Wszyscy mogli pić, ale również dzielić się swoimi strapieniami. Właśnie stąd wzięła się nazwa „kurs 707”: spotkania odbywały się tuż po siódmej rano, kiedy otwierano sklep, z którego spacer na odkryte trybuny w parku zajmował siedem minut. Michael prowadził te zebrania co tydzień, jeśli tylko był w mieście. Dzięki nim miał w życiu jakiś cel.

Większość wychudzonych, zaniedbanych dzieciaków między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia, które przychodziły do parku, wyglądała, jakby była otumaniona narkotykami albo pijana, paląc wszystko, co się dało, kołysząc puszkami po browarze albo pociągając piwo słodowe z butelek w papierowych torebkach. Wielu z tych młodych pochodziło z toksycznych domów, w których ich zaniedbywano, i przemierzali oni Zachodnie Wybrzeże w harmonii zmieniających się pór roku. Niektóre dzieciaki uważały się za wyrzutków, wszystkie natomiast rozpaczliwie pragnęły akceptacji grupy, a między sobą odnajdywały namiastkę rodzinnych i społecznych więzi. Objijając się od bramy do bramy, chodziły i pasły się małymi stadami, dzieląc się jedzeniem, alkoholem i papierosami oraz pilnując nawzajem swojego lichego dobytku.

Michael dość dobrze znał większość z nich, a każde spotkanie zaczynał zwykle od pytania, co słychać.

– Jak leci, Shane? – zagadnął patykowatego dzieciaka o długiej, rozczochranej brązowej grzywce. – Rozmawiałaś z mamą?

Gdy Shane przyznał, że od dawna już nie miał z nią kontaktu, Michael wręczył mu telefon na kartę, który całe wieki temu dostał od Waltera; aparat był już wysłużony, z pękniętym ekranem, ale wciąż działał.

Shane już go kiedyś pożyczał, by wyciągnąć od matki pieniądze, ale tym razem Michael chciał, żeby z nią porozmawiał, nie prosząc o nic.

– No dalej – naciskał na niego, podając telefon. – Po prostu z nią pogadaj.

Shane odszedł na stronę z telefonem przy uchu. Inni z grupy zaczęli opowiadać o swoich problemach. Michael również dzielił się z nimi własnymi uczuciami, choć nie wspominał o Tabor.

Od czasu oddania Tabor odwiedził ją kilka razy w domu Rona. Stawał na chodniku, wołał ją, gwizdał i zrzucał pod nogi plecak. Kotka zbiegała ze schodków werandy, wskakiwała na plecak i zaczynała go ugniatać.

Ale podczas ostatniej wizyty wiosną tego roku, po dziewięciomiesięcznej przerwie, uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Kiedy przyszedł, Tabor spacerowała sobie po trawniku przed domem i zobaczywszy Michaela, podbiegła do niego. Spodziewał się zwyczajowego ciepłego powitania, ale zamiast tego kotka była zdystansowana i tylko się na niego patrzyła. Potem wbiegła po schodkach na werandę, otworzyła sobie łapkami siatkowe drzwi i czmychnęła do środka.

Michael niemal słyszał jej myśli: „Nie ma mowy, nie zabierzesz mnie znowu na cztery tysiące mil spaceru do Idaho”. W tamtej chwili poczuł smutek, że kotka już go nie potrzebuje, ale i radość, że jest bezpieczna i szczęśliwa w swoim domu.

Na spotkaniu w parku Michael namówił uzależnionego od heroiny narkomana na wizytę w klinice odwykowej, a zażywającemu metamfetaminę kazał ograniczać się do trawki i alkoholu. Wiedział, że na ich problemy nie istnieje żadne magiczne lekarstwo. Ci ludzie słuchali go częściowo dlatego, że nie był w dużo lepszej sytuacji od nich: wciąż pił i mieszkał na ulicy. Ale przychodzili, ponieważ widzieli, że ich dobro leżało mu na sercu.

Po południu pod pawilon podjechał samochód miejscowej misji, z którego jak co dzień rozdawano jedzenie. Wolontariusze – wielu z nich było dawnymi mieszkańcami ulic – wręczali bezdomnym kawę, kanapki, chipsy ziemniaczane, jabłka i banany.

Po wspólnym lunchu ze swoimi młodymi przyjaciółmi Michael oznajmił, że pora wyjechać. Powietrze było rześkie i zaczynało robić się chłodno. Tego popołudnia wyruszał do ciepłych krain. W kieszeni miał mniej niż dziesięć dolarów. Mógł za nie kupić jedynie bilet na podmiejski autobus albo pociąg – ale to wystarczyło, żeby rozpocząć kolejną wędrówkę.



Posłowie

20 czerwca 2013 roku szukałam właśnie pewnego artykułu, kiedy w oko wpadł mi tytuł *Bezdomny pokonał 3600 mil, by odwiedzić kotkę do domu*. Po przeczytaniu historii kotki i włóczęgi, którzy razem podróżowali po Ameryce, wiedziałam, że muszę odnaleźć tego człowieka. Jego opowieść pełna jest miłości, poczucia straty, przygód, tajemnic i czułości.

Najpierw zadzwoniłam do ojczyma Michaela Kinga, Waltera Eberta, mieszkającego w Helenie, w stanie Montana. Powiedziałam Walterowi, że chcę napisać książkę i pomóc Michaelowi odmienić życie. Zaśmiał się i odparł: „Powodzenia. Od lat próbowałem ściągnąć go z ulicy, ale w końcu się poddałem. W rękach Michaela pieniądze są jak woda. Ma dobre serce, ale to straszny pijak”. Dokładnie wtedy Michael podróżował autostopem do Portland, by odstawić kotkę do domu, zwracając ją pierwotnemu właścicielowi. Walter powiedział, że jeśli zdoła skontaktować się z przybranym synem, przekaże mu moją wiadomość.

Później odezwałam się do Rona Bussa w Portland. Jeszcze tego samego dnia Michael zadzwonił do mnie z trasy i choć byłam całkiem obcą mu osobą, otworzył przede mną serce, opowiadając, jak musiał oddać Tabor i że była to najtrudniejsza rzecz, jaką zrobił kiedykolwiek w życiu. Gdy trzy tygodnie później spotkałam się z nim w Portland, wyglądał na zdruzgotanego, a jego niebieskie oczy zasnuły się mgłą przy pierwszym wspomnieniu Tabor.

Od tamtej pory nieustannie śledzę życie Michaela i Maty, a pisząc tę książkę, przeprowadzałam wywiady z Michaelem, jego przyjaciółmi z ulicy oraz z Ronem. W maju 2014 roku Michael zaprosił mnie do Montany, bym poznała Waltera. Był tam wtedy również Kyle; planowali z Michaelem wycieczkę campingową po Montanie, jako że ich poprzednia podróż z Tabor została przerwana.

Siedząc z nimi trzema w kuchni, zapytałam Michaela, czy nadal pije. Ucichł na chwilę, a potem odparł: „Tak, ale głównie piwo. Ułatwia spanie w bramach, gdy jest zimno. Nie chciałem jej stracić, więc przez długi czas musiałem się trzymać”.

Gdy Walter zauważył zmartwienie Michaela, opowiedział nam o własnej walce z nałogiem. „Nie jest łatwo przestać pić”, powiedział. „Ale kiedy czujesz się źle i masz już dość tego, że czujesz się źle i masz dość, możesz coś z tym zrobić. Sam ukrywałem litrowe butelki w garażu, w pniu drzewa na dworze albo na kuchennym parapecie. Kiedy wychodziłem kosić trawnik, dobrze wiedziałem, gdzie mam coś do wypicia. Aż pewnego gorącego letniego dnia spojrzałem na siebie w lustrze, zadzwoniłem do kumpla i powiedziałem: »Koniec, mam dość«. Zameldowałem się w szpitalu stanowym, ale jeszcze jadąc tam, wypilem pół butelki. Kiedy wysiedliśmy, schowałem butelkę pod drzewem na parkingu. Pięć minut później zdecydowałem, że muszę się napić, i wyszedłem ze szpitalnej poczekalni jej poszukać. Ktoś już jednak zabrał butelkę i byłem wściekły.

Każdy, kto trzeźwieje, miewa takie chwile. Żadne rozmowy nic tu nie pomogą. Jak powiedział mój przyjaciel, ojciec Joe Martin, który był alkoholikiem: »Są wśród nas tacy, którzy w tym życiu nie wytrzeźwieją“.



Latem 2015 roku znów pojechałam do Portland odwiedzić Michaela, Rona i Matę. Spotkałam Michaela w Colonel Summers Park. Ma teraz nowy cel w życiu i za swoją misję uważa dogłębne oglądanie dzieciaków z ulicy i młodych uciekinierów przy Hawthorne Boulevard.

Nadal pije i zмага się z depresją. Niedawno wrócił z Montany, gdzie przez pięć miesięcy opiekował się ciężko chorym Walterem, jego kotem Gusem i jeszcze jednym uratowanym zwierzęciem. „Walter przygarnął kolejną, czarno-białą kotkę, Winnie, którą zaatakował wcześniej pies”, wyjaśnił Michael. „Nie dalej jak przedwczoraj rozmawiałem z nim, że muszę przestać tak żyć. On chciałby, żebyem osiadł w Helenie, ale nie wiem, co bym tam robił. Jeśli mam gdzieś zamieszkać, to w Portland”.

Podczas opieki nad Walterem Michael był cały czas trzeźwy, ale wrócił do ulicznego życia wraz z powrotem do Portland. „Jestem zmęczony, mam chyba dość tego życia”, powiedział, wspominając, jak w październiku próbował przestać pić. „Pojechałem do lasu w Sisters w Oregonie i przez dwa dni miałem delirkę. Byłem ledwo żywy, spojrzałem wstecz na ostatnie pięć lat i kompletnie odstawiłem picie. Nie chcę być gościem ciągle tracącym przytomność w ciemnych alejkach, niewiedzącym, gdzie jest. Może przejdę szkolenie pielęgniarstwa. Opiekowałem się Mercerem i moim ojcem, zanim umarł”.

Minęło jednak kolejnych osiemnaście miesięcy, zanim Michael poszedł na odwyk. Pewnego dnia dotarło do niego, że większość jego przyjaciół albo nie żyje, albo siedzi w więzieniu. Wreszcie „czuł się źle i miał już dość, że czuje się źle i ma dość”, jak mówił Walter, i zrozumiał, że musi rozprawić się ze swoim nałogiem.

Wiedział też, że jego dni na ulicy są policzone. Kiedy stuknie ci pięćdziesiątka, wszystko się zmienia, jak stwierdził. „Nie mogę cały czas się obijać i być leniem plażowym. Słońce mi przeszkadza”. Często jednak wraca wspomnieniami do dni na plaży spędzonych z Tabor w Venturze jako do jednych z najszcześniejszych chwil w swoim życiu. Spotkanie Lindy Tabor, miłej emerytki, która regularnie przynosiła jemu i Tabor jedzenie, było początkiem wielkiej przyjaźni. Nadal pisują do siebie listy na adres Waltera, a Michael odwiedza starszą panią, kiedy tylko jest w Kalifornii.

Michael, Kyle i ich przyjaciele wciąż tęsknią za Tabor, a lato, kiedy była z nimi, bardzo ich do siebie zbliżyło. Jej duch i energia były wszędzie, a Stinson, Kyle czy ktokolwiek inny z dzieciaków wciąż wspominają, że gdzieś się krzątała – w parku, w bramie – albo że robiła coś śmiesznego.

Kyle stwierdził, że Michael nie poradził sobie ze złamanym sercem z powodu straty kotki. „Kiedy poszedł się pożegnać z Tabor sam na sam, tego ranka, którego ją odprowadziliśmy, Ron dał mu trochę pieniędzy w ramach podziękowania. On jednak nie zatrzymał ani grosza. Kiedy do nas wrócił, był zdołowany i ze łzami w oczach rzucał w ludzi zmiętymi dwudziestodolarowymi banknotami”.

Michael wzruszył ramionami i się zaśmiał. „Widać zakochałem się w kotce”, stwierdził. Przez jakiś czas ona była jego szczęściem. Dziś jednak, spoglądając wstecz, uważa, że znalazł małą po to, by odwiedzić ją Ronowi.

Kyle znów jest bezdomny, po tym jak wspólne mieszkanie z przyjaciółmi zakończyło się niepowodzeniem. Kiedy zapytałam go, co planuje, markotnie wzruszył ramionami. „Nie ma nic romantycznego w pobudkach w zimnej bramie i w czuciu się bezużytecznym”, powiedział, kiedy jego koledzy już się rozeszli. Ma jednak nadzieję, że uda mu się wrócić do szkoły, jeśli tylko wymyśli, co lubi robić. „Nie chcę dożyć czterdziestki i umrzeć. Ale powrót do społeczeństwa bardzo mnie stresuje”.

Gdy odwiedziłam Rona, zaprosił mnie do domu, bym zobaczyła koty. Otworzył drzwi do sypialni i zaprezentował mi ulubione miejsce Maty. Z pokoju płynęły dźwięki *Norwegian Wood* Beatlesów, a w plamie słońca na komodzie leżała Mata przytulona do marmurki Układanki, teraz już w pełni wyrosniętej, przecudnej kociicy.

Mata zeskoczyła z komody i podbiegła do mnie, wczepiając się pazurkami w moją nogę, jakby witała dawną znajomą. Ron stwierdził, że „zmieniła się w kota kanapowego i teraz rzadko już wychodzi”.

Na zewnątrz, w ogródku za domem, Ron zawołał Creta, opalającego się na dachu szopy sąsiadów. Obok nas, kurząc ziemią pod krzakiem róży, stał Jim, płożący kot syjamski o czekoladowym pyszczku.

Jako że był rześki i słoneczny czerwcowy dzień, Ron wymyślił, że byłoby cudownie zabrać koty nad morze. W drodze na wyspę Sauvie, jadąc na północ od miasta wzdłuż rzeki Columbia, koty spokojnie siedziały w samochodzie, niczym wytrawni podróżnicy. Mata wskoczyła mi na kolana i przesiedziała tak całą drogę. Zdecydowanie uwielbia wycieczki samochodowe, bo jej mała głowa obracała się wciąż od przedniej szyby do okna pasażera, by kotka mogła lepiej się przyjrzeć mijanym widokom.

Ron zabrał nas na spokojny skrawek plaży graniczący z lasem, gdzie nie wolno wyprowadzać psów, i przycupnęliśmy na kocu. Mata umościła się pomiędzy nami. Creto skrył się w cieniu krzaka z tyłu.

Kiedy tak siedzieliśmy, przegryzając wegetariańskie kanapki, popijając piwo korzenne oraz

przyglądając się zachodzącemu słońcu i spacerowiczom na brzegu, nagle z krzaków wyszła poszarpana i potargana płacząca czarna kotka. Widząc pozostałe koty i jedzenie, podeszła do nas potulnie i zaczęła miauczeć.

Przedstawiała żaloszny widok – miała ogromne, smutne oczy, które zajmowały większość jej pyszczka w kształcie serca, spiczaste uszka i łapki tak jakby zbyt duże w porównaniu z resztą chudego ciała. Ta maleńka, zagłodzona istotka została najwyraźniej porzucona w lesie, gdzie zmuszona była radzić sobie sama. Wyglądała na zmęczoną, ale głód i desperacja dodawały jej odwagi. Kiedy ją zawołałam, natychmiast się przy mnie umościła. Niczym głodny wilk pożarła dwie puszkę karmy dla kotów, jedną po drugiej, i miauczała o więcej. Mata i Creto nie mogli oderwać od niej oczu. Mata sprawiała wrażenie współczującej.

„Musimy jej pomóc”, powiedziałam do Rona, kiedy przyglądaliśmy się kotce wylizującej resztkę karmy z puszkę, po czym bez chwili przerwy wypijającej kubek wody.

„Och, oczywiście”, odpowiedział. „Biedactwo dłużej by tu nie przeżyło z tymi wszystkimi kojotami, rybołowami i sowami”.

Ron zostawił mnie z kotami na plaży na około godzinę, podczas której chodził w tę i z powrotem, zagadując ludzi, czy wiedzą coś na temat naszej znajdy. Gdy wrócił, powiedział: „Pytałem każdego, kogo spotkałem... Jakies pięćdziesiąt osób. Tylko jedna powiedziała, że widziała starszego pana z czarną kotką, który opuścił plażę już bez zwierzaczka. Wygląda na to, że kotka jedzie z nami... Jak to zrobimy?”.

„Nie możemy jej przestraszyć”, odparłam, po czym otworzyłam puszkę tuńczyka i umieściłam ją w transporterze Maty. Kotka chętnie weszła do środka. Kiedy Ron zamknął za nią drzwiczki, ta spojrzała tylko przez kościste ramię, nie przerywając jedzenia.

Gdy skończyła, barankowała o nasze dłonie przez drzwiczki klatki i ocierała się o nie wąsami, cały czas głośno mrużąc. Mówiłam do niej spokojnie, a ona wyciągnęła chudą łapkę i dotknęła mojej twarzy. Maleńkie poduszeczki na łapkach miała podrapane i poparzone, prawdopodobnie od chodzenia po gorącym piasku.

Ron podniósł transporter i wróciliśmy do samochodu. Szłam za nim i potykałam się w piasku, trzymając smycze dwóch pozostałych kotów, które ciągnęły mnie w przeciwnych kierunkach. Creto radośnie biegł w stronę domu, a Mata nie chciała jeszcze opuszczać plaży. Musiałam ją zanieść, wiercąc się i marudzącą, z powrotem do samochodu.

Kiedy Ron postawił transporter na tylnym siedzeniu, Creto zajął miejsce obok niego. Ron popatrzył na mnie i powiedział: „O mały włos byśmy tu nie przyjechali. Myślałem, żeby odwiedzić Rooster Rock, ale w ostatniej chwili stwierdziłem, że powinnaś zobaczyć to miejsce. To przeznaczenie. Ale Mata ma zasługę w ratowaniu tej kotki na równi z nami”.

Kicia została nazwana Sauvie i pojechała z Ronem do domu. Następnego ranka zabrał ją do weterynarza, który stwierdził, że kotka ma około czterech miesięcy, jest odwodniona i prawdopodobnie nie jadła od dziesięciu albo piętnastu dni. Ron wierzy, że odnalezienie jej było mu pisane.

W następny weekend w sklepie na Sauvie Island oraz na drzewach wzdłuż plaży porozwieszał plakaty o jej znalezieniu, ale nikt nie zadzwonił. Tym sposobem Sauvie została stałym członkiem kociej rodziny Rona.

Jak podsumował sam Ron: „To idealne zakończenie tej niezwykłej historii”.

Nota odautorska

Nie kupuj – przygarnij

Mam nadzieję, że ta książka zainspiruje was do pomocy każdemu napotkanemu zwierzęciu w potrzebie.

To, jak traktujemy bezbronne istoty, które nie mają własnego głosu, świadczy o przyzwoitości naszego społeczeństwa. Choć w ostatnich dziesięcioleciach poprawiło się traktowanie niektórych zwierząt, przed nami nadal daleka droga. Schroniska przepełnione są niechcianymi zwierzętami, a w USA ponad siedemdziesiąt milionów bezdomnych kotów żyje na ulicach, cierpiąc głód i poniewierkę.

Bezdomność to dla zwierząt wyrok śmierci. Każdego roku niemal osiem milionów zagubionych, porzuconych czy krzywdzonych psów i kotów trafia do schronisk w Stanach Zjednoczonych. Szczęściarze pójdą do adopcji, część odnajdzie właścicieli, ale wiele z nich nie opuści tych miejsc żywe. Spośród psów i kotów trafiających do schronisk aż siedemdziesiąt procent jest usypianych, a co szczególnie przerażające, nieraz dzieje się to na oczach pobratymców – wiele publicznych schronisk uznaje, że łatwiej jest poddać eutanazji zdrowe, nadające się do adopcji zwierzęta, niż uratować je kosztem około dwóch miliardów dolarów z podatków. (Według szacunków organizacji American Humane rocznie uśmierca się około 71 procent kotów i 57 procent psów, które trafiają do schronisk). Badając temat, odkryłam, że kociaki sieroty są zabijane systematycznie, bo większości schronisk szkoda środków, by o nie zadbać. Każde z tych zwierząt jest bezcenne i jedyne, czego potrzebuje, to szansa, by zostać uratowanym. Żadne zwierzę, domowe czy dzikie, nie powinno cierpieć i nie wolno odmawiać mu „udziału w ziemskim szczęściu”, jak napisał wielki obrońca praw zwierząt Matthew Scully we wspaniałej i poruszającej książce *Dominion: The Power of Man, the Suffering of Animals, and the Call to Mercy*. Najlepsze schroniska, takie jak Best Friends Animal Society, North Shore Animal League czy NKLA (No-Kill Los Angeles), już dawno wprowadziły politykę nieusypiania zwierząt.

Jeśli myślisz o powiększeniu swojej rodziny o nowego, futrzastego domownika, nie kupuj, tylko adoptuj. Ocal kota albo psa przed smutną i niepewną przyszłością – NIGDY nie kupuj od hodowców czy w sklepach zoologicznych przyczyniających się do namnażania zwierząt nierasowych i do przerażającego cierpienia zwierząt w pseudohodowlach. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że kupując kota lub psa w sklepie zoologicznym lub przez internet, prawdopodobnie kupuje zwierzę z pseudohodowli – „fabryki” kotów i psów, gdzie matki zmuszane są do rodzenia kolejnych miotów, aż umrą, a kociaki i szczeniaki zwykle chorują, są słabe oraz borykają się z infekcjami, żyjąc w brudzie, tłoku i ciemności. Taki okrutny, nieludzki, wielomilionowy proceder jest problemem na całym świecie i jedyne sposoby na jego przerwanie to niekupowanie zwierząt. Tymczasem według Humane Society of the US jedynie około trzydziestu procent zwierząt domowych w Stanach pochodzi z adopcji. W świetle narastającego kryzysu nie ma czegoś takiego jak odpowiedzialny hodowca – różnią się oni jedynie stopniem chciwości i okrucieństwa. Nawet jeśli bardzo pragniesz mieć zwierzę konkretnej rasy, np. maine coona albo kota syjamskiego, zwróć się do schronisk, azylów albo organizacji ratujących zwierzęta. Znajdziesz w nich zwierzęta każdej rasy czekające na kochający dom. Zawsze, gdy ktoś kupuje zwierzę w sklepie zoologicznym lub od hodowcy, skazuje na śmierć w schronisku innego, którego można było uratować.

Jeśli te liczby wyrzucanych i niechcianych zwierząt marniejących w klatkach są dla ciebie niepokojące, proponuję uczynienie czegoś pozytywnego. Wszyscy możemy zrobić coś dla bezdomnych zwierząt: wesprzeć lokalną fundację lub organizację prozwierzęcą, przekazując jej pieniądze, poślanie, jedzenie i zabawki, dając zwierzęciu dom tymczasowy lub pomagając jako wolontariusz; pomóc biednemu, głodnemu zwierzęciu bez domu, który przyjdzie pod nasze drzwi; karmić, sterylizować i dbać o kolonie półdzikich kotów żyjących w naszym sąsiedztwie – ich istnienie zależy od naszego

współczucia (Alleycat.org jest tu świetnym źródłem informacji).

Zawsze to właśnie niezliczone drobne uczynki i dobroć konkretnych osób zmieniają świat.

Podziękowania

Chciałabym podziękować Michaelowi Kingowi i Ronowi Bussowi za ich nieocenioną pomoc, niezwykle opowieści, dowcip i czarny humor oraz cierpliwość do niekończących się wywiadów. Bez ich szczodrości i życzliwości nie byłabym w stanie skończyć tej książki. Dziękuję Walterowi Ebertowi, Kyle'owi Brecheenowi, Joshowi Stinsonowi, Lindzie Tabor, Kathleen King, Xavierowi Armandowi, Rockwellowi Millsowi, doktorowi Bruce'owi Armstrongowi, Maddie Parker, Ałowi Knauberowi i Dylanowi Brownowi za cenny wkład, a Macie Hairi, Cretowi i Sauvie za ich niezwykle przygody i nieodparty koci urok.

Tak dużo zawdzięczam mojej wspaniałej agentce, Bonnie Nadell, która wierzyła w tę książkę i z miejsca znalazła dla niej wydawcę, Atria Books. Dziękuję jej również za mądrość i służenie mi radą podczas pisania. Jestem szczególnie wdzięczna Joshui Davisowi za pierwotne zlecenie napisania *Mój przyjaciel kot* dla czasopisma „Epic”, jego zapał względem opowieści o Michaelu, Macie i Ronie, propozycje zakończenia i przedstawienie mnie swojej agentce, Bonnie. Dziękuję również Stephenowi Elliottowi i Harry'emu Spritzerowi za dodatkowe prace redakcyjne i zbieranie materiałów do pierwszej wersji tej historii opublikowanej w „Epic”.

Jestem niewypowiedzianie wdzięczna mojej genialnej redaktor, Leslie Meredith, która pokochała tę książkę od pierwszego słowa i znakomicie ulepszyła ją swoim lekkim piórem, starannym skracaniem i rygorystycznymi standardami. Bezustannie motywowała mnie do jeszcze bardziej wytężonej pracy i głębszego wgrzyzienia się w temat. Również jej miłość do kotów i zrozumienie dla nich okazały się niespodziewaną, acz cenną pomocą.

Wiele zawdzięczam mojej nowej redaktorce, Jhanteigh Kupihei, która włączyła się w prace nad książką w ich końcowym etapie, za jej mądre wskazówki i zmiany, a także za spełnienie mojego marzenia, by stworzyć okładkę, która najlepiej oddaje charakter tej opowieści. Chciałabym podziękować Patricii Callahan za inteligentną i wrażliwą adiustację oraz sugestie, które podnosiły jakość każdej strony, a także redaktorowi technicznemu Markowi LaFlaurowi. Muszę również podziękować kierownikowi artystycznemu Albertowi Tangowi za jego perfekcjonizm oraz wspaniałym asystentkom Jhanteigh, Natashy Rodriguez, Melanie Iglesias-Perez oraz Loan Le, i pozostałym utalentowanym członkom zespołu w Atria/Simon & Schuster za ich umiejętności, entuzjazm i sprowadzenie na świat tej książki.

Tiziano Niero zasługuje na moje podziękowania za swoją niegasnącą miłość, motywację oraz przenikliwą, a niekiedy komicznie złośliwą krytykę, a także za sfilmowanie zachwycającego zwiastuna książki. Dziękuję Kevinowi Grady'emu, mojemu staremu, drogiemu przyjacielowi i dwukrotnie nominowanemu do nagrody Emmy dyrektorowi kreatywnemu za cudną okładkę i czysty geniusz. Wyrazy wiecznej miłości i wdzięczności dla moich wspaniałych przyjaciół za ich niesłabnące wsparcie i humor: Stewarta Brothertona, Chrisa Brocka, Chrissy Iley, Julii Snell, Davida Garnera, Sibéal Nic Ginnéi, Ludovici Niero, Stevena Ludwina, Marion McKeone, Harriet Green, Sharon Walker, Caroline Carpenter, Marca Walkera, Dawn Chapman, Jill Starley-Grainger, Jennifer Johnson, Sharon Parham, Trevora Bowena, Stephanie Theobald, Babette Kulik, a zwłaszcza dla Victorii Clarke i Jasmin Naim, które prawdopodobnie doprowadzałam do szału niezliczonymi prośbami o lekturę rękopisu.

Specjalne podziękowania kieruję do Jeffrey'ego Moussaieffa Massona za napisanie przedmowy, a także za bycie nieustraszoną i elokwentnym głosem przemawiającym w imieniu najbardziej bezbronnych i bezradnych członków społeczeństwa. Jego pełne pasji i mądrości książki o zwierzętach są źródłem wielkiej radości i inspiracji oraz przypominają nam, że koty, psy, krowy, świny i inne boskie stworzenia swoją bezbronnością uczą nas pokory, przyzwoitości i bezgranicznej miłości – wartości, które naprawdę liczą się w życiu.

Jestem wdzięczna, że dane mi było spotkać na swojej drodze Andrew Tylera, Celię Hammond, Francisa Battistę i Michaela Mountain, którzy poświęcili życie ratowaniu zwierząt i walczeniu o ich

prawa do bycia traktowanym z szacunkiem, empatią i godnością, którzy sprzeciwiają się odbieraniu im życia w imię naszej wygody i folgowania ludzkim kaprysom. Ich głębokie współczucie i upór w dążeniu do celu nie przestają mnie inspirować.

I na koniec dziękuję Bobby Steale, mojej energicznej, cudownej sześciolatniej kotce o pomarańczowych oczach i futerku, która tak bardzo kochała życie i ludzi. Została zamordowana dwudziestego trzeciego września 2009 roku w Londynie przez kilku nastoletnich zbirów, którzy dla zabawy spuścili na nią swojego pitbulla. Okrutna śmierć Bobby była dla mnie głębokim szokiem i sprawiła, że jeszcze bardziej włączyłam się w walkę na rzecz maltretowanych, porzuconych i cierpiących zwierząt.

Dziękuję również moim pozostałym kotom, które odeszły: Tallulah, Edie Sedgwick, Coco, Dylanowi, Halo, Wielebnemu Baloo, Pixie, Tadowi, Mowgliemu, Białemu Baloo, a zwłaszcza Honey, mojej pięknej rudej kotce rasy maine coon, która wygrała z rakiem i ma więcej charakteru niż wszyscy, których spotkałam w swoim życiu. Te zwierzęta nauczyły mnie, co to znaczy moralność, wniosły do mojego życia wiele szczęścia, a na sercu zostawiły odcisk łapki.

Jestem niebywale wdzięczna moim obecnym dzikuskom: Loli, Jimmy'emu Ciambelli, Shadow, Steviemu Tigerface'owi Wrightowi i małej Murzik Meerkat, które na swój własny, szczególny sposób zapisały się na kartach tej książki. Mam dla nich wszystkich dużo miłości i szacunku. Cytując mojego ulubionego pisarza, Charlesa Bukowskiego: „Uważam, że świat powinien być pełen kotów i kropel deszczu, i to w zupełności wystarczy – koty i deszcz, deszcz i koty”.

O autorce

Britt Collins jest brytyjską dziennikarką piszącą dla „Guardiana”, „Sunday Timesa”, „The Independent”, „Harper’s Bazaar”, brytyjskiego wydania „Condé Nast Traveller” oraz Billionaire.com. Jej praca wolontariuszki w rezerwach zwierząt na całym świecie, od opieki nad dzikimi kotami i pawianami w Namibii po dzikie konie w Nevadzie, posłużyła jej za inspirację do napisania reportażu dla „Guardiana” i „Sunday Timesa”. Pisując artykuły śledcze o przypadkach okrucieństwa wobec zwierząt do brytyjskiego tabloida „Sunday People”, zebrała setki tysięcy dolarów na rzecz międzynarodowych fundacji; jako aktywistka pomogła zlikwidować kontrowersyjne hodowle zwierząt laboratoryjnych. Mieszka w Londynie ze swoimi kotami.